



PIOTR ADAMOWICZ

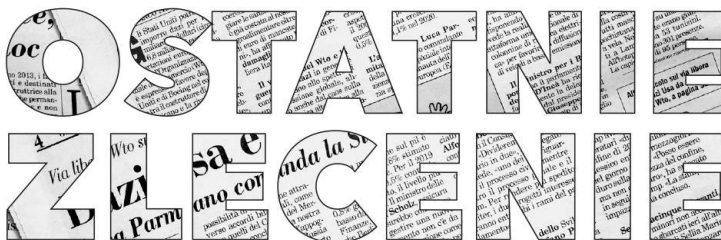
ZOSTATYNE ZLESA E ZLESA E ZLESA E

Nie znacie tego autora? Nie znacie
tej opowieści? Błąd!



Robert Ostaszewski, juror Kryminalnej Piły,
wykładowca Studiów Literacko-Artystycznych na UJ

PIOTR ADAMOWICZ



Spis treści

1. My się chyba znamy
 2. Miło cię widzieć, Marcello
 3. Belgijski wafel z Karmelem
 4. Z ziemi włoskiej do polskiej
 5. Taksiarz spod Centralnej
 6. Oczom ukazała się bestia
 7. Dogrywka na Muranowie
 8. Stara śpiewka Włodka
 9. Diabeł nie czort, Michale
 10. Przewrót pałacowy
 11. Zaczynają się schody
 12. Berlińczycy w krainie Polin
 13. Przekonujący nożyk Izaaka
 14. Miło cię poznać, Antoni
 15. Żegnaj, Włodek
 16. Niczym Feliks z popiołów
 17. Antoni, Boży Stróże mój
 18. Grunwald Pirletiego
 19. Tak bez pożegnania?
 20. Milczenie rabina
 21. Archipeląg Santorini
 22. Angielskie wyjście
 22. Objawienie przed Patmos
- Przypisy

Copyright © by Piotr Adamowicz, 2023

Projekt okładki: Olga Bołdok-Banasikowska

Redaktor prowadząca dział fiction: Małgorzata Hlal; mhlal@grupazpr.pl

Redaktor nadzorująca: Anna Sperling

Redakcja: Zofia Rokita

Korekta: Małgorzata Ablewska, Mariola Niedbał

Ilustracje: Shutterstock

Copyright © for the Polish edition by TIME SA, 2023

Wydawca:

TIME SA

ul. Jubilerska 10

04-190 Warszawa

facebook.com/hardewydawnictwo

instagram.com/hardewydawnictwo

tiktok.com/@harde.wydawnictwo

Dział sprzedaży i kontakt z czytelnikami: harde@grupazpr.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

1. My się chyba znamy

Biały ranek przydreptał przed szóstą. Helena spała snem najedzonego niemowlaka, podczas gdy ja czuwałem jak czeladnik rozglądający się za robotą. Wiedziałem, że to się kiedyś skończy. Nie miałem wyboru, musiałem się ewakuować. Przetarłem oczy, kiedy w kuchennym okienku zamajaczyły długie światła. Przyjechali.

Usiadłem na tylnym siedzeniu, nie mówiąc ani słowa. Dwóch ludzi w ortalionach wyglądało na małomiasteczkowych mechaników samochodowych. Wyjęli kogucik taksówki i spojrzeli po sobie, podczas gdy ja powoli ubierałem się na tylnym siedzeniu.

– Mogłeś to zrobić w domku, mamy mało czasu, ale okej, na ubranie się wystarczy.

– Nie mogłem – ziewnąłem. – Nie lubię pożegnań...

Prawdę powiedziałem i tylko prawdę, bo wyjeżdżać od kogoś nie znosiłem, tak jak nie znosiłem rozłąki i tego, że dla mnie widzieć kogoś to nieraz widzieć po raz ostatni. I na zapas rozrywało mi serce, choć to naiwna rzecz tak tęsknić za kimś, z kim mijałem się od zaledwie kilku miesięcy.

Helenę poznałem kilka tygodni wcześniej. Z miejsca tłumaczę, że jej nie ukradłem Spartanom. Wręcz przeciwnie, zawiąłem się spod Troi za wcześniej na miłość, za późno na spokój. W tym zawieszeniu trwałem i spod murów antycznego miasta wywiozłem zmęczenie ciągną walką i manierę Homera, żeby nie opowiadać od początku do końca, bo to byłoby za proste.

Kończyłem rybę w małej portowej knajpce na Krecie, kiedy usłyszałem przesłone aparatu. Kilka pstryknięć gdzieś po lewej. Wychyliłem się, sprawdzając deptak jak żyrafa w poszukiwaniu kolejnych gałęzi. Złowiłem wzrokiem kilku spacerowiczów i matkę z niemowlakiem – to ona robiła zdjęcia. Wrzuciła nikona z gigantyczną lufą do torby pod wózkiem i skręciła w wąską uliczkę, dokładnie tę samą, która prowadzi do zbawienia. Zostawiła za sobą szeroką promenadę kąpaną w słońcu jak zdjęcia na profilach turystów, które nikogo nie interesują. Komu pstryknęła to foto, tego miałem się dowiedzieć niebawem.

Obróciłem się w prawo i mój wzrok jak amerykański radar przeciwrakietowy wystrzelił zwiadowcze spojrzenia w stronę zacumowanych jachtów. Na jednej z łodzi krzątał się otyły wąsacz zdradzający rosyjskie korzenie. Miał co prawda białe lniane spodnie na włoską modłę, ale podkoszulek był rosyjski, spocony i z resztkami czegoś w rodzaju zupy pomidorowej, jaką serwują na Krecie. To ostatnie już dopisał mój mózg. Z pozycji stolika widziałem tylko, że mężczyzna szykuje się do wypłynięcia. Pomagało mu dwóch pacholków, którzy w razie nieszczęsności pokładu jachtu zostaną z niego wyrzuceni w pierwszej kolejności. Matka Greczynka zrobiła zdjęcie akurat temu konkretnemu Rosjaninowi spośród dziesiątek innych posiadaczy jachtów cumujących i odpływających z Krety tego dnia. Cyknęła mu portret z kilku perspektyw, zrobiła to w pełnej dyskrecji, ale ze starannością Rembrandta, który szkicował postać z dziesięciu ujęć, zanim chwycił farby i zaczął malować dany portret. Tymczasem Rosjanin żył sobie spokojnie, zdzierając naskórek o bezlitosne greckie słońce. Ktoś musiał to zakończyć.

Nie przyjechałem wtedy kosztować kreteńskich przysmaków regionalnych, przyjechałem odstrzelić Rosjanina, któremu Greczynka z bąblem zrobiła minisesję. Musiałem wziąć pod uwagę możliwy konflikt interesów. Na fotografkę mi nie wyglądała, a model na okładkę „Vogue’a” się nie nadawał, chyba

że na wydanie ukazujące faunę Dagestanu w głębi rosyjskiego imperium. Krótco żyłem, ale zdążyłem pojąć, że ludzie są różni, naprawdę różni. Mogła mieć taki fetysz, mogła być socjologiem albo starać się o alimenty. To, co mnie pchnęło w karierze naprzód, to solidne przygotowanie i zdecydowane ruchy na miejscu wraz z pojawianiem się w odpowiednim miejscu o odpowiedniej porze. Przełożeni mówili, że to fantazja ulańska i dawali mi maksymalnie kilka lat życia w tym zawodzie. Koledzy mówili, że... Co oni właściwie mówili? Zapomniałem. Chwyciłem tylko rąbek spódnicy znikającej pomiędzy białymi budynkami. Rzuciłem drobniki na blat stolika i nie dokończyłem kawy. Wskoczyłem zza parawanu i ruszyłem za dziewczyną.

Wszedłem w labirynt mikroskopijnych uliczek, nad którymi balkony z praniem zasłaniały niebo. Turyści nie zapuszczali się w takie miejsca. Zmęczony barman wracał z nocnej zmiany, włókł brudny fartuch po kamieniach. Wszedł w bramę, za którą zniknęła matka z wózkiem. Zatrzymałem się za starym oplem i kucnąłem, żeby dokładnie zawiązać mokasyny, które zupełnie tego nie potrzebowały. Przez brudną szybę mogłem obserwować, co działo się na dziedzińcu wąskiej bramy. Przywykłem do widoku pękniętych czaszek, ale nigdy nie pogodziłem się z widokiem płaczu niewinnego malca. Z wózka wydobywał się spazmatyczny szloch dziecka oddzielonego od matki. Czułem ciarki, tyle było w tym płaczu lęku.

Na dziedzińcu młoda matka, której macierzyństwo włożyłem w nawias, słysząc szloch malucha, „zaparkowała” wózek i wyciągnęła drącego się brzdąca. Próbowwała go przytulić, ale to nic nie dało. Druga czerwona lampka. Z drewnianych drzwi, z których uciekła już ostatnia kropla farby, wyjrzała przysadzista gosposia o figurze piekarnika. Miała spojrzenie pełne miłości i to na jej widok płacz dziecka ustał, jakby ktoś wyjął wtyczkę z kontaktu. Wzięła dzieciątko na ręce i przycisnęła mocno do piersi, po czym sięgnęła po kopertę od dziewczyny, której pochopnie przypisałem macierzyństwo. Młoda Greczynka wyjęła kartę pamięci z aparatu, a aparat podała chłopcu, który wybiegł razem z mamą. Poglaskała go i powiedziała coś po grecku, żegnając rodzinę, która z nieznanym mi powodów używa dzieci na krótkie spacerunki obcym ludziom.

Jak podejrzewałem, ludzie są różni.

Silnik kolejnego średniowiecznego opla, tym razem corsy, zacharczał za moimi plecami. Nie obrałem się i nadal z zaangażowaniem czterolatka wiązałem rzemyk mokasyna, jakby od tego zależały losy zachodniego świata. Corsa podjechała po piękną Greczynkę, znałem te numery. Wszystko poszło jak z podręcznika radzieckich służb wywiadu, który pisali zbiegli na Zachód agenci, by trochę zarobić, wciskając ostatnią porcję kłamstw w rozpalone głowy amerykańskich czytelników. Kierowca zagrał na klaksonie kilka milisekundowych dźwięków, co mogło brzmieć jak szyfr, ale równie dobrze mógł mieć taki styl trąbienia. Ważne, że zatrąbił, a gwiazda mojego popołudnia pojawiła się w bramie i wsiadła na tylne siedzenie zardzewiałego opla. Dopiero wtedy zobaczyłem jej twarz. Do opisu tej Afrodyty mógłbym zaprząć setkę poetów, do obrazu zatrudnić setkę malarzy, do snucia ballad setkę bardów. Wszystkich później musiałbym spalić na stosie, będąc wściekły na alfabet, farby i dźwięki, bo nic nie odda tego, co zobaczyłem.

Nic.

Wielkie czy niczym perły nad małym noskiem. Kręcone włosy, które opadały na ramiona. Białą koszulę, której rozpięte guziki pokazywały skrawek piersi. Ruchy i to spojrzenie... Powiedziałbym więcej i potem będzie ku temu lepsza okazja, ale na razie czas to...

Wskoczyłem na dach opla, sięgnąłem najniższego balkonu, podciągnąłem się i po kilku sekundach już na nim byłem. Stamtąd miałem lepszy widok. Afrodyta i jej giermek pojechali prosto, a na skrzyżowaniu skręcili w lewo. To była jedyna uliczka, do kolejnego skrzyżowania trzeba było pokonać placyk z deptakiem pełnym turystów. Miałem niewiele czasu. Zeskoczyłem z balkonu i pogałem w przeciwną stronę, by przeciąć się z nimi na następnym skrzyżowaniu. Dzięki solidnie zawiązanym mokasydom pokonywałem kolejne uliczki, cudem mijając przechodniów, skutery i małe samochodziki w jeszcze mniejszych przesmykach. Zbliżałem się do zatłoczonych uliczek centrum, do ryneczku i zatoki z knajpkami. Dotarłem na skrzyżowanie przed białą corsą, ale nie musiałem długo na nich czekać.

Jechali bez pośpiechu, nie skręcili na wschód, tylko kontynuowali podróż w górę po stromej uliczce, która wyprowadzała ich ze starego miasta. Co chwilę wchodził im przed maskę jakiś turysta, dzieciak z balonami lub uliczny przedstawiciel marki Gucci. Przebić się przez tę część miasta to był koszmar. Nie zwracając uwagi na ich tempo, pobiegłem na początek uliczki, gdzie zaczynała się szeroka aleja. Gdy stanęli na czerwonym świetle, ruszyłem do ofensywy.

Wszedłem na pasy i skręciłem prosto na nich. Nie pukałem w szybkę, nie musiałem, wszystkie były opuszczone. Opierając się o tylne drzwi, pochyliłem się, by z bliska ujrzeć grecką miss. Do zmiany światel pozostało mniej więcej piętnaście sekund. Piętnaście sekund zajmuje płomienny pocałunek. W piętnaście sekund możesz się zakochać. W piętnaście sekund możesz przestać oddychać. Dla mnie piętnaście sekund wystarczy, by wystrzelać się ze wszystkich greckich słów, jakie znałem. Zagadałem w języku tubylców, chociaż byłem pewny, że mówią co najmniej w kilku innych. Przeszedłem do rzeczy, zarzucając wędkę jak na wieloryba.

– Ten Rosjanin to Fiodor Polenow, dziś wyruszy w ostatni rejs.

Grecka miss nie była zaskoczona, więcej, sprawiała wrażenie, jakby się tego najścia spodziewała. Jej kierowca trzymał łapę w schowku i dałbym sobie rękę uciąć, że nie szukał czekoladek na powitanie.

– Widziałam cię już kilka razy, to nie wasz teren.

– Nie, ale nasza sprawa. Wiem, za kim węcyszcie. Wiem też, że nikt z was nawet nie spróbuje udawać Rosjanina, a sprzątać go bez rozmowy to strata. Więc może sobie pomożemy?

Światło zmieniło się z czerwonego na jasnoczerwone, a po chwili była już tylko zieleń. Ktoś trąbił dwa auta dalej. Czas mi się skończył, a ja nawet nie zdążyłem poprosić o rękę.

– Apostolis, dziś wieczór – powiedziała.

Spojrzałem jej w oczy. W jednym z kącików jej ust pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

Grecka Mona Lisa lub dama z greckim kierowcą, tak ją naprędce zapamiętałem.

Odsunąłem się od krawędzi jezdni i odprowadziłem ich wzrokiem. Ulice zalały samochody, klaksony, przechodnie samobójcy lawirowali pomiędzy ruszającymi kierowcami z kretyńskimi maskotkami zawieszonymi na lusterkach. Stałem tak na środku ulicy, zbierając ich krzyki, obelgi, greckie kurwy rzucane mi pod stopy. Spojrzałem na wieżę kościoła, na którym wskazówki pokazywały godzinę czternastą. Slalomem doszedłem do chodnika i pomaszerowałem w cieniu palm, chroniąc się przed słońcem. Za jego gorącymi promieniami będę zapewne tęsknić, ale gdy już znajdę się w swoim zimnym kraju.

Tymczasem miałem dobrych kilka godzin na zakup porządnej białej koszuli. Nie było czasu do stracenia. Czulem się gotów, o ile mężczyzna może być gotowy na to, co przyniesie spotkanie z piękną nieznaną. Chyba ją już gdzieś kiedyś widziałem, ale pewny nie byłem. No bo jak odróżnić setki twarzy, historii, narracji od kłamstw naszych wewnętrznych światów, głosów irracjonalnych, które – gdy che-

mia bombą atomową uderza w mózg – wyłączając zwoje jeden po drugim, zostawiając ściernisko. A na tym nie wybudujesz miasta Świętego Franciszka przed ostatnim strzałem, który eliminuje człowieka z puli zbławowanych szczęśliwców, czyniących tę planetę sobie poddaną.

Chyba ją jednak już gdzieś kiedyś widziałem.

Szedłem pod niskimi palmami, nie potrzebowałem już słońca, by podpałało moją czaszkę. Kotłowałem się sam ze sobą, starając się ją sobie przypomnieć. Pół biedy, jeśli grecka miss to zwykły człowiek wywiadu lub kontrwywiadu, kolorowa płotka, która da mi jakiś skrawek informacji. Gorzej, o hektary piekielnego czarnoziemu gorzej, jeśli już ją gdzieś widziałem. Jeśli jest zamieszana w nasze międzynarodowe machlojki, pracuje dla kogoś wyżej niż jakiś prowincjonalny grecki kontrwywiad, który mógł mieć władzę setki tysięcy terenów i nadawał się jedynie do przechwytywania kilku skrzynek amunicji, odnawiania białych pasów na jezdni czy upominania dzieci, by nie zapomniały kasków, kiedy wybierają się na przejażdżkę rowerową. Gdybym ją już wcześniej widział, to prawdopodobieństwo naszego przypadkowego spotkania w przyrodzie nie występuje. Nie wytłumaczyłaby tego teoria kwantów, nie byłby to czarny labędz ani nawet odprysk cudów z Kany Galilejskiej.

Gdybym ją wcześniej widział...

Gdybym potrafił tak przebrać wspomnienia jak stertę szmat w odzieżowej sieciówce i upewnić się, że na tych kilku wieszakach mojego ograniczonego umysłu nie ma tej białej koszuli z dekoltem rozpiętym na dwa ostatnie guziki. Gdybym tylko mógł zapłacić za serwis i mieć pewność, że w tysiącach twarzy nie ma jej oczu, nosa, ust i szyi, życie byłoby prostsze, a przyszłość mniej niewiadoma. Zapamiętałbym chyba te oczy. A może tak się mówi o każdej pięknej kobiecie, która jest detronizowana przez kolejną piękność za rogiem? Powinienem mieć umysł szorstki, ostry w poznaniu, a nie rozlały jak u perwerta estety. To mogło być greckie słońce, adrenalina, stres lub to podniecenie, które się czuje przed obcowaniem z boginią.

Nie pamiętałem, czy ją już przedtem widziałem, i zdałem sobie sprawę, że jeśli nie, to luz, dwójka i jadę dalej. W drugim przypadku pożałuję, że nie zapamiętałem, i zapłacę jak za prezydenta. Wliczyłem to wszystko w koszta i podliczyłem rachunek zysków i strat. Wyszło mi jak zwykle to samo, że koniec końców dopadną mnie z nożem jak Cezara, a Święty Piotr nie przepuści przez furtkę. Machnąłem ręką, odpychając od siebie wszystkie kłęby myśli, bo wieczór był grecko piękny, a ja zbliżałem się do promenady starego miasta, która ciągnęła się wzdłuż brzegu i prowadziła do knajpki z szyldem: Apostolis.

Światła wzdłuż zatoki paliły się żywym ogniem. Małe pochodnie zamiast latarni otaczały alejkę, po której kręciły się zakochane pary. Wyjąłem paczkę fajek z kieszonki białej koszuli. Poczęstowałem przechodnia, który o to prosił. Szarpał się chwilę z miękką paczką, a gdy wyjął papierosa i podniósł głowę, byłem już kilka metrów dalej.

– Proszę wziąć wszystkie.

Kiwnąłem kelnerowi, który wiedział, że najlepszy stolik zaraz będzie zajęty. Weszliśmy schodkami na dach knajpy, gdzie było kilka dwuosobowych stolików. Taka strefa VIP dla wtajemniczonych. Z wysokości pierwszego piętra lepiej widać okolicę. Fale lekko muskały kamienie usypane pod latarnią morską. W oddali szumiały falowane wąsy Posejдона. Miał tego dnia dobry humor, nie grymasił, pozostawił taflę wody spokojną.

Z fal wyłoniła się syrena, taka, że w ustach pojawiało tyle śliny, że wiaderka mogłyby podstawić. W jaki sposób zgubiła ogon, nie wiedziałem dokładnie. Wstałem, gdy po stopniach weszła na dach.

Chwyciłem krzesło, ale wyrwała mi je z ręki i postawiła obok mojego, tak że oboje siedzieliśmy po jednej stronie stołu, mając widok na wodę. Nie wiedziałem, który profil mam lepszy, więc nieco odsunąłem od niej swoje krzesło.

Zaczęła bez ogródek.

– Coś ty za jeden?

– Powieści można by pisać, w odcinkach...

– Grecki odcinek, jaką ma fabułę?

– Szkic raczej, jeszcze tu nie skończyłem, chyba bohaterkę będę musiał dopisać. Jak sądzisz?

– Sądzę, że ciągnięcie tej metafory jest idiotyczne. Co macie, bo rozumiem, że jest tu was więcej, do tego Rosjanina?

– Przeszkadza w interesach mojego szefa – wyznałem.

– Kim jest twój szef? – kontynuowała przesłuchanie piękna nieznajoma.

– Bardzo sympatyczny Włoch, na śniadanie je pistacjowe cornetto⁴, a na kolację zostawia sobie ambitnych polityków i agentów obcych wywiadów.

– O czym chciałeś... Właściwie nie przedstawiłeś się...

Tu zrobiła pauzę na oddech, świadoma, że zaczęliśmy od pytań, filmowych dialogów, by tylko wyluskać informację, zamiast przedstawić się sobie, zamówić białe wino, odrobinę chleba i oliwy. Wieczór zaczynał się na dobre i po co tak się spieszyć na zachodnią modłę. Ja z kolei nie pomyliłem wysp, wiedziałem, że nie pędzimy po Manhattanie, tylko siedzimy na miękkich krzesłach na Krecie. Nigdzie się nie spieszyłem, tu jak coś pędzi, to noc w jej objęciach, oddech krótki na mokrej twarzy przy otwartym oknie gdzieś na czwartym piętrze. Szybko wyrwałem się z tej wizji, z tego pokoiku za kotarą, na chwilę zapominając i próbując sobie przypomnieć własne imię i nazwisko.

– Feliks Nero, w papierach mam bałagan, więc paszportu może nie będę pokazywał...

– Helena. Czego tu szukacie? – Nie zdradziła nazwiska, zresztą i tak podałaby fikcyjne.

– Wspólny wróg. Fiodor Polenow maczał palce w przerzucie broni, to jakaś część układu.

– Układu między Warszawą a Berlinem?

– Otóż to! – Podziękowałem za wino łądujące na stoliku. – Wiem, że szukacie tego, czego szuka kilku poważnych ludzi w tej części świata, i możecie być blisko.

– Dla nas to bezpieczeństwo od strony Cypru i Syrii, a dla was to tylko zera na szwajcarskich kontaktach. – Helena trzymała lampkę przy ustach.

– Bezpieczeństwo to teraz luksus, na jaki mało kto może sobie pozwolić... A co do tego, no... Jeśli to trafi do Rosjan, będą mieli lewary na ludzi, od których zależy bezpieczeństwo w tej części świata. – Schowałem zmęczoną twarz w dłoniach, poprawiając jeszcze bardziej zmęczoną fryzurę.

– Czego dokładnie chcecie?

– Współpracy i kilku informacji.

– Pierdolicie się.

Spodziewałem się odpowiedzi w tym tonie. Tak przeważnie wyglądają tego typu rozmowy. Z politykami może grecka miss rozmawia inaczej, ale nie lubiłem oceniać nawet po pięknych pozorach. Udawałem, że nie usłyszałem, że mam spierdalać, i nadal zgrywałem agenta od marketingu bezpośredniego.

– Wiem, że szukamy tego samego człowieka. Wiem, że mi nie powiesz, gdzie stoicie z tą sprawą, ale ja się dowiem prędzej czy później. Potem pojedę na koniec świata i osobiście włożę go do bagażnika z niemieckimi blachami. Moja propozycja brzmi...

Helena nie słuchała. Patrzyła w morze, jakby widziała je po raz pierwszy. Podrapała się po kostce, na której miała wytatuowany mały archipelag Santorini. Po chwili mojego zawieszenia w pół zdania i oczekującego milczenia spojrzała mi w oczy.

– Nie kończ. Nie ma sensu... Nie muszę ciebie konkretnie kojarzyć, żeby wiedzieć, z kim mam do czynienia. I wiedz, że tu ze Wschodu zaglądają od czasu do czasu, szukając nowych kanałów, a my tu Wschodem nie jesteśmy zainteresowani.

– A nasz protagonista? – Nie chciałem rzucać nazwiskami na tym etapie znajomości.

– Jest aktualnie poza naszym zasięgiem, ale to się... jak to się teraz mówi...

– Dynamicznie zmienia?

– Otóż to. – Chyba, chyba się uśmiechnęła, chyba, bo głowy na gilotynie nie położę za to wrażenie.

Uspokoilem się, raczej nie mówiliśmy o tym samym. Przyjąłem, że widzimy się pierwszy raz i ostatni. Wyłączyłem ostrożność, jakbym po pępkowym śniadaniu z kierownicą. Nieco rozluźniłem plecy, opierając ich większą powierzchnię na drewnianym oparciu obitym miękką poduszką. Cały dramatyczny dylemat, czy ją widziałem, czy nie, został wyrzucony przez niski balkon dachu knajpki z przetrzartym od soli szyldem. Wyłączając czujność, popełniłem po raz kolejny kardynalny błąd, za który przyjdzie mi zapłacić już niebawem. Jedno spokojne spojrzenie na morze, jedno na Helenę i jeszcze jedno na kelnera, który zmierzał w naszym kierunku. Koniec interesów i jak na każdej wycieczce przyszedł czas wolny.

Ryba wylądowała na stole. Jeszcze rano była żywa, teraz widelcem wybierałem jej białe wnętrza. Szanse na porozumienie były bliskie zeru, ale przynajmniej to jedzenie jak spod gwiazdki Michelin. Piętro niżej ktoś się oświadczył, ludzie bili brawa. Kelnerzy zniknęli, przygotowując coś ekstra dla świeżo upieczonych narzeczonych. Helena nadal patrzyła w horyzont, prosto w otchłań Posejдона, w spokojną taflę morza. Zamyślona, zdawała się nie podzielać entuzjazmu, który wybuchł wśród zebranych w Apostolis. Ja zerkalem na młodych zakochanych jak na folkową atrakcję za kilka euro. Nie wiem, czy im zazdrościłem, czy urosła we mnie udawana, pusta duma, że oni mogą się kochać i dzielić spokój, podczas gdy ktoś inny strzela do napastników, ściga bandytów i montuje kamerki w miseczkach biustonoszy drogich prostytutek. To myślenie pomagało na dłuższe okresy wyrzec się człowieczeństwa, tego, że nigdy nikt nie powie do mnie „tata”, nie wezmę kredytu na dom, nie założę nawet konta w banku, bo banki nie zakładają kont ludziom, którzy nie istnieją. Nie łapałem się na spis powszechny, żadna parafia nie miała mojego aktu chrztu, nikt mnie rodzicom nie przedstawi, bo co miałyby wybranka powiedzieć? „Mamo, tato, to Feliks Nero”. „A czym się pan Feliks zajmuje?”, zapytają. Ona wtedy wymyśliła na poczekaniu metaforę, zgrabną jak owalny kształt swoich pośladków, że mój Feliks to on robi tak jakby w teatrze, za kulisami, na backstage’u. Robi z kukielkami, właściwie to jest na dalszym planie. Będzie się wiła jak seriale z lat dziewięćdziesiątych, które przepęły cudem do kolejnego tysiąclecia. I cała scena stanie się groteską, dramatyzmu dodadzą zmieszane twarze tych pocziwych ludzi. To byłby świetny materiał na tragikomedię. No bo jak usprawiedliwić to, co robię w życiu, nawet jeśli wycieramy sobie usta takimi potężnymi słowami jak „miłość”? Byłoby śmieszne i zabawne patrzeć, jak próbuje to sobie zracjonalizować, postawić mnie w lepszym świetle albo – jak Julia – być ze mną wbrew rodzicom, zasadom porządku społecznego, wbrew samej logice. Zatoczyliby-

śmy szekspirowskie koło, kończąc na tragedii, samobójstwie lub zabójstwie, rozstaniu lub zaniechaniu pierwszego kroku w miłość, bo ja, Feliks Nero, nie istnieję dla tego świata. Dlatego patrzyłem na tych ludzi szczęśliwych, ściskających się w nadziei na piękne jutro jak na film, który nie jest prawdą, moją prawdą nie był, nie jest i nie będzie. Patrzyłem jak zza szyby kuloodpornej, jak dzikie zwierzę na uśmiechnięte dzieciaki. I mogłem ich ubierać w kukielkowe ubranka, ale w głębi duszy przeżuwałem, po której stronie ogrodzenia tego pierdolonego zoo jestem ja i oni. I oderwałem rękę od parapetu, znalazłem którego obserwowałem tę radosną scenę, jakbym się nagle czymś oparzył.

Dokończyła swoją rybę, a ja odszedłem od parapetu, wybudzając się jakby ze snu. Rzuciłem okiem na promenadę. Helena przyszła sama. Nikt nie czaił się za słupem, nikt nie oglądał się w żadnej z szyb portowych knajp. Nikt nie pływał łódką w tę i z powrotem. Byliśmy sami, a to rzadki stan w tych kręgach. Wypiłem do końca swoje wino. Widziałem ją pierwszy raz i jeszcze nie wiedziałem, że nie ostatni. Mogła mieć chłopaka, ale mogła mieć też wolny wieczór. Kobieta nie ubiera się w tak zwiewną sukienkę na spotkanie z byle kim. Przez chwilę zastanawiałem się, po co w ogóle przyszła, skoro nie miała żadnej ochoty współpracować. Po coś jednak przyszła. Przeżuwałem, że powód nie może być śmiertelnie poważny. Jak wszędzie trzeba uważać na znaki i sygnały, jak każdy, także ona, może stanowić zagrożenie, to się czasem zdarza. Człowiek zmęczony chronicznym stresem i ciągłą analizą daje się niekiedy złowić na najbardziej oczywisty haczyk. Nazywałem to ryzykiem w tym zawodzie.

– Odprowadzisz mnie czy mam dzwonić po kierowcę?

– Do usług.

Zeszliśmy z dachu i skręciliśmy w prawo. Nie odezwałem się ani słowem przez następnych kilkaset metrów. Dałem się prowadzić, zerkając w stronę odległych światła na horyzoncie. Zabyły się niebieskie koguty. Kilka łódek zacumowało niedaleko brzegu. Zrobiło się zamieszanie wśród turystów. Podniesione głosy, ramiona wyciągnięte w stronę morza i palce wskazujące kierunek, gdzie straż i policja przeszukiwały luksusową łódź Polenowa.

Helena spojrzała mi w oczy, a ja skinąłem głową w geście potwierdzenia. Ruszyłem za nią, rzucając ostatnie spojrzenie na jacht Rosjanina. Później doczytałem w gazetach, czy był to zamach, czy poślizgnął się i uderzył głową o burtę. Odwróciłem wzrok i ruszyłem za Heleną poza mury miasta, na spokojną piaszczystą plażę.

To, co zdarzyło się w nocy, kiedy z Heleną przeszliśmy się kreteńskim wybrzeżem, by się lepiej poznać, pamiętam jak przez mgłę. Na podstawie scenariusza następnych kilku tygodni spędzonych z Heleną moglibyśmy nagrać *Pamiętnik Casablance* i niektóre sceny Felliniego. Wyszedłby romans gimnastyczny, bo to, co żeśmy nawywijali pod pierzyną, zasługuje na osobną kategorię filmową.

Zawarliśmy taki układ: spędzamy razem trochę czasu, a potem każdy idzie w swoją stronę, jak w komedii romantycznej, do napisania której nie zatrudniono dość pomysłowego scenarzysty. Tu się nikt nie silił na uczucia czy marzenia o stadku gałganów trzaskających furką po powrocie ze szkoły. Helena nie była typem rodzicielki, ja z kolei nie zamierzałem udawać, że za rogiem nie czai się na mnie śmierć, a głupio byłoby osierocić krew z mojej krwi, kości z moich kości.

Plan był prosty, czas kurczył się, nie znając miłosierdzia. Odsłonię się nieco, jak zdradzę, że coś wewnątrz mnie drgnęło, gdy biegaliśmy po gorącym piasku. Drgnęło na tyle delikatnie, że pomyliłem to ze zwykłą przyjemnością, jaką przynosi ślina rozlana na gorących udach i jak ciepło promieniami rozchodzi się po ciele, wycieńczając ciało. Tak, pomyliłem rodzące się uczucie ze zwykłą przyjemnością, może dlatego, że wiedziałem, że na nic nigdy nie będzie szans.

Ci, którzy po mnie przyjechali owego pochmurnego poranka, ruszyli z drugiego biegu, z górki. Zjechaliśmy jeszcze niżej, a potem podążaliśmy wzdłuż majaczących fal wybrzeża. Każda uderzająca fala oddalała mnie od domku, gdzie leżało jej ciepłe ciało z odrobiną gęsiej skórki na ramionach. Westchnąłem, zapinając ostatni guzik koszuli. Przeczuwałem, że jeszcze ją zobaczę, ale myliłem te przeczucia z nadzieją frajera. Nadzieją, którą zagłuszałem, ile tylko mogłem.

Tymczasem wszystkie kreteńskie drogi prowadziły w stronę Włoch.

2. Miło cię widzieć, Marcello

Wszedłem w mikroskopijną uliczkę zastawioną przez rusztowania. To było *centro storico*² podłej miejsciny Reggio Emilia w północnych Włoszech. Odsunąłem foliową osłonę, przy której stał kalabryjski budowlaniec. Jego hebanowa twarz przedstawiała absolutny brak wyrazu. Oderwał się od ściany, którą podpierał, sprawdzając, kto go zaszczycił. I na mój widok jego zmęczona głaca przybrała wyraz niezadowolenia. Chyba był zawiedziony, liczył na zagubioną brytyjską studentkę na Erasmusie. Spojrzałem mu w oczy tak, by zrozumiał, że nie szarpałem się z folią przez przypadek. Odsłonił dzwoneczek na wysokości gardła. Przycisnąłem i przytrzymałem kciuk na guziku.

– Biuro sieci muzeów miejskich, słucham.

– Mam spotkanie z profesorem Gondolą.

– Pańska godność?

– Feliks Nero, byliśmy umówieni na dziewiątą.

To był żart. Nie umówiliśmy się na tak wczesną godzinę. Włosi nie zaczynają tak wcześnie. Właśnie dopijali drugie cappuccino kilka przecznic dalej. Nie mogłem do nich dołączyć z powodów bezpieczeństwa. Ich bezpieczeństwa. Dla mnie Włochy to konfederacja rodzin, które dbają o swoją reputację, anonimowość i ogólny brak zainteresowania ich pieniędzmi. Nie będę mówił o mafii, która była dla mnie elementem Włoch tak oczywistym jak Apeniny czy wyższe od nich Alpy, elementem nieusuwalnym, wrośniętym w układ kostny Italii. Perła Toskanii, Florencja, posiada kilka wpływowych rodzin. Obok nich żyje mafia z baronami, a ich obroty sięgają stu milionów euro na dobę, ale tego w przewodnikach Pascala nie piszą. Na przybliżenie strukturalnych zależności w tej części Włoch przyjdzie czas, pióro odpali jakiś Saviano, a teraz poprzestańmy na tym, że kilku ważnych jegomości kończy włoskie śniadanko i że przy ich stoliku nie ma miejsca dla prostego żołnierza.

W budynku urzędu miejskiego mieściło się pokoi wiele, jak w niebie. Pomiędzy nimi wiły się korytarze, schody i tajemne przejścia niczym na King's Cross z powieści, którą napisała samotna matka na zasiłku, zanim została pierwszą miliarderką wśród pisarek – w jej przypadku pomoc socjalna zwróciła się z nadwyżką. Dzięki tajemnym przejściom nie istniała możliwość powiązania mojej wizyty z grosem szanownych dżentelmenów, którzy kończyli swoje rogaliki wypełnione pistacjowym kremem.

Nie było wind. Wszedłem na czwarte piętro i przeszedłem przez drzwi, sekretariat, korytarz i kolejny sekretariat. Schodkami w dół i na prawo. Zapomniałem rozrzucić okruszki. Dotarłem do sali, gdzie na uciętych kolumnach spoczywały rzeźby rzymskich cesarzy. Krzepki Oktawian lypał na mnie marmurowymi oczami. Na piersi miał zbroję, chociaż na jego panowanie przypada słynny okres długiego pokoju, podczas którego na świat przyszedł Jezus Chrystus gdzieś tam daleko na zapuszczonej

żydowskiej prowincji. Dalej był korytarz i kolejne drzwi, zmieniały się tylko płytki na podłodze i wykończenie. Wiedziałem, że zakreślał literę L w budynku wzniesionym dookoła głównego placu w mieście, którego nie odwiedzają turyści. W Reggio Emilia nie uświadczysz nawet głodnych obiektywów japońskich fotografów amatorów.

Usiadłem na ławeczce przed drewnianymi drzwiami, przez które bez trudu przejechałaby ciężarówka do trzech i pół tony. Pokój był ciemny, bo okna wychodziły na zachód. Na tle beżowej ściany niemal znikalem z widoku przechodzących nieopodal pracowników urzędu i miliona innych instytucji, które gościł ten przepastny budynek. Po dłuższej chwili smukła blondynka z reklamowym uśmiechem zaprosiła mnie do środka. Wskazała krzesło przy stole, na którego blacie zmieściłaby się połowa pasażerów tonącego Titanica, w tym ten przeklęty Leo. Podała mi kawę i zapytała, z czym jem cornetto. Poprosiłem, by mi podała takiego jak ja, pustego w środku. Nie uśmiechnęła się, co bynajmniej mnie nie zdziwiło. Gdy talerzyk wylądował mi koło łokcia, do sali weszło czterech mężczyzn jak czterech jeźdźców Apokalipsy. Na moje oko byli bliscy apopleksji. Na idealnie przystrzyżonych zarostach dostrzegłem pozostałości cukru pudru. Ich nieskazitelne garnitury z pewnością nie posiadały metek, były szyte na miarę. Złote papierosnice chowały się w wewnętrznych kieszeniach marynarek. Wkroczyli pewnie, choć dość swobodnie, bez żadnego tam dreptania do rytmu zestresowanych serc. Usiedli z boku, nie zwracając na mnie większej uwagi, skinęli tylko głowami w moją stronę. Żulem gluten utopiony w krowim mleku. Pycha. Pusty żołądek przyjmie wszystko. Spojrzałem na nich i poczułem się niczym japoński samochód w Detroit. Nie pasowałem do tutejszej fauny.

Po chwili do sali wszedł on.

Marcello Robertini.

Marcella od przeciętności dzieliły lata świetlne, narzucił rzeczywistości swój kolor. Był błyskiem w oku, fioletową apaszką na tle szarego bloku, skrawkiem błękitu na listopadowej kopule nieba. Był przebiśnięciem radości w cuchnącym okopie. Był jak genialna linijka w kiepskim poemacie. Jeden jedyny, Marcello! Urodził się na południu Włoch, żył i pracował na północy. Nie trzeba było go przedstawiać, bo każdy wiedział, kim jest. Człowiekiem o spokojnym spojrzeniu, lecz zabójczych możliwościach. Jego kontakty, wiedza i to, z kim jadał kolację, sprawiały, że bez względu na to, w jakich tarapatach bym się znalazł, nazwisko Robertini otwierało lochy, zmiękczało najtwardsze łydki i wprawiało wyszczekane gardła w vibrato. Wizerunek Marcella nosiłem jak krzyż na piersi, odznakę na klapie, jak ranę z bliska zadaną. Był lakoniczny jak mądrość z ust starożytnego filozofa, co się w sercu pielęgnuje i podlewa codzienną refleksją. Osobisty Gandalf wskazujący kierunek na Mordor. Mój drugi ojciec. Mój opiekun. Moje bezpieczeństwo. Także mój pracodawca, ale nasza przyjaźń była ponad to, nigdy nie chodziło o pieniądze, nigdy. Mógłbym bez końca tak meandrować.

Wyglądał na lat sześćdziesiąt, a miał co najmniej siedemdziesiąt. Mówił, że to zasługa włoskiej kuchni i wina z najciemniejszej półki jego przepastnej piwnicy. Koszula opinała nieco jego wydatny brzusek nad beżowymi chinosami. Fioletowa apaszka na szyi, zegarek na łańcuszku, w starym stylu. Włosy delikatnie przycięte przy bokach, okulary w brązowych oprawkach i świeżo ogolone policzki. Z nosa przypominał sowę, ale oczy miał nieco węższe niż sowa. Usta małe, jakby Panu Bogu ołówka nie starczyło na więcej kresek. Bez obcasów liczył coś ponad przeciętność, a ręce w śmieszny sposób trzymał wzdłuż tułowia jak pingwin.

Marcello żył w biegu. Zawsze skądś wracał lub dokądś podążał. Rozmawiał lub szedł na rozmowę umówioną na mieście. Podejrzewam, że był wcześniakiem, który zdecydował nie marnować czasu na

bezsensowną chlapaninę w maminych wodach płodowych i pierwsze spotkania umówił na połowę ósmego miesiąca po poronieniu. Wyskoczył cesarskim cięciem, by ominąć przestój w ciasnym kanale rodzym, i z porodówki popędził na pierwsze espresso, kierując jednym z miliona projektów. Istniał dla pracy i dzięki temu istniała doskonale działająca organizacja. Przyzwoity i zdroworozsądkowo myślący człowiek określiłby ją mianem bajdurzenia najbardziej wybujałych umysłów wymyślających kolejne poziomy spiskowej teorii dziejów.

Usiadł naprzeciwko mnie, nie zwracając jednak na mnie uwagi. Mówił pośpiesznie i w dialekcie. Prawdopodobnie robił sobie ze mnie jakieś ksenofobiczne żarciki. Nie wiem, kim byli mężczyźni siedzący z boku. Z mafii? Carabinieri? Mogli należeć do obu kategorii jednocześnie. To w końcu Włochy. Nie wnikałem. Kiedy mnie o coś pytali, udawałem idiotę. Dwa razy byłem na posterunku, poznałem kilku włoskich gliniarzy, wszyscy pracowali dla Marcella.

– To by było na tyle – zakończył nasze spotkanie Marcello. – Do wtorku ma to być zrobione.

Mężczyźni wstali i wyszli. Gdy tylko drzwi się za nimi zatrzasnęły, Marcello zaszczycił mnie spojrzeniem, wstał z miejsca i otworzył ku mnie ramiona. Radość zagościła mu w oczach, które odbiły mój uśmiech. Uściskałem staruszkę, jak się tuli bliskiego po długiej rozłące. Jedyny człowiek, przed którym nie miałem tajemnic. Zmierzył mnie od stóp po zmęczone oczy.

– Będzie ze dwa lata, Feliks.

– Z okładem...

– Jak sprawy w Grecji?

– Nic nie wyciągnąłem od tej dziewczyny i chyba się zakochałem...

– Żartujesz. Musisz żartować, synu. Chociaż... No dobra, nie, mów lepiej, jak idzie...

– Prawdę mówię, Marcello. Nie wiem, dla kogo ona pracuje. Widziałem ją z najemnikiem, ale to równie dobrze mógł być kontrwywiad. Nie przeszkodziła mi w likwidacji Polenowa. Żadnych sztuczek z jej strony, nawet kulki w potylicę, trochę jakbyśmy naprawdę się w sobie zakochali.

– To byłoby coś, Feliks. Miałem kiedyś narzeczoną, jej zdjęcie nadal stoi w sypialni w moim rodzinnym domu.

– Ta blondynka z włosami spiętymi w przedpotopowy węzeł, którym mogłaby holować amerykańskie krążowniki? – zapytałem.

– Owszem, chyba jedyna moja miłość, no oprócz ciebie, Feliks – spojrzał na mnie tak, jak patrzył mój tata, kiedy jeszcze żył.

– Nie żartuj, Marcello.

– Nie żartuję, zresztą to ty zacząłeś...

– Masz z nią jakiś kontakt? Z tą blondynką. Będzie ze czterdzieści lat od rozstania, podejrzewam.

– Mam – westchnął Marcello – urywany. Wredna się zrobiła i strasznie się rozżyła, trochę mi tę nostalgię burząc...

– Czemu żecie się rozstali? – brnąłem dalej.

– Była jeszcze jedna kobieta, która potrzebowała mnie bardziej, Feliks...

– Gdybyś nie był Włochem, Marcello, zapytałbym, jaka to kobieta...

Marcello się nie uśmiechnął. Oczy mu drgnęły i ugrzęzły gdzieś w przestrzeni jak autyście na samym krańcu spektrum. Dotknął ciemnej jaskini swojego świata, wspomnień o matce, wyborze, szczeniackiej miłości, życiu z krwi i kości z całą jego skalą szarości. Otworzyłby się i powiedział więcej,

ale czas jak zwykle nie dawał się ubłagać, galopował, zabierając nam cenne minuty jego napiętego kulturowo harmonogramu dnia. Urwał temat tak nagle, jak zaczął, i powrócił do Heleny, dając mi do zrozumienia, że na przyjacielskie pogawędki przyjdzie czas, choćby po drugiej stronie studni, choćby na drugim świecie.

– No to co myślisz o tej Helenie? W co gra? – zapytał.

– Pewnie jest ze służb i jak to służby, wierzy, że broni kraju.

– Gdyby była ze służb, tobym cię wyciągał z kreteńskiego aresztu. W coś gra ta Helena, ale w co?

Marcello wstał i zrobił kilka kroków. Miał problem z kręgosłupem, krzywił się też na twarzy. Tyle informacji w jednej głowie? Musiało go to przytłaczać.

– W cokolwiek by grała, staruszku, Helena nie będzie problemem. Przechodzimy do kolejnej fazy?

– Otóż to. Będziesz miał oczy otwarte na tę dziewczuchę, a teraz zlikwidujesz jeszcze jednego człowieka Pirllettiego, tym razem w Antwerpii. Potem spokojnie posiedzisz pod Parmą i będziesz czekał na sygnał.

– Były jakieś sygnały po śmierci Polenowa?

– Trochę szumu wśród rosyjskiej dyplomacji, ale mało informacji. Poszedł jeden czytelny sygnał do Pirllettiego, że idziemy po niego.

– Będzie chciał się bronić, Marcello. Jak postawisz wszystko na ostrzu noża, któraś ze stron w końcu się na niego nadzieje.

– Feliks, ten gnojek myśli, że jest jakimś greckim bogiem. My tylko handlujemy, coraz częściej nieruchomościami zamiast dragów czy broni. On nam psuje wyjście na prostą. Handel bronią i kontakty z terrorystami, tak? Jakbym się cofnął o kilka dobrych lat. Za kogo on się, kurwa, uważa, żeby próbować destabilizować państwa europejskie?

– Nie przesadzaj.

– Jeśli to prawda, że zgromadził listę z nazwiskami i teraz bawi się w kukiełkowy teatrzyk, najwyższy czas to zakończyć.

Marcello uderzył ręką w stół, jakby grał w kiepskim teatrze. Równie dobrze mógł to być pierwszy objaw wylewu. Poczulem się w obowiązku uspokoić przyjaciela.

– Za kilka miesięcy będzie po wszystkim, a ty spokojnie przejdziesz na emeryturę.

– Wiem nawet, dokąd pojedę...

– Peru?

– Blisko, wszystko ci zdradzę, ale najpierw konkrety. Antwerpia!

– Zamieniam się w słuch...

Wyjął kartkę i wiecznym piórem zaczął pisać, potem rysować, na powrót pisać i objaśniać. Jak na korepetycjach z chemii. Ziewnąłem i wbiłem wzrok w kartkę. Za nim poszedłbym w ogień. Czym przy tym jest likwidacja przekupnego bankiera chowającego się w diamentowej dzielnicy Antwerpii? Wszystko było częścią jakiegoś planu, a czystki kolejnymi zakrętami w chaosie. Byliśmy już na finiszu, to dodawało mi otuchy. Za niedługo emerytura Marcella i moja na greckich wyspach. Marzyłem o domku z drewnianą ścianą, gdzie przyczepiałbym pinezkami kartki z Peru czy innego miejsca, do którego uda się Marcello. Teraz jednak w skupieniu lustrowaliśmy instrukcje na kartce, która spłonie, zanim wyschnie atrament jego wiecznego pióra. Będę mieć sekundy na zapamiętanie adresów, numerów i szczegółów zadania w Antwerpii.

3. Belgijski wafel z Karmelem

Zmywałem krew z rąk w toalecie antwerpskiego domu Rubensa, gdy ktoś zapukał. Na przedramieniu miałem tego za dużo, wyglądała na zaschniętą farbę, której trudno się pozbyć. Ciężko to z siebie zmyć, choć jak się strzela z małej odległości, krew to jedyny ślad oprócz tej pustki w głowie, poczucia absurdu. Ta pustka, coś dziwnego. Zamyśliłem się oteępały. Kolejne coraz mocniejsze uderzenia w drzwi toalety malarskiego giganta Rubensa wyrwały mnie z tego zawieszenia. Odwróciłem się i podszedłem do drzwi. Przytknąłem ucho do solidnego zamka na wysokości klatki piersiowej, czekając na jakieś szepty. Coś, z czego można by cokolwiek wyczytać.

To byli oni.

Czekali po drugiej stronie i uderzali czymś metalowym. Trochę jakby pukali lufami swoich spluw. Żadnych szeptów, żadnego werbalnego sygnału. Nikt nic nie pisał, nie huknął. Żaden zimny głos nie przesączał się przez szczeliny w drzwiach. Mijały sekundy, a ja czułem, że to najwyższy czas na wyjście.

Nie wyjmowałem pistoletu, bo gdzieś go po drodze zgubiłem. Pewnie leżał wypucowany w jakimś antwerpskim śmietniku. Jutro rano obije się o metalowe ściany śmieciarki. Zresztą tych po drugiej stronie spodziewałem się kilku. Skalali się obecnością w domu Rubensa, może nawet zerknęli na jakiś obraz i jeśli posunęli się tak daleko, nie cofną się przed niczym.

Odcliczyłem kilka sekund i uniesioną stopą przekręciłem zamek z półobrotu. Odsunąłem się od drzwi, czekając na napastników.

Cisza, jakby pytali, co w życiu osiągnąłem.

Cisza, jakby o nazwiska pytała policja.

Cisza, którą sieje sam strach.

Może grali na czas, może zakładali, że mam ostre zęby? Nigdy nie gryzę pierwszy. Atakujący ma gorzej, obrońcy zawsze tłuką się do ostatniej kropli krwi. Przynajmniej tam, skąd pochodzę. Stary nie jestem, ale słyszałem coś o tarczach i o tym, że tylko frajerzy dawali sobie założyć kajdanki.

Przedłużało się.

Dawno ucichło pukanie, minuta dobiegła do końca, zdyszana atmosfera gęsta i niejasna jak przeszłość białoruskiego dyplomaty. Szarpnąłem klamkę, a drzwi rozchylały się powoli jak uda początkującej prostytutki. Zobaczyłem korytarz. Pusty. Tylko jakaś starsza pani czekała w kolejce do damskiej toalety. Łypnęła na mnie z typowym dla Francuzów poczuciem wyższości. To nie opowieść o schizofreniku, tych gości już nie było. Byli, ale rozplynęli się w powietrzu, jak przystało na zawodowców. Wiedziałem, że to jeszcze nie koniec. Na razie dali znać, że widzą i śledzą. Trochę jak czwartoklasiści sygnalizowali potrzebę rozmowy. Całkiem zabawne. W tym pojebanym fachu nie można po prostu pogadać, włożyć dwóch polityków do klatki lub powiesić sprzedajnego senatora. Byliśmy skazani na podchody i te noże, które lśnią jak wilcze ślepia w blasku księżycy.

Wyszedłem na zewnątrz, mijając patrola na deptaku. Byłem w muzeum przypadkiem, nie z sympatii do Rubensa i jego wołowiny. Skręciłem w lewo i ruszyłem wzdłuż linii zaparkowanych równiutko samochodów na belgijskich blachach. Jeden z nich miał blachy niemieckie. Na tym świecie nie ma przypadków. Czas na mój ruch.

Szarpnąłem klamkę tylnych drzwi i wślizgnąłem się na tylną kanapę nowej beemki numer siedem. Miękką, szeroką kanapą z lodówką nad podłokietnikiem. Szmery, niemieckie bajery, długa droga, to i karawan musiał być pierwszej ligi. Wcześniej rozpoznałem wschodnie twarze w lusterkach bocznych od strony chodnika, więc nie musiałem wyciągać szczyryka i robić tych cyrków i wywiasów przy krtani kierowcy.

– Jak się podoba diamentowe serce Belgii? – zagadałem pierwszy.

– Znam miejsca w Warszawie, gdzie trzymają większe kamienie – odpowiedział brodaty na przednim fotelu pasażera.

– A ja znam kilku nieszczęśników, którzy na nerkach więcej tego noszą – dorzucił drugi, myśląc nasze przykre spotkanie z występem początkującego komika.

Zerknąłem na ich twarze. Obaj po czterdziestce, skórzane kurtki, koszule w kratę i dżinsy. Twarze posępne, ale inteligentne, skupione, może nawet trochę zamyślane. W alternatywnym życiu byliby ginekologami, którzy w wolne sobotnie popołudnia piszą wiersze, popijając francuskie wino. W tym życiu ich profesje były skryte jak pragnienia irańskich gejów. Ten z kierownicą w ręku zajął się nawigacją, ten z fotela pasażera uraczył mnie rozmową.

– Co tam słychać w wielkim świecie? – zapytał z rozbrajającą szczerością przygłupa. – Nazywam się Andrzej, a to mój kolega Waclaw, reszta niech będzie rebusem.

Andrzej i Waclaw, dobre. Od tej pory Waclaw będzie dla mnie tym, kim był od samego początku – zwykłym Wackiem, i tak od teraz będę się do niego zwracał. Po prostu nie jestem w stanie się opanować. To niskie i głupie, wiem. Wiem i zwyczajnie nie potrafię się powstrzymać.

– Wasze imiona tak pięknie się zgrywiają, że to taki rebus dla przedszkolaków.

– Ciesz się, że nie wzięliśmy Barbary, wracałbyś teraz w klatce jak małpa.

– Już ja was znam, bystrzaki z AW. Wy się tam z kontrwywiadem nie lubicie i co do tego chyba się zgadzamy i możemy sobie podać dłonie.

– Możesz je unieść, zaklaskać, cokolwiek – ciągnął Andrzej, jakby mu to sprawiało przyjemność. – Skup się, pytam, co tam w wielkim świecie.

– W Japonii mało dzieci się rodzi. W Kongo dalej nielegalnie handlują gorylami do prywatnych kolekcji. Żeby porwać małego goryla, trzeba wybić nieraz całą rodzinę, bo tak zaciekle bronią małego, uwierzysz? Smutne to, sam powiedz...

– O czym ty pierdolisz???

– Co jeszcze na świecie, hmmm... kryzys, młodych na mieszkania nie stać, lód topnieje – ciągnąłem. – Ja tam ten wielki świat z lotu bociana nie obdarzyłbym większą nadzieją.

– O makaroniarzy chodzi, Nero, właściwie o jednego makaroniarza – Andrzej użył określenia sprzed ery poprawności politycznej.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, przykro mi – odparłem.

Wacek chwycił drążek i coś przy nim zamieszkał. Redukcja, zakręt i gaz do dechy, zarzuciło tyłkiem beemki, bo tam ma napęd. Tylko Niemcy to potrafią, może Włosi też, ale te motoryzacyjne bzdety na inną okazję.

– Panowie, może zaczniemy od początku. Co was tu sprowadza? – spytałem.

– Jak to co? – włączył się Waclaw. – Antwerpia, otwarcie galerii po remoncie, Rubens i kilku innych. Sztuka, kolego...

Przewróciłem oczami. Takie właśnie z nimi były rozmowy. Wiedzieli, że gadają z cichą myszką, przy nich musiałem panować nad sobą, nie rumakować, bo oni trochę jak moje cienie, trochę jakbym od nich zależał, ale tylko trochę.

– Ździebko się tu wygłupiamy, Nero, to tak z miłości. Ile to już na uchodźstwie? Jak tak żeśmy cię obserwowali, to aż czasem się kurzy za tobą, tak szybko chodzisz.

– Ktoś tam kiedyś pierdolnął, że taka twoja wartość, ilu masz wrogów – nie planowałem tego mówić, samo wyszło.

– Policzmy zatem – Wacek oderwał dłoń od kierownicy – pół naszej kochanej AW, kierownictwo kontrwywiadu, kilku ministrów i ten z policji, ale zapomniałem nazwiska.

Skończyły mu się palce. Wiedzieli sporo jak na szeregowych, chociaż skandal z moim udziałem odbił się szerokim echem. Wiedziały o tym media, służby. Ewakuowałem się z ojczyzny w trybie ekspresowym, a na moją ucieczkę wymyślono pretensjonalną nazwę „Feliksit”. Tak było, a o co chodziło, to innym razem opowiem. Opowiem, spiszę i może wyda to jakieś harde wydawnictwo, zobaczymy. Na razie zostawię to biografom albo organizatorom mojego benefisu. Szkoda tylko, że to afera szpiegowska, że zdemaskowałem korupcję w służbach i zamiast pomnika dostałem wyrok, a zamiast triumfalnego wjazdu na białym rumaku wypchnęli mnie bocznymi drzwiami, łaskawie nie zabijając. Rozumiałem to doskonale, bo znam swój fach, ale w środku zabolalo. Można coś zrozumieć, a wciąż czuć ogromny ból, można sobie wszystko wytłumaczyć jakąś narracją z książek psychologicznych, lecz nadal wyczuwać tłący się żar w klatce. Tak jak teraz, gdy Wacek i Andrzej uprawiają podśmiejuchki. Tra-cielem cierpliwość i Andrzej to zauważył.

– Spokojnie, Nero. My tylko tu szoferujemy. Masz gościa...

Wjechaliśmy na skraj parku, którego ścieżki były ledwie widoczne wśród rozłożystych drzew. Kilku biegaczy klasy średniej, kobieta z wózkiem, na ławce mężczyzna z książką, na brzegu małego jeziora staruszka karmiąca kaczki. Nieco poniżej dwóch metrów, lekka siwizna.

– Jesteśmy.

Wyszedłem i spokojnie podszedłem do jeziora. Było czyściutkie jak boskie źródełko. Wyjąłem siatkę z jedzeniem, którą dał mi Wacek. Kilka kaczek podpłynęło i skosztowało, czego tam Wacek nie dojadł. W połowie zjedzony belgijski wafel był trochę jeszcze ciepły, choć bez cukru czy śmietany, taki nagi. Zwierzęta nie mogą jeść cukru, Wacek miał głowę na karku.

– Feliks?

Zignorowałem to przywitanie. Znałem doskonale ten głos, ten niski, basowy głos, który brzmiał, jakby go Pan Bóg dla radia wyciosał. Mógłby mi czytać powieści do snu, Dostojewskiego, mógłby czytać ulotki leków, skład parówek, pozwy czy paski polskiej telewizji, bez różnicy. Głos należał do Włodka Karmela. To był w Polsce mój anioł stróż, były szef, który krył mnie, jak tylko mógł, pomagał uciekać. Od mojego zniknięcia jedyny kontakt w Polsce, jedyna przyjazna dusza w tym pojebanym świecie, gdzie ojczyzna jest ci piekłem. Był wyżej niż wysoko w strukturach Agencji Wywiadu i poruszał się błędnie między służbami a polityką. Dlatego przetrwał i prosperował. W tamtym antwerpskim parku widzieliśmy się krótko przed burzą. Było spokojnie i cicho, a kaczki delikatnie muskały tafel wody.

– Zostawcie to nam, Feliks. Powiedz Robertiniemu, żeby się nie mieszał.

– Za późno, Włodek. Już tu jestem, Pirletti stracił kolejnego inwestora.

– Pirletti jest tylko czubkiem góry lodowej.

– Dla mnie może być samym czubkiem, rozmowy się skończyły. Co wam tak na tym zależy?

– On jest chroniony przez firmę, która zatrudnia rosyjskich najemników. Mają komórkę w Polsce. Wiem, że sprawa sięga głębiej, aż do wpływów rosyjskich agentów w szeregach ABW. Tu chodzi o syf, który nas draży od wielu lat, sprawa Pirlettiego to nowe dowody w sprawie, rozumiesz?

– Jesteście jak lusterka wsteczne, Włodek. Lepiej patrzeć w przód, zrozum. Chodzi ci o Antonowa? Skoro rosyjski bandyta ma jakieś układy z ABW, oznacza to, że nie ma woli gruntownej zmiany w kontrwywiadzie. Ledwo uszedłem z życiem, jak skurwysyna chwyciłem za rękę.

– Wracasz z powrotem w paszczę lwa.

– Nie mam wyboru, to już koniec – powiedziałem. – Dostarczę Pirlettiego Włochom tym czy innym sposobem. Tu chodzi już bardziej o bezpieczeństwo europejskie, a nie o pierdolone polskie podwórko i te przepychanki, kto ma rację.

– Wiedz, że nie będę miał wystarczająco długich ramion, by cię znowu wyciągać z bagna. Stajesz po przeciwnej stronie, Feliks.

– Włodek, w pojedynkę czy we dwóch nie przeprowadza się rewolucji, próbowałem już. Pomogę ci na tyle, na ile mogę, w zamian za krycie i logistykę na miejscu, okej? Domyślam się, czego chcesz w zamian...

– To ostatnie, czego pragnę przed emeryturą...

– Martwego czy żywego?

– Nieistotne – Włodek rozejrzał się po pustym parku, szukając wiewiórek na gałęziach. – Cokolwiek potrzebujesz, by go zlikwidować.

– Antonow to nie byle bankier, Włodek, prosisz o coś, co graniczy z niemożliwością.

– W sam raz dla kogoś twojego kalibru, Feliks.

– Nic nie obiecuję, Włodek, nic nie obiecuję.

– Kiedy lądujesz w Polsce? – spytał Karmel.

– Niebawem. Nie chcę tego, ale to włoskie porachunki, które są też moim interesem. Pirletti nie ruszy się z Polski, wie, że Robertini wyśle mnie, a kontrwywiad dopadnie mnie szybciej, niż zdążę zamówić taryfę na dworcu.

– Dać się zabić przez jakiegoś makaroniarza... Dostaniesz, co potrzebujesz, ale to loteria. Z mojej strony też żadnych obietnic, Feliks.

– Końcówka lata, kilka dni w starym kraju i po robocie. – Skończyły mi się kawałki wafła.

Spojrzałem na Włodka, jakbym patrzył na starą fotografię. Miałem do niego sentyment, ale też cieszyłem się, że ten etap za mną. Etap polskich służb i wiary w te dyrdymały. Nie mówiłem głośno, bo to jednak w imię tych haseł Włodek poświęcił talent i możliwości. Nadal wierzył, a ja tę jego wiarę szczerze podziwiałem. Mógłby zapłacić nią Licheń i puste polskie seminaria. Mógłby przenieść Giewont pod samo Władysławowo, taką miał wiarę.

Udałem się w stronę antwerpskiego dworca, skąd złapałem pociąg w stronę Szwajcarii i przedarłem się przez Alpy do Włoch jak generał Bonaparte przed dwoma wiekami. Tyle że nie miałem ani talentu, ani żadnej wizji na nową Europę. Miałem swoją Józefinę, gdzieś daleko poza zasięgiem ramion, ale w zasięgu powracających myśli i wspomnień, które odganiałem, ile sił w woli.

W Italii rozsiadłem się wygodnie gdzieś głęboko schowany między Apeninami a Alpami, w prowincji, która w południe rozgrzewała się do trzydziestu pięciu stopni, zatykając nawet najbardziej prze-

pastne płuca brakiem choćby homeopatycznych ilości tlenu. W duchocie Emilii czekałem, aż w końcu nadszedł dzień, w którym skończył się spacerowy krok, niezmacony umysł i nieprzesadnie czyste sumienie. Przyjechał goniec, przynosząc kolejne strzałki w naszych europejskich podchodach, w których połowa graczy nie dożyje końca tamtego lata. Jak mówił pewien napoleoński marszałek: do Antwerpii miałem z górki. Teraz zaczną się prawdziwe schody.

4. Z ziemi włoskiej do polskiej

Zawsze miałem więcej ułańskiej fantazji niż zdrowego rozsądku. Po ojcu. Miałem także więcej szczęścia niż rozumu. Krótko byłem w wojsku, potem jeszcze krócej w jednostce specjalnej. Później pracowałem dla polskiego wywiadu i na końcu dla gangsterów. Wtedy zdałem sobie sprawę, że to ci sami ludzie. Wywiadowcy, gangsterzy, ekszołnierze i komandos. Zabójcy i szefowie. Polityczne kukielki i poważni panowie. Różne sorty, różne działalności. Jedna wielka wspólnota, którą łączy matka pycha i ojciec zarobek. Jeśli ktoś był cwany, to zmieniał zarobek na fortunę i gdzieś głęboko w Grecji kupował willę białą jak amerykański uśmiech. Potem żył krótko, ale szczęśliwie. Nie chciałem tak skończyć, dlatego pracowałem dla Robertiniego do samego końca. Tymczasem...

Spragniony przygód, czekałem na kolejne instrukcje. Siedziałem w barze Cartablanca we włoskim Sorbolo, dziurze tak nieistotnej, że ominąby ją nawet koniec świata. Zamówiłem kawę, ale nie na wynos. Miałem przed sobą cały boży dzień, więc cappuccino przyszło w filiżance. Otworzyłem magazyn i zacząłem przeglądać nowe trendy we włoskiej modzie, gdy do baru wszedł biały człowiek. To było nas już dwóch. Wkoło sami spaleni przez słońce Włosi i dwie białe twarze, jak kiedyś tam daleko na kolumbijskim wybrzeżu. Zamówił to co ja, wypił i wyszedł. Na czole miał wypisane: „Przysłali mnie, by pogadać”. Akurat miałem ochotę z kimś pogadać. Spokojnie obejrzałem więc sierpniowy „Vogue” do końca i wyszedłem, życząc zebranym miłego dnia.

Wsiadłem do szarego golf'a i po kilku przecznicach wyjechałem na polną drogę. Czarny seat z wypożyczalni trzymał się pięćdziesiąt metrów za mną. Skręciłem na parking małego pałacyku, w którym mieściła się galeria sztuki i doskonała restauracja z tradycyjnymi potrawami regionu Emilia. Kilkanaście zaparkowanych aut i jedna włoska rodzinka awanturująca się koło swojego minivana. Zaparkowałem i opuściłem oparcie fotela tak, by zasłaniał mnie słupek między przednimi siedzeniami i drzwiami tylnej kanapy. Spokojnie czekałem, aż seat podjedzie. Włączyłem radio i melodyjny włoski język wypełnił samochód.

Minęło kilka minut. Dźwięk otwieranych drzwi i francuski zapach wypełnił kabinę. Nie musiałem ruszać głową, wcześniej ustawiłem lusterko tak, bym mógł patrzeć w twarz rozmówcy. Leżąc na obniżonym oparciu, nie drgnąłem, wpatrując się w oczy bruneta. On z kolei obejrzał rękawy swojej marynarki i poprawił mankiety koszuli. Wystawały dokładnie piętnaście milimetrów.

– Panie Feliksie, dobre wieści, to znaczy złe, ale dla pana dobre. W zeszłym tygodniu w Zurychu doszło do aresztowania kilku zamachowców – przeszedł prosto do sedna, jakby gorszyła go ekoskóra w volkswagenie. – Z tego, co ustalili nasi ludzie, kupowali broń przechodzącą przez polską granicę.

– Przemyt przez polskie granice? Nie mogę wprost uwierzyć...

– Tylko bez żartów. Ostrzegli mnie, że jest pan rozbisurmaniony.

– Jaki?

– Dowcipny, ale mnie zupełnie to nie śmieszy – przekręcił głowę w moją stronę, dając znak ręką, bym to uciął. – Nie mamy wielu tropów, ale to, co mamy, prowadzi do człowieka o nazwisku Pirletti.

– Gdzieś to już słyszałem...

– To czas, panie Feliks.

– Gdzie?

Facet zrobił pauzę, jak gdyby się wahał. Trwała na tyle długo, że zrozumiałem, że naprawdę się wahał.

– Nie będzie pan zadowolony... – spojrzał jak ktoś, kto puścił baka.

– Nie ma, kurwa, takiej opcji. – Gdyby nie podsufitka, zerwałbym się na równe nogi. – Polska, w porządku, ale nie stolica. Nie działał na terenie Warszawy, macie swoich tam na miejscu. Chwilami rozważam samobójstwo, ale jeszcze nie teraz, nie teraz.

– Dokładnie dlatego pan to robi. Jest pan cały czas poza granicami i nie jest zaangażowany w wewnętrzne sprawy.

– Bo mam ku temu pierdolone powody! Co na to Marcello? Wie przecież, że to u mnie problem, Polska i moje CV przed pracą we Włoszech.

– Nie miał wyjścia. Ma pan odpowiednie kontakty, a sprawa jest pilna. Pirletti specjalnie nie rusza się z Warszawy, musi przeczuwać, musiał dostać ostrzeżenie.

– Dla niego to dziki Wschód, parkiet, który zniesie każdy piruet. Kto jeszcze zostanie przydzielony do tej sprawy?

– Panu Robertiniemu zależy na wciągnięciu obcych, by rozproszyć odpowiedzialność i wprowadzić dodatkowy zamęt. Zespół został już mniej więcej ustalony. Im mniej, tym lepiej. Sprawą zajmują się także Brytyjczycy, więc na początku wizyta w Londynie. Za tydzień w kawiarni hotelu Sofitel będzie czekać ktoś od nas. Zda pan raport i wymienicie się informacjami. Jakies pytania?

– Milion, ale raczej nieistotne. Wyjdzie w praniu – opuściłem szybę, wpuszczając świeże powietrze.

Elegancki brunet wręczył mi kopertę z dokumentami i gotówką. Nie podał ręki. Szkoda, bo to piękny polski zwyczaj. Mijający się kierowcy autobusów machają do siebie przyjaźnie, my tańczyliśmy ze śmiercią, a nie stać nas było na uścisk dłoni zwykleszy niż kromka chleba z masłem. Nieznajomy strzepał niewidzialny pyłek z marynarki i wsiadł do taniego auta z wyrazem obrzydzenia. Biedaczyna. Czy istnieje żel pod prysznic zdolny zmyć brud rozmowy z kimś takim jak ja? Rozglądał się dyskretnie, czy nikt go nie obserwuje. Ruchy jak z podręcznika na pierwszym szkoleniu. Założył rękawiczki jednorazowe i wsiadł do auta. Czuję się, jakbym czytał kiepską powieść szpiegowską. Nie Le Carré czy Suworowa. Raczej jedną z tych tanich w witrynie kiosku. Odpalił i odjechał w stronę malutkiego lotniska w Parmie. Zdążyłem dojrzeć jego twarz w lusterku. Niejeden nagrobek miewa mniej kamienny wyraz.

Wsunąłem kopertę do schowka, włączyłem radio i wrzuciłem pierwszy bieg. Potoczyłem się do wyjazdu i skręciłem w powrotną stronę do Sorbolo. Znałem rozkład lotów na pamięć. Wiedziałem, że najbliższy boeing do Londynu odlatuje nad ranem z Bolonii.

Włączyłem tempomat i pojechałem stałą prędkością, myśląc o Pirlettim, Polsce i o tym, czy wyjdę z tego żywy. Auto sunęło pomiędzy łanami zbóż czekających na żniwa. *Nie wyjdę, bez szans*, pomyślałem. Zobaczyłem przydrożną kapliczkę z Maryją ubraną na niebiesko. Miała delikatny uśmiech. Jeszcze

ten jeden, ostatni raz, potem otworzę firmę i zajmę się konsultingiem dla międzynarodowych korporacji. Maryja miała uniesioną rękę w geście błogosławieństwa. *Wyjść z tego żywy*, powtórzyłem w myślach, jakbym sam siebie musiał przekonać. Wziąłem głęboki oddech i z braku towarzystwa uśmiechnąłem się do pustej drogi przede mną.

Wysiadłem na stacji London Victoria. Tłum poważnych panów w tanich garniturach Marks & Spencer gonil swoje marzenia, przepychając się na płycie wielkiego dworca. Włączyłem się do nurtu ludzkiej masy podążającej w stronę Buckingham Palace. W drodze zauważyłem grupę turystów i usiadłem im na ogonie. Trzymałem się blisko ostatniej pary, która zmieniała kanały w audioprzewodniku. Przysłuchałem się ich rozmowie i szybko rozpoznałem język grecki. Przewodnik machnął ręką, przywołując porządek. Stanęliśmy przy bramie pałacu rodziny królewskiej i wsłuchaliśmy się w oklepane anegdoty o królowej.

Obejrzałem się, jak to turyści mają w zwyczaju, i nie widząc nic nadzwyczajnego, ruszyłem wzdłuż alei The Mall. Odłączyłem się od grupy Greków, którzy zaczęli podejrzewać, że mają pasażera na gapę. Przemaszzerowałem wzdłuż zaparkowanych busów stacji informacyjnych i wyjąłem paczkę papierosów. Zwykle nie palę, ale przy robocie mnie to odpręża, więc sobie pozwalam. Londyn to najpilniej strzeżone miasto na świecie, najlepsze gliny i wybitny wywiad. Wziąłem zatem dwie paczki czerwonych marlboro. Gdyby to był Berlin, miałbym tylko jedną. Tutaj jednak musiałem liczyć się z obecnością Jamesa Bonda. Nie ma żartów, panowie.

Moje ulubione miejsce w Londynie to Trafalgar Square. Poczulem kilkusekundową zadumę, gdy po raz kolejny stanąłem pod kolumną Nelsona, którego podobno ściągnął snajper Napoleona przez te kretyńskie oznaczenia generalskie na piersi. Od tamtego czasu nie odróżnisz francuskiego marszałka lub samego boga wojny od zwykłego szeregowego na polu walki. To samo przerabiają co jakiś czas bolszewiki, potem sowieci, a na końcu tej wspaniałej ewolucji Rosjanie. To jednak wojenne opowieści, których mam milion, ale może nie przy Nelsonie, nie na Trafalgar, nie w Londynie.

Zerknąłem na Big Bena w oddali, mając oddech ogromnych lwów na plecach. Słońce wyszło zza chmur i oświetliło tłumy na placu i bocznych ulicach. Zbliżała się pora obiadu. Kolejka turystów chcących obejrzeć słoneczniki van Gogha w Galerii Narodowej zmniejszyła się o połowę. Wszedłem bez kolejki, pokazując międzynarodową kartę pracowników muzeów, która upoważniała do darmowego wstępu do każdego cywilizowanego muzeum i galerii na świecie. Dostałem ją kiedyś od Włocha, który potrafił załatwić każdą legitymację, jaką tylko mogłem sobie wymarzyć. Obsługa rzuciła okiem i spytała, czy jestem w jakiejś konkretnej sprawie. Odpowiedziałem, że przyszedłem rzucić okiem na włoski renesans. „Na prawo i schodami w górę”, powiedziała przemiła brunetka ze śródziemnomorskim akcentem.

Umówiłem się z Richardem, żeby wpadał do Galerii Narodowej raz w tygodniu, najlepiej we wtorki. Nie chciałem jechać do jego mieszkania na Wimbledonie z obawy przed Scotland Yardem. Richard mógłby wpaść w tarapaty, gdyby angielskie gliny przyłapały go na kontaktach z człowiekiem o wschodnich rysach, który figurował na czerwonej liście Interpolu. Pewne zasady obowiązywały, w końcu pracował dla brytyjskiej komórki, która oficjalnie nie istniała. Całkiem to wszystko pokręcone.

Dotarłem do sal wczesnego renesansu i rozejrzałem się po całym skrzydle. Białe ściany i sakralne obrazy atakujące bogactwem figur, wzorów i kolorów. Spojrzałem w głąb korytarza, który kończył się

ciemną salą z obrazem Leonarda da Vinci. Przy umiarkowanym tłumie dojrzałem wysokiego mężczyznę, który zerkał na tabliczkę pod obrazem. Miał granatową kurtkę i beżowe chinosy. Włosy opadły mu na czoło, gdy podniósł bilet z posadzki. Byliśmy teraz sami w ciemnym pomieszczeniu, wpatrując się w leonardowską Madonnę wśród skał. Stałem nieco przed nim i wbiłem wzrok w jednego z aniołów. Usłyszałem, jak cedzi zdania z brytyjskim akcentem. Zawsze miło posłuchać londyńskiego akcentu kolonizatorów, którzy brzmią, jakby mieli upośledzony aparat mowy.

– Naprzeciw teatru Trafalgar, w kawiarni Old Shades. Po obiedzie, około trzeciej.

– W porządku – mruknąłem pod nosem. – A przy okazji, nie wydaje ci się, że postacie anioła i Madonny mają identyczne twarze?

Odpowiedziało mi milczenie. Obróciłem się powoli i zdałem sobie sprawę, że Richard już poszedł. Nie goniłem go, chociaż liczyłem na pogawędkę o starym, poczciwym mistrzu Leonardo, który, jak sam twierdził, nie chciał być wielki, on po prostu przydarzył się światowej sztuce.

Wnętrze kawiarni Old Shades było wykonane z ciemnego drewna i przypominało pokład jednego z potężnych statków Nelsona. Potężny bar i dobrze ubrana obsługa. Ceny wysokie, ale bez przesady. Przyjemne warunki, by wypić herbatę lub szklaneczkę ciemnego piwa. Przy wejściu przywitał mnie młodzieniec w bordowej koszuli. Poprosiłem o szklanekę guinnessa i usiadłem na kanapie naprzeciwko Richarda. Jego brązowe oczy lustrowały pomieszczenie. Nie spuszczał wejścia z oczu i przyglądał się każdemu klientowi. Przynajmniej ja mogłem spokojnie usiąść i zebrać myśli jak niesforne dzieciaki w dwuszeregu. Uśmiechnął się po angielsku, jakby za wszelką cenę nie chciał okazać cienia radości. Rich czasami mnie bawił, szczególnie jak zgrywał pokerzystę.

– Dobrze cię widzieć – zacząłem.

– Ciebie też. Sporo się działo ostatnio – Rich oderwał wzrok od wejścia i spojrzał mi w oczy.

– Pozwól, że przez higienę nie zapytam.

– Bez szaleństw, ale muszę wspomnieć o Benku.

– Co z nim?

– Oberwał w lewe ramię w Brukseli. Miał w zespole podwójnego agenta, którego zdemaskowali. Wpadli i wystrzelali pół składu, ale Benkowi cudem udało się przeżyć. Strzelaninę zgłosił przechodzień, gliny musiały być akurat w pobliżu, bo szybko pojawiło się kilka radiowozów i odcięli drogę ucieczki. Wyłapali wszystkich.

– Mógłbyś notki prasowe pisać, Rich. Poza tym wszystko z Benkiem w porządku?

– Tak, ręka unieruchomiona na kilka tygodni, więc klepie tylko jedną za biurkiem. Na chwilę wrócił do IT. Nigdy nie widziałem go smutniejszego.

– Biedak. Cóż. Przyda się i tak... – spojrzałem na Richarda, który kiwnął głową. – Słuchaj, góra wysłała mnie do Warszawy. Ten Włoch, Pirletti, może mieć coś wspólnego z bałaganem w Zurychu.

– Chwila, chcę go sprzątnąć czy tylko mieć na oku?

– Tego nie wiem – odpowiedziałem. – Myślę, że chcę go żywego. Nie wysłali zabójcy, przyjechali do mnie. Do zwykłego ułana...

– Jaka skromność... Ułana z niezwykłymi zdolnościami... Masz jakiś plan?

– Zaraz się rozplynę, Rich. Tyle miłości... Plan? Po pierwsze, powiedz, czy w to wchodzisz.

– Pozwolę sobie nie odpowiadać na głupie pytania. Szef liczy na inicjatywę, jak oni to naz... proaktywność, tak? Jebanej proaktywności oczekują.

– Po tym to i podwyżkę ci klepną i jakiś medal za odwagę dadzą, ale nie będziemy tutaj o tym gadać. Skontaktuj się z Benkiem, przyda nam się człowiek z IT – uśmiechnąłem się.

– Kiedy zaczynamy? – Richard spił piankę ze swojego lagera.

– Za trzy dni cała logistyka w Warszawie będzie gotowa. Sprzęt, zabezpieczenia i niezbędne kontakty. Spotkamy się w sobotę, na dziesiątym piętrze Proximo I, przy rondzie Daszyńskiego. Będziemy mieli wynajętą część biura naprzeciwko budynku, gdzie urzęduje Pirletti.

Wyjąłem z kieszeni dwa identyfikatory – magnetyczne karty do bramek i wind w budynku Proximo I – i wręczyłem je Richardowi z prośbą, by przekazał jeden Benkowi. Richard dał mi znak, że do kawiarni weszło dwóch intruzów. Wyglądali na turystów, ale ostrożności nigdy za wiele. Na szczęście nie miałem nic więcej do powiedzenia. Spojrzałem na trzy centymetry pianki na moim piwie.

– Chelsea London nadal poza pierwszą czwórką w tabeli? – spojrzałem na kolegę, błagając, by nie pociągnął tego tematu.

5. Taksiarz spod Centralnej

„Warszawa! Warszawa!”, krzyknął młody chłopak o twarzy w barwie dolnego pasa naszej flagi. Legia grała ważny mecz. Było pochmurno. Powoli zbliżała się warszawska jesień w mieście, którego nienawidziłem, by później pokochać. Z lotniska wziąłem taksówkę na Muranów. Wysiadłem na Karmelickiej, by przejść się piechotą na Nowolipie, gdzie wcześniej przygotowano mieszkanie pod operację. Ostatnie sierpniowe dni żegnały upalną część lata, choć upał nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Rozpiąłem ostatni guzik koszuli i podwinąłem rękawy. Obejrzałem się w szybie zaparkowanego auta. Ostatnie dwie noce spędziłem, szukając informacji o Pirlettim, co było widać w moim odbiciu. Zmęczone oczy potrzebowały kawy. Przejechałem dłonią po zarosie. Przydałaby mi się także maszynka. Dorzuciłbym jeszcze zgrabną blondynkę do tej listy i mógłbym z miejsca udać się na wczesną emeryturę. Szpiedzy też ludzie. Gangsterzy też zwierzęta. Większa część to impotenci, bo stres robi swoje. Mnie jednak nie dotyczyły tego typu dylematy. Obraz blond włosów zaprzętał mój umysł do samej klatki schodowej. Kratka, pin, klucz. Kilkanaście schodów i stanąłem w jasnym apartamencie.

Odstawiłem walizkę i popędziłem do ekspresu, przy którym młynek czekał w gotowości. Zapach kawy wypełnił open space trzypokojowego mieszkania. Dotarł w każdy róg i za każdą firankę. Usiadłem przy kuchennej wyspie wielkości przeciętnego angielskiego hrabstwa i przejrzałem przygotowane materiały. Było tam kilka wycinków prasowych o Pirlettim, mapa z zaznaczonymi adresami i kieszonkowe wydanie skandynawskiego kryminału.

Wziąłem powieść do ręki i zacząłem ją kartkować, szukając podkreślonych wyrazów na losowych akapitach. Oznaczone strony tworzyły kombinacje cyfr według oznaczeń na zakładce w środku książki. Spisałem numer rejestracyjny, domyślając się, do kogo należy. Dawno nie byłem w Warszawie i wypadłem z obiegu. To była najwyższa pora na powrót. Wystarczyło tylko odświeżyć kilka kontaktów i odwiedzić kilku starych znajomych. Postanowiłem najpierw znaleźć samochód z blachami W10006S i uciąć sobie pogawędkę z jego właścicielem. Dokończyłem kawę smaczną jak kilkadziesiąt dziewięć

czekających za progiem rajy i ruszyłem w drogę. Przed spotkaniem z moim zespołem chciałem mieć już jakieś konkrety.

Wyszedłem z budynku i skierowałem się w stronę alei nazwanej po naszym papieżu. Minąłem Hałę Mirowską, przeciąłem rondo ONZ i zbliżałem się do Dworca Centralnego. Skręciłem w Złotą, minąłem Tarasy i przed moimi oczami wyrósł warszawski dworzec PKP. Przy głównym wejściu leżał bezdomny rozciągnięty na całej długości ławki. Jedną rękę miał zanurzoną we własnych wymiocinach. Proza życia stolicy, która wita turystów wychodzących z podziemi dworca. Podszedłem do niego i wsunąłem mu pięćdziesiąt złotych w kieszeń na piersi. Nie drgnął, ale oddychał nieprzytomnie, pozbawiony godności ludzkiej i szacunku do samego siebie. Zupełnie jak koledzy z wywiadu.

Roźglądałem się chwilę po parkingu przed dworcem. „Pod latarnią najciemniej”, powtarzała mi babcia lub dziadek, lub przeczytałem to w jakiejś księdze przysłów polskich, dokładnie nie pamiętam. Wiem, że jeśli blachy zaczynają się na WI, to oznacza, że trzeba szukać na Śródmieściu. Dworzec to dobry punkt orientacyjny. Zwykle tam czają się taksówkarze i prywatni kierowcy. Szukałem tego jednego, konkretnego kierowcy o konkretnej charakterystyce. Wśród tłumu taksówkarzy jeden był cichym obserwatorem miasta. Wiedział, kto przyjeżdża i odjeżdża. Monitorował ruch między dworcem, lotniskiem i strategicznymi punktami miasta. Śledził ruch prywatnych limuzyn i kierowców klasy VIP. Słuchał kluczowych rozmów, wożąc nieprzypadkowych ludzi. Rekinów biznesu i inne grube ryby wszelakich służb. Charakter pracy pasował do policji, ale nie w tym przypadku. Elitarny szofer, którego potrzebowałem po mojej stronie.

Stałem przez chwilę, lustrując parking. Z Alei Jerozolimskich wylewała się rzeka samochodów, które skręcały w stronę dworca, tworząc korek. Klaksony i krzyki przecinały powietrze. W długiej kolejce dostrzegłem kilka czarnych mercedesów, lecz to nie był żaden z nich. Zatem musiało to być audi. Z jakiegoś nieznanego mi powodu zwykle jeździli tą marką samochodów. Cztery koła przypominające logo olimpiady. Kilka niemieckich maszyn wjechało na parking. Jedna z nich stanęła nieco z tyłu, nie podjeżdżając pod schody. Młoda parka zasłoniła mi widok tablic rejestracyjnych. Pocałowali się. Mężczyzna wypuścił walizki z rąk i objął ukochaną w pół. Ona zawisła mu na szyi i nie chciała puszczać, jakby właśnie wsiadała na pokład Titanica i miała złe przeczucia. Uniosła nogi do góry i odsłoniła mi część rejestracji. Zaczynała się na odpowiednie litery. WI. Co dalej? Zakochane skowronki wreszcie odsłoniły zaparkowany samochód.

Niestety.

Zła tablica.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko zapalić i poczekać. Jak pomyślałem, tak zrobiłem, choć w idealnym świecie szofer stałby grzecznie, czekając na moje przybycie. Nie byłem jednak pępkiem świata i musiałem jakoś to przelknąć.

Kończyłem drugiego papierosa, gdy łaskawie się zjawił. Było to audi z szybami czarnymi jak śląskie złoto. Podjechał pod schody i stanął w rzędzie taksówek. Upewniłem się, czy blachy się zgadzają, i podszedłem do tylnych drzwi, szarpiąc za klamkę. Drzwi były zamknięte. Spojrzałem w lusterko, ale przez przyciemnione szyby nie byłem w stanie stwierdzić, czy patrzę komuś w oczy. Przednia szyba zjechała w dół kilka centymetrów, tworząc szczelinę, przez którą popłynął niski głos.

– Właśnie otrzymałem zgłoszenie. Proszę udać się do innej taksówki.

Kolor koguta z napisem taxi zmienił się na czerwony. Obawiałem się, że facet nie będzie skory do rozmowy. Nie było innego wyjścia, trzeba było najnormalniej w świecie improwizować.

Parking pod Dworcem Centralnym to nie miejsce do cyrkowania. Żadnych bijatyk, machania spluwami i przepychanek. Szofer był sprytny, ale nie takich już przerabiałem. Nie było czasu na myślenie. Szczelina w przedniej szybie jeszcze przez moment była wystarczająco spora, by mu coś wrzucić. Wziąłem ostatniego macha i wepchnąłem niedopałek papierosa, który w iskrach wylądował na kolanach kierowcy. Usłyszałem wytarte polskie przekleństwa i dźwięk zwalnianej blokady drzwi. Kierowca wyskoczył jak poparzony z czarną smugą na wykrochmalonej koszuli. Miał zaciśnięte zęby i oczy boksera przed walką. W popłochu nie zdążył mi się przyjrzeć. Nie zdążył nawet rzucić jednej kurwy na świeżym powietrzu.

Skoczyłem w jego kierunku, przyciskając go do swojej piersi, przy której trzymałem pistolet pod kurtką. Wbiłem mu go teraz pod żebra, zabierając oddech. Drugą ręką objąłem go i przytuliłem, jakbyśmy się witali po długiej rozłące. Kiedy on próbował złapać oddech, ja wyszeptalem mu do ucha:

– Ważniejszego zgłoszenia dziś nie będzie. Skończ pajacować i nie popisuj się przy ludziach.

Wsiadłem na tylną kanapę, dając czas kierowcy, by wrócił do siebie. Minęło kilka chwil, zanim usiadł z powrotem za kółkiem. Jego czerwona twarz na tle kremowej skórzanej tapicerki wyglądała jak truskawka w bitej śmietanie. Włączył tryb jazdy i samochód powoli ruszył do przodu.

– Coś tu zalatuje papierosami... Palenie w takim eleganckim dylizansie?

– Czemu zawdzięczam pańską wizytę? – zwrócił się do mnie jak do prezydenta.

– Jeszcze chwilę temu byłem śmieciem niezasługującym na podwózkę, a teraz nagle panie prezydencie...

– Żle pana oceniłem.

– Feliks, żaden pan – zmieniłem głos, odzyskując powagę. – Nie mieliśmy okazji. Skręć w Marszałkowską, a potem plac Bankowy i aleją Solidarności w stronę Woli. Zajmę ci chwilę, może dwie.

Minęliśmy Pałac Kultury i skręciliśmy w lewo. Wyjąłem kopertę i podałem ją szoferowi. To była koperta wypchana amerykańskimi dolarami. Poczulem ulgę, że nie muszę więcej jej nosić. Była ciężka i nieporęczna jak poczucie winy. Zdażyłem się już zirytować zamkniętymi drzwiami, więc nie sililem się na small talk. Kierowca zajrzał do koperty, która rozpogodziła na chwilę jego oblicze.

– Pirletti. Co ci mówi to nazwisko?

– Hm... obawiam się, że nie znam...

Stanęliśmy na światłach. Zwykle nie tracę cierpliwości, ale kierowca zakłócił mój zen. Sren. Cokolwiek. Otworzył moje czakry gniewu, a przecież chwilę temu prosiłem go, by nie pajacował. Prosiłem. Jak mówię „proszę”, to mam na myśli, że nie ma tu miejsca na inicjatywę, gierki. Prosiłem. Zmusił mnie do tego. Zapiąłem pasy, wyjąłem pistolet i wbiłem mu lufę w potylicę... Odbezpieczyłem go z ostentacją, jak na dobrych gangsterskich filmach z De Niro i Pesci. Potem powiedziałem przez zaciśnięte zęby, dokładnie tak, jak by to powiedział Pesci, plując jednocześnie na siwą kępkę włosów na czubku jego pustego łba:

– Jedna mała dziura w asfalcie. Delikatny wstrząs wystarczy...

– Czego chcesz, do cholery?

– Przestań sobie pogrywać. Możesz mnie nie kojarzyć i nie szanować. Pamiętaj, że jesteś tylko szoferem sprzedającym informację. Nieważne, czy na kanapie siedzi Barack Obama, byle glina czy twoja babka. Koperta i informacja. Czego tu, kurwa, nie rozumiesz?

– To już nie jest ta sama Warszawa co kiedyś. Pytasz o złe nazwisko. Nie jesteś gliną, kojarzyłbym twarz. Od kogo jesteś?

– Od kogo jestem? Od kogo jestem? – powtarzałem z niedowierzaniem pod nosem, czując, jak gniew zaczyna gotować się w moich żyłach, jak przejmuje kręgosłup i rozwiązuje język.

Zapytał mnie, od kogo jestem, to mu odpowiedziałem, zgodnie z tym, co mi matka w testamencie zostawiła. Powiadomiłem tego małego chujka, że pochodzę z czeluści niedostępnych dla zwykłych śmiertelników. Pochodzę z Iona Gai i nasienia Uranosa. Jestem tytanem, którego nie zapisała mitologia, którego nie dosięgnął ani Kronos, ani Zeus, któremu nie zagrażał Apollo. Byłem przed nimi i jestem prawie tak stary jak świat, i zwykły woźnica z pierdolonego blaszaka nie będzie pytał, od kogo jestem.

Zrobiłem się czerwony na twarzy i nawet trochę zacząłem się trząść, dodając do tego przedstawienia nerwowe ruchy pistoletem przy jego twarzy. Komisja szkół aktorskich złożona ze starych zbrojców śmiało mogłaby się onanizować do mojego opisu niezwykłego talentu aktorskiego. Ja darłem gardło, a kierowcy bladła twarz. Wyhamowałem z tym napadem furii tuż przed momentem, kiedy zwykły ofiara robi w gatki. Ale uspokoiłem się tylko na tyle, by wycedzić kolejne zdanie:

– To ja tu zadaję pytania... Żyjesz tylko dzięki współpracy z policją, ale jakoś przeżyją tę wątpliwą stratę.

Założyłem mu kurtkę na głowę, tak by mnie nie ochlapał od wystrzału. Nie będzie ze mną pogrywała sprzedajna hiena. Wcześniej włączony aktywny tempomat pozwalał na tymczasowe wyłączenie kierowcy, wtedy samochód jedzie sam. Nowe auta tak potrafią, nie tylko elektryki Elona. Dopiero po kilkunastu sekundach zawibrowała kierownica, a system wydał nieśmiały sygnał, by wrócić z rączkami na kierownicę. Krzyknąłem, że odliczam. I zacząłem od pięciu...

Cztery.

Trzy.

Dwa...

– Dobra, dobra! Już, już! – krzyknąłem, próbując pozbyć się kurtki z twarzy.

Zauważyłem, że pot kapie mu z czoła i spływa po skórzanym fotelu. Próbował opanować dłonie, które trzęsły się mu na kierownicy. Był bliski omdlenia. Zjechał na parking przy jezdni i zmniejszył ogrzewanie w aucie. Zdjąłem mu pistolet z karku, ale pozostawiłem go na widoku.

– Cokolwiek powiem, jutro będę martwy. Czy zabijesz mnie ty, czy jego ludzie, to bez znaczenia – wybełkotał.

– Najpierw kilka pytań, a potem zobaczymy, co da się zrobić. Kiedy ostatnio widziałeś Pirlettiego?

– Parę dni temu, jadł z innymi Włochami na Śródmieściu.

– Kto się koło niego kręci?

– Swego czasu byłem u niego kierowcą klientów premium. Większość to byli Włosi, loty z Berlina, Londynu i Zurychu. Nigdy z Rzymu czy Mediolanu.

– Kojarzysz jakieś nazwiska tych Włochów?

– Pamiętam, że przyjeżdżali członkowie lub przedstawiciele rodziny Reggiano. Łatwo to poznać, bo stary Reggiano ma kilku synów, którzy są do siebie bardzo podobni. Samego padrino² Reggiano nigdy nie widziałem, ale jego synowie bywają w Warszawie regularnie.

– Domyślasz się, co to może być?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Nie kłamał.
– Coś więcej o Pirlezzim?
– To poważny człowiek. Maksymalna dyskrecja i prywatność.
– Ma ochroneę?
– Ma. Podejrzone typy. Nie wyglądają jak typowe karki z agencji ochrony. Mają inne twarze. Trochę jak...

– Jak ja? – przerwałem.
– Lepiej bym tego nie ujął. To nie są ludzie z pierwszej łapanki, na pewno nie zwykli ochroniarze.
– Gdzie mieszka Pirlezzim?
– Zasadniczo ma dwa mieszkania. Częściej bywa na ulicy Krochmalnej pięćdziesiąt dziewięć, tuż za Browarami Warszawskimi. Nowy apartamentowiec z miedzianą elewacją. Ale większość czasu spędza w biurze Proximo II przy rondzie Daszyńskiego.

– Pracoholik z tego Pirlezziego. Z tym mogę się utożsamić – rzuciłem, patrząc na wolskie ulice. – Słuchaj, myślę, że to wszystko, czego potrzebuję. Masz... – Wręczyłem mu kartkę z nazwiskiem i numerem. – Jedź prosto na Nowolipie, pokaż się na komendzie. Powołaj się na to nazwisko, wywożąc cię na kilka tygodni z miasta. – Podałem mu kartkę z nazwiskiem ważnego człowieka policji. – Jak sprawa ucichnie, wrócisz i będziesz kontynuował.

Samochód zatrzymał się na Karolkowej. Nie za blisko Pirlezziego, ale nadal w zasięgu krótkiego spaceru od jego biura. Spojrzałem w oczy szoferowi. Nie zobaczyłem w nich zła, raczej paralizujący strach. Prosty facet o sprzedajnych właściwościach. Sprzedałby matkę, ojca i gałgany z jego krwi, jakby zaszła taka potrzeba.

Powiedziałem krótkie „powodzenia” i wysiadłem z czarnego audi. Ruszyłem w stronę ronda Daszyńskiego. Musiałem zebrać myśli i poczekać na przyjazd reszty zespołu. Pospacerowałem do wynajętego biura w budynku Proximo I.

Czekała tam na mnie niespodzianka.

6. Oczom ukazała się bestia

Dotarłem na miejsce. Od mojej ostatniej wizyty na rondzie Daszyńskiego wyrosły nowe wieżowce. Z trudem rozpoznałem tę okolicę. Budynki Proximo I i II tworzą literę T, ale nie są bezpośrednio połączone. Mają osobne wejścia, windy i skromne lobby. To po prostu dwa korporacyjne kurniki zdolne pomieścić dużą liczbę pracowników. Mieliśmy wynajętą część jedenastego piętra, z którego widok wychodził na biuro Pirlezziego i jego ESP Corporation na ósmym piętrze budynku naprzeciwko. Wsiadłem do windy, a z niej udałem się do sali konferencyjnej, z której rozpościerał się widok na warszawską Wolę. Na pierwszym planie siedziba ESP Corporation, a w narożniku biuro Pirlezziego.

Było to spore pomieszczenie podzielone na dwie części. W pierwszej stały dwie skórzane kanapy wokół kawowego stolika, w drugiej – ogromne dębowe biurko, przy którym Napoleon mógłby układać plan podboju Europy, teraz służyło Pirlezziemu, cokolwiek kombinował.

Usiadłem na krześle, mając na widoku puste biuro ESP Corporation. Sobotnie popołudnie pozwalało odetchnąć przemęczonym tłumom pracowników. Było pusto. Rozejrzałem się po martwym wnętrzu przeszklonego biura, które w najlepszym wypadku zachęcało do samobójstwa. Gdzie diabeł nie dosięgnie, tam wysyła międzynarodowe korporacje, ze swoimi smutnymi biurami i owocowymi czwartkami. Pomyślałem o życiu szarego pracownika korporacji i gdy już miałem zwymiotować, w biurze Pirlettiego zapaliły się jarzeniówki. Scena, jakby ją Święty Jan wysmarował, ten od Apokalipsy. Moim oczom ukazała się bestia.

Dwóch ochroniarzy stanęło przy drzwiach jak dwa cerbery. Do jasnego pomieszczenia wszedł on. Pirletti we własnej osobie.

Przypomniałem sobie jego zdjęcia na okładkach biznesowych magazynów. Ani jedno nie oddawało blasku, jaki rozciągał ten człowiek. Magazyn dla mężczyzn, a w nim reklama nowego samochodu. Żaden tam mercedes czy bmw. Coś z klasą i pazurem, powiedzmy czerwone ferrari. Auto zaparkowane w ogrodzie na tle willi ochlapanej wodą z basenu. Na przedniej masce opiera się młody dżentelmen. Ubrany w minimalistyczny garnitur od Armaniego. Ze spojrzeniem smoka. Średniej długości włosy zaczesane do tyłu. Policzki ogolone i lśniące jak pupa niemowlęcia. Zęby bielsze niż najlepsza kokaina, ich odbicie szło pomylić ze słońcem tańczącym na oszklonych budynkach Sydney. Nie jestem ekspertem, ale zawyżał poziom testosteronu w promieniu kilometra. Prawdziwa bestia z tego Pirlettiego. Jeśli będąc musiał go zabić, świat straci solidną porcję z puli genów.

Obserwowałem, jak odpala komputer i łączy się z kimś telefonicznie. Gestykułował jak szalony, co Włosi mają w zwyczaju. Zataczał kółka wokół horrendalnie drogiego biurka, piniąc się i wrzeszcząc. Jeszcze nie mieliśmy zainstalowanych podsłuchów, więc mogłem tylko zgadywać, co go wyprowadziło z równowagi. Włączyłem swój komputer i wyjąłem kilka złożonych kartek z kieszeni kurtki.

Nie czekałem długo na mojego angielskiego partnera. Pojawił się niebawem i przyniósł butelkę lambrusco. Stał w drzwiach, lypiąc na Pirlettiego. Zapaliły mu się oczy. Poczulem, że mam ze sobą odpowiedniego człowieka.

– Jakież wieści z MI6? – zapytałem.

– Sprawdzają kluczowych partnerów ESP Corporation. Na razie czysto – odpowiedział Rich.

– Muszę przyjrzeć się ludziom z ochrony Pirlettiego. Potem pogadam z Włochami. Sęk w tym, że kiedy przycisnę Włochów, dadzą znać Pirlettiemu, a wtedy będziemy spaleni.

– Chyba że wcześniej zapadnie wyrok.

– Tego nie wiem, za trzy dni widzę się z kimś od nas, będę odrobinę mądrzejszy. Tymczasem spójrz tylko na naszą bestię – kiwnąłem głową w stronę okna.

– Widzę, widzę, podkurwiony Zeus. Wiesz już coś o jego zastępcach?

– Chętnie posłucham.

– Pirletti ma dwóch ludzi, którzy mają dostęp do jego sekretów. Znają jego kryjówki i specjalny numer telefonu. Jeden to włoski koleżka Silvestro Modenese, jego przyjaciel ze studiów. Drugi to kolejna egzotyczna część układanki, Maria coś tam. Nie wymówię, ale to po albańsku lub turecku. Oboje są członkami zarządu w charakterze doradców.

– Muszą zajmować się czymś innym.

– Piorą brudną forszę, ale w jaki sposób... – Richard spojrział w dal, jak to angielski wyzyskiwacz w poszukiwaniu kolonii miał w zwyczaju. – Gdzie Benek?

O wilku mowa. Richard nie skończył pytania, gdy do pomieszczenia wpadł Benek. Miał rękę w gipsie. Doskonale. Ratujemy Europę, rozpracowujemy zbrodnię, ryzykujemy życie. Kilku poważnych ludzi łączy siły w tajnej operacji, która nie ma nawet kryptonimu. Do pomocy biorę kalekę, bo czemu nie. Fantazja ułańska, gdzieś już to padło. Między Bogiem a prawdą, Benek z jedną ręką był wart więcej niż połowa polskiego kontrwywiadu razem wzięta. Po latach pracy z głębami mogłem wybrać swoich do zespołu. Zresztą byli tu tylko po to, żeby robić tłum, i pracowali dla swoich szefów, tak jak ja pracowałem dla Robertiniego. Nikt tu się nie hudił jak panna młoda przed ołtarzem. Każdy będzie pilnował swojego interesu i ubije go niezależnie od ciężkości pustych słów, jakich przyjdzie mu użyć. Każdy z nas wiedział, że gra w swoją grę.

Uśmiechnąłem się do Benka jak alkoholik na widok flaszki, uśmiechem szczerym i od serca. Benek też pokazał swoje idealnie proste zęby, których dwa rzędy rozciągały się od lewego do prawego ucha. Miał przycięte afro i hebanowe oczy, które lśniły na ciemnoskórej twarzy. Nos szerszy niż autostrada i usta, które nie wymagają botoksu – Benek miał je po rodzicach, za darmo. Zdjął skórzaną kurtkę i szary golf. Mięśnie niemalże rozrywały mu białą T-shirt napięty do granic możliwości. Wyjął komputer i rzucił na blat. Spojrzał na Richarda i na mnie. Widziałem, że ma ochotę się przytulić, ale honor mu nie pozwala. Podał mi dłoń, lecz ją odepchnąłem, przycisnąłem go do piersi i coś tam powiedziałem, nie pamiętam, co dokładnie, to nieistotne. Ważne, że był z nami, gotowy znowu zagrać w tę starą jak świat grę.

– Mam złe przeczucia – powiedział. – Ten Pirletti nie figuruje na liście Interpolu. Nie mamy nic konkretnego. Finansista ze szczęściem, robił w Londynie i Berlinie, delikatnie powiązany z mafią. Nawet jeśli pierze i jest wkręcony w finansowanie terrorystów, to żaden wywiad nie ma go na celowniku. Czemu teraz się obudzili?

– Informatorzy z Berlina dali sygnał – odezwał się Richard. – Podobno w kręgach rodziny Reggiano stracili zaufanie do Pirlettiego po tym, jak wyszło, że buja się z Rosjanami.

– Takie tam pierdolenie, Rich. Nie każdy rusek to od razu były oficer KGB. Pirletti pewnie zrobiłby interes z każdym. Nie znam człowieka, ale wystarczy na niego spojrzeć, żeby podejrzewać, że wyznaje jego boga. Boga, którym zapłacił za te błyszczące lakiery od Louisa Vuittona.

– Powiedz lepiej, jaki masz plan – zwrócił się do mnie Richard.

– Gdy Pirletti opuści biuro, pojedziesz za nim, a my w tym czasie przejdziemy się do jego gabinetu.

Jakąś godzinkę później Richard siedział w jednym z czarnych bmw w podziemnym parkingu. Czekał na sygnał i się doczekał, gdy Pirletti wybiegł z biura, jakby zostawił ryż na gazie. Po chwili z budynku wynurzyły się dwa land rovery z ogonkiem w postaci Richarda. Stanęli na światłach, a następnie skręcili w lewo i pojechali w stronę Żoliborza.

Nie ociążaliśmy się z Benkiem z włamaniem do biura Pirlettiego. Wzięliśmy sprzęt i zjechaliśmy do podziemi, by przejść do drugiego budynku. Przypomniałem sobie czasy, gdy włamania przygotowywaliśmy całymi tygodniami, pieszcząc się z tym jak nastolatki. Procedury jak na szkoleniu BHP i masa idiotycznych zasad. Brak pozwolenia na broń i humorki polskich szefów tajnych służb. Uśmiechnąłem się, wiedząc, że mam to już za sobą, że są za szklaną szybą i gdy się tylko spotkamy, nie będzie rozmów, przejdziemy do strzelania z automatu jak kochankowie, którym nie wyszło. Przyłożyłem kartę do czytnika, jego ramka z pomarańczowej zmieniła się na zieloną. Jednak następne pół godziny miało mi w dobitny sposób przypomnieć, czemu tak ważne są przygotowania i czemu przekłete karły polskiego wywiadu miały promil racji, kładąc nacisk na gruntowne przygotowania.

Weszliśmy do budynku wejściem dla personelu i dostaw. Czapki z daszkiem wystarczyły na kamery zawieszona na suficie. Były niskiej rozdzielczości, a ich jakość pozostawiała wiele do życzenia. Otworzyłem drzwi do klatki schodowej i zaczęliśmy wspinać się na ósme piętro. Tuż przy wejściu do biura ESP Corporation nałożyliśmy kominarki jak amerykańscy raperzy na teledyskach. Klik i byliśmy w biurze pustym jak dusze celebrytów.

Skierowaliśmy się do biura w narożniku, gdzie przed chwilą wydierał się Pirletti. Poczulem mocny zapach perfum, jakbym robił w Sephorze. Zemdliło mnie. *Piekielnie drogie perfumy, ale za dużo tego chłapiesz, panie Pirletti*, pomyślałem. Wyjąłem drugą kartę i przyłożyłem do czytnika. Ramka nie zmieniła koloru. Zamigotała i pozostała czerwona, lekko wibrując. Klasyk. Ktoś od przygotowania operacji spierdolił swoją robotę. Karty tego typu często nie działają w weekend, a może to co innego. Benek wyjął jakieś elektroniczne urządzenie, którego techniczna nazwa nie nadaje się do druku, i wziął się do otwierania zamka.

– To może potrwać kilka minut – Benek nie spuszczał wzroku z ekranu urządzenia.

Skinąłem głową i ruszyłem na rundkę wokół biura. Pusto. Stałem przy szklanej ścianie z widokiem na wjazd do garażu podziemnego i drzwi do recepcji. Tylnych drzwi, którymi weszliśmy, nie mogłem mieć na oku. Słaby ze mnie ojciec Pio, nie opanowałem jeszcze bilokacji. Chodziłem zatem między recepcją, widokiem na parking i tylnymi drzwiami jak hobbit. Tam i z powrotem.

– Wchodzę! – zawołał Benek.

Wszedł do biura Pirlettiego i rozstawił się ze swoim sprzętem. Przyszedłem na chwilę rzucić okiem na przybytek Włocha. Minęły czasy papierowych dokumentów, notatek i kalendarzy oprawionych w brązową skórę. Na biurku stał laptop, który teraz penetrował Benek. Czoło miał zmarszczone i prz gryzał wargi. Walił po klawiaturze, jakby trenował do konkursu Chopina. Tylko lekki uśmiešek gdzieś w kątku jego wielkich warg zdradzał zadowolenie. Nie znam się na IT, ale podobno niektórych to podnieca i przynosi spore dochody. Wracając na czaty, poczułem lekką wibrację w kieszeni. Sygnał od Richarda. Długo nie musiałem się domyślać, o co może chodzić.

Dwa czarne mercedesy stały na światłach. Skręciły w stronę wieżowca. Mogli nie jechać do nas, mogli się zgubić, mogli być turystami, bo Muzeum Powstania Warszawskiego było uliczkę obok. Mógł to być przypadek, mogli zostawić coś, mogli wrócić po komputer, wysyłając innych ludzi w innych autach, cokolwiek. W tym budynku biur było kilkadziesiąt. Ale za stary byłem, by się ludzić, że nie jechali do mnie, po mnie, po nas, do nas, niepotrzebne skreślić. Stojąc za szafą, patrzyłem, jak znikają w podziemiach budynku. Miałem mniej niż dwie minuty i koleżkę z usztywnioną ręką na pokładzie. Zbliżał się sztorm.

Dwa susy i byłem w drzwiach gabinetu Pirlettiego. Benek rozczytał mój wyraz twarzy bez błędu.

– Kto? – zapytał.

– Trudno orzec...

– Ilu?

– Dwa mercedesy, pięciu, maksymalnie sześciu ludzi.

– Ile mam czasu?

– Dziewięćdziesiąt sekund.

– Potrzebuję dwóch minut.

Przeleciałem wzrokiem po drewnianym blacie. To była gruba deska. Przetrzyma pierwszą wysoką falę, może drugą, ale na sztorm to było zdecydowanie za mało. Wskazałem palcem na gruby blat.

– Jak nie wrócę za dwie minuty, przewrócisz go białem do drzwi. Siedz za nim i śpiewaj *Pan Jezus już się zbliża*. Masz... – podałem mu pistolet. – Nie użyjesz go, ale nigdy nie wiadomo.

Wyciągnąłem rękę, nie odrywając wzroku od ekranu. Kropla potu spłynęła mi po skroni. Wyglądał, jakby siłą woli próbował przyspieszyć transfer danych. Wybiegłem na open space i zerknąłem na ścianę kuchni. Trzy zegary pokazywały godzinę w Nowym Jorku, Warszawie i Sydney. Warszawski czas kurczył się bez litości. Została mi jakaś minuta z górką. Otworzyłem drzwi do klatki schodowej i zerknąłem w dół. Cisza jak makiem zasiał. Jakbym miał do czynienia z jednostką GROM-u. Nie było żartów. Nie znoszę ciszy i skradania się. Nie bawią mnie gierki w kotka i myszkę. Zwłaszcza gdy nie wiadomo, kto jest kotkiem, a kto myszkami i do tego myszki nie harują. To bez sensu. Zresztą może to normalni ludzie i używają wind? Przyszedł czas na sprawdzenie recepcji.

Przez przeszklone drzwi wyjścia widziałem dokładnie wszystkie osiem wind. Mogłem tylko zgadywać, które dojeżdżają na podziemny parking. Sekundy trwały całe wieki gdy nad jedną z wind wyświetlacz pokazał zmieniające się cyferki. Rosły od jednego na minusie. Skoro jechali windą, to nie mogli być poważni zawodnicy. Oni nie jeżdżą węglowodanów, nie udzielają się na Twitterze i nie korzystają z wind. Takich trudno jest obezwładnić. Winda pokazała numer pięć, gdy ruszyłem do Benka.

– Zawijamy – rzuciłem, stając w drzwiach.

– Pomóż mi z tym.

Benek wskazał na adaptery, kable i laptop. Pakowałem wszystko jak leci do torby, a Benek w tym czasie porządkował biurko Pirlettiego. Usłyszeliśmy dźwięk odblokowania zamka i trzask drzwi recepcji. Ruszyliśmy do schodów awaryjnych. Głosy ludzi, którzy weszli do biura, mieszały się, przez co nie mogłem rozróżnić słów. Podałem torbę Benkowi, uchyliłem drzwi i przepuściłem brytyjskiego kolegę.

– Nie zatrzymuj się w drodze do ambasady. Cokolwiek znajdziecie, czekam na informację. Zostanę jeszcze moment – szepnął Benek.

– Popierdoliło cię...

– Nie potwierdzam, nie zaprzeczam...

Zamknąłem drzwi za Benkiem i wsunąłem się z powrotem na open space. Głosy dochodziły już z dwóch kierunków. Z biura Pirlettiego i kuchni. Między recepcją a gabinetem Pirlettiego było kilka rzędów biurek, każdy kończył się szafą na dokumenty, która oddzielała pracowników od ścieżki biegnącej od recepcji poprzez biuro Pirlettiego do kuchni. Cały open space był na planie prostokąta, a ścieżka szła po obwodzie całego piętra. Przy recepcji niespodziewani goście rozdzielili się na dwie grupy – jedni poszli do kuchni, drudzy w przeciwnym kierunku, do biura Pirlettiego. Zanim wyszli zza zakrętu, zdążyłem przyłgnąć do jednej z szaf. Zawsze byłem dobry w chowaniego.

Wytężyłem słuch, próbując wyciąpać coś więcej niż pojedyncze słowa. Po pewnym czasie policzyłem głosy jak porządna komisja wyborcza. Było ich pięciu – trzech w gabinecie Pirlettiego, a dwóch maszerowało wokół biura, sprawdzając, czy nikogo nie ma. Doszli do mojego rzędu biurek i stali tak przez dłuższą chwilę. Słyszałem ich ciężkie oddechy i specyficzne dźwięki, które wydaje prawdziwa skórzana kurtka, gdy rękawem ociera się o pierś. Jeden z nich rozsunął zamek do połowy i wyciągnął coś z bocznej kieszeni kurtki. Zapadło milczenie, które sugerowało, że porozumiewają się na migi. Co mógł wyjąć z kurtki, tego mogłem się domyślić. Poczulem, że czas wyskoczyć jak tancerka z tortu.

Zamiast obfitego biustu miałem dla nich inne atrakcje. Stali napięci i gotowi, jakby się tego spodziewali. To nie byli byle ochroniarze biedronek, z całym szacunkiem do ochroniarzy biedronek, pszczoł i całej ekipy Greenpeace. Ubrani w kolekcje Bytomia jesień/zima i skórzane kurtki, które widziałem na reklamie nowego Rolex'a. Stali bez broni w ręku. Dziwne typy. Nie spodziewałem się tego, ale zagrałem w klasyczny sposób. Zadałem prostego temu, który stał bliżej. Nie zdążył nawet unieść gardy. Drugi wyjął broń, którą złapałem, wykręcając jego potężną dłoń. Jęknął wysokim głosem i wyprowadził cios lewą ręką.

Chybił, a w takich chwilach chybia się tylko raz.

Zwolniłem magazynek i przyłożyłem mu pistoletem w skroń, po czym zapoznałem go bliżej z kolanem. Osunął się na dywan i dołączył do kolegi. Otworzyłem salkę konferencyjną i powlokłem tam jednego za drugim. Sprawdziłem, czy nie rozciąłem skroni temu, który dostał z kolanka. Czysto. Przeszukałem ich kurtki, lecz nie znalazłem żadnych odznak lub legitymacji, nawet kart pływackich nie nosili przy sobie. Leżeli jak śpiące aniołki, więc postanowiłem pogadać z ich kolegami. Wstałem i ruszyłem w stronę pomieszczenia, gdzie niedawno Benek kradł dane z komputera Pirletti'ego. Żadne tam kroki pantery. Ruszyłem, jakbym szedł po swoje, nabuzowany po przeczytaniu jakichś coachingowych bzdetów, krokiem partyzanta w płonącym lesie.

Ktoś zawołał po imieniu jednego z leżących w salce konferencyjnej. Raz i drugi. Wyszedłem zza zakrętu wprost na blondyna, który mógłby z powodzeniem grać w NBA. Miał niebieskie oczy, w których czaiło się wkurwienie. Dwa uderzenia i idę o zakład, że zobaczył niemal całą konstelację gwiazd. Zanim padł, zdążył krzyknąć ze dwa słowa po włosku.

Niedobrze, westchnąłem.

Wyjąłem pistolet i popędziłem przed siebie.

– Ciao bambino! – rzuciłem, wpadając do gabinetu. – Żadnych sztuczek!!!

Prosiłem o brak sztuczek, ale okazało się, że mam do czynienia z czarną magią. Pamiętam, od czego padł Achilles, i nie była to pięta. To, co zobaczyłem w biurze, zmieniło bieg mojego serca z powolnej rzeczki z okazijnymi uskawkami w rwący potok niosący budynki, jakby były zbudowane z kart posklejanych śliną.

Moim oczom ukazała się...

Słowa wydają się tutaj jak nieposłuszne nastolatki. Nie ma z nich żadnego pożytku. Zaschło mi w gardle, a pistolet w dłoni ważył dwie tony. Choć koszulę miałem rozpiętą, ślinę przełknąłem z trudem. Zastałem ją opartą o blat biurka z telefonem w ręce. Uniosła oczy, zablokowała telefon i odłożyła na blat biurka. Nasze spojrzenia przecięły się jak dwa pioruny gdzieś pod sufitem nieba.

Wyglądała jak siedemset milionów dolarów w gotówce. Kiedyś widziałem siedemset milionów dolarów w gotówce, więc wiem, co mówię. Przypomniałem sobie ten widok i zrozumiałem, że są rzeczy, za które nie zapłacisz kartą MasterCard. Żadna forsa tego nie sprawi. Nie istnieją sposoby. Chirurgia plastyczna jeszcze długo nie będzie w stanie stworzyć czegoś takiego. Dziewczyzna, którą zobaczyłem, sprawiła, że poczułem się jak Mojżesz na pustyni. Kompletnie zagubiony, przytłoczony i zalekziony jak dziecko wracające z jedyneką najdłuższą drogą do domu. Tym bardziej że już widziałem tę dziewczynę kilka miesięcy wcześniej, na jednej z greckich wysp.

Miała wielkie brązowe oczy. Włosy czarne i gęste kręciły się w okolicach ramion. Jej ciemną karnację podkreślała ta sama biała koszula i delikatny złoty łańcuszek, na którym dostrzegłem medalik. Po co aniołom święte medaliki, przemknęło mi przez głowę. Podwinięte rękawy ukazywały delikatne dłonie,

wolne od kolorowych paznokci. Pod jej małym noskiem czaiły się pełne usta. Jak raz zatopisz się w tych wargach, nie już nigdy nie będzie ci smakowało, wszystko potem będzie mdłe i pozbawione wyrazu. Jej uszy zdobiły dwie lśniące perelki. Podążyłem wzrokiem w dół od policzka w rozciągającą się krainę szyi. Na niej mógłbym zamki stawiać. Mógłbym tam zamieszkać, a za zieloną kartę do tych terenów sprzedałbym majątek do ostatniego wielbłąda. Później zrobiło się już gorąco, a gdy dotarłem do obojczyka, ślina wróciła, jakby ktoś uruchomił produkcję z podwójną mocą. Pędziłem już tylko w stronę dekoltu i pełnych piersi, które musiałem sobie wyobrazić, mając za szkice delikatny zarys ich kształtów, bo pozostawały za zasłoną białego materiału. Może i lepiej, spłonąłbym, gdybym ujrzał więcej. To była jedna z lepszych sekund w moim dotychczasowym życiu.

Ostudził mnie jej niski głos. Miała znikomy śródziemnomorski akcent. Przypomniałem sobie ten głos. Mógłbym go nagrać i zapętlić, a potem ogłuchnąć na wieki. Dała sygnał, że żadnych sztuczek nie będzie, a ja głupi jej uwierzyłem. Fatalny błąd. Zdjąłem kominiaarkę, jak się zdejmuje kapelusz po wejściu do świętego miejsca.

– Wszystkich bym się spodziewała, ale nie że ciebie tu przywieje.

– Co by nie mówić, to mój kraj. Maria czy Helena? Jak wolisz?

– Helena, z dala od domu mogę sobie pozwolić na odrobinę szczerości.

– Cokolwiek tam chowasz, rzuć to na dywanik, Helena, łatwiej będzie rozmawiać.

– Czy wyglądam na kogoś, kto nosi broń? – zapytała.

– Te goryle noszą ją za ciebie?

– Jak widać, słusznie. Warszawa jest pełna włamywaczy. Od kiedy przeszliśmy na ty? – zebrało się jej na żarty.

– Siłą rozpędu, słońce, a goryli szukaj w innej dżungli, bo to, z czym przyszedłeś, to jakieś gamonie z zoo, na wolności sobie nie poradzą – odbiłem piłeczkę.

– Czego chcesz? – zapytała w swoim stylu, lakonicznie.

– Pozwól, że to ja będę zadawał pytania. Co ty tu robisz?

– Bawisz się w urząd celny?

– Wiem, że gdy tu wpadłem, wysłałaś sygnał. Wiem, że mam może dwie, może trzy minuty, zanim wpadnie tu kolejne stado goryli. Żaden ze mnie Leonidas, długo opierać się nie będę. Domyślam się, że współpracujesz z Pirlettim. Może nawet jesteście blisko. Przekaż temu południowemu cymbałowi, że ma przejebane.

– Sam zaraz będziesz miał okazję mu to powiedzieć.

– Cokolwiek razem kręcicie, kilka wywiadów ma Pirlettiego na oku. Prędkiej czy później go dopadnę. Ludzie, dla których pracuję, nie posyłają do więzień. A ty, słońce, jeśli masz brudne sumienie, wracaj na Santorini.

– Wzruszyłam się tą przemową, masz chusteczki może?

– Maria! – ktoś krzyknął na korytarzu.

Biegł w naszą stronę. Byłem podkurwiony, że tak piękne kobiety mieszają się w brudne interesy. Paplaliśmy bez sensu, czym kupiła sobie tylko czas. Czuję, że spotkam ją ponownie, ale już w innych okolicznościach. Ciekawe, ile kulek przyjmie jej czaszka. Uśmiechnęła się ze szczerzą od złota obojętnością.

– Helena... – wyszeptalem jak Romeo pod jednym z balkonów Werony.

Dalej wszystko poszło już z górki. Wpadło dwóch goryli, którymi zająłem się, jakbym właśnie przeczytał podręcznik do aikido. Musiałem na moment odwrócić się plecami do Heleny, czego za wszelką cenę chciałem uniknąć. Pół sekundy plecami do tej kobiety mogło być fatalne. Dlatego walczyłem, mając ją na oku, ale goryle skradli te skrawki uwagi, jakie dla niej miałem. Na chwilę straciłem ją z oczu.

Na chwilę.

Poczułem zimny boleć na plecach. Jakiś pistolet wycelowany w nerki. Sekunda dezorientacji. Krzyk Heleny. Sygnały goryli. Wtedy dostałem uderzenie w skroń. Potem było drugie, a potem zobaczyłem to, co zwykle, gdy tracę przytomność.

Ludzie stojący na plaży po brytyjskiej stronie kanału La Manche. Jest zachód. Niebo różowe. Nie ma wiatru. Morze ma idealnie równą taflę, która wydaje się martwa. Ludzie, jest ich kilku, wznoszą się w powietrze. Unoszą się, rozkładając ręce. Gdy są już wysoko, zaczynają rozsypywać się na setki kropel. Spadają teraz w ilości tysięcy małych kropelek na spokojną taflę morza. Stoję na brzegu i widzę, jak uderzają w martwą taflę, tworząc wysoką na kilka metrów falę. Trwam na brzegu i patrzę, jak fala pędzi w moją stronę. Ucisk w klatce nie pozwala mi złapać oddechu. Moje ręce trzęsą się i jest mi słabo. Ostatni raz rozglądam się i zdaję sobie sprawę, że jestem całkiem sam. Zaczynam tracić siłę w nogach i opadam na kolana. Łzy spływają mi po policzkach. Fala jest coraz bliżej. Słyszę już jej szum. Wyraźny dźwięk przy rozmażanym obrazie. Łzy zalewają mi oczy i kontury znikają jak na impresjonistycznych obrazach. Wielka fala jest coraz bliżej, jej szum rozrywa powietrze. Czuję silną bryzę na twarzy. Za ułamek sekundy zmiecie mnie to przedziwne tsunami.

Obraz się urywa.

Nastaje ciemność.

Ze snu wrywają mnie huk strzałów.

Rozchyliłem oczy. Zobaczyłem Richarda i Benka w amoku strzelaniny. Leżałem na martwym gorylu, któremu kula otworzyła czaszkę. Jego mózg wypływał właśnie na mechanicznie utwardzoną posadzkę podziemnego parkingu. Doszedłem do zmysłów jak sarna, której rozszarpana noga tkwiła w potrzasku. Nade mną tańczyły pociski, które rozrywały powietrze i w zamkniętym pomieszczeniu waliły po bębenkach. Miałem wrażenie, że każdy kolejny zabierze mi słuch na zawsze.

Przebudziłem się w dobrym momencie. Szarpnąłem się w lewą stronę, lądując w kałuży krwi ochroniarza. Leżałem pod kołami czarnego mercedesa. Nad głową zapaliły mi się światła cofania. Przeturlałem się szybko i patrzyłem, jak auto miażdży zwłoki mężczyzny, jego głowa przypominała już dobrze zblendowanego kalafiora. Samochód pędził na wstecznym kilka sekund. Miał pancerne szyby i jedyne, co można było zrobić, to pomachać na pożegnanie. Kierowca wrzucił tryb drive i pisk opon przeciął powietrze. Po chwili trzasnęły drzwi drugiego i sytuacja się powtórzyła. Ich odwrót oceniałem na celujący. Zniknęła Helena i jej ludzie.

Usiadłem i zlustrowałem samochody wokół mnie. Czarne bmw Richarda po strzelaninie przypominało durszłak. Rozejrzałem się, szukając kolegów. Nogi Benka wystawały zza tylnych kół jednego z aut. Wstałem i pobiegłem w stronę znajomej pary clarksów. Na posadzce leżał rozłożony Benek. Richard rozrywał właśnie własną podkoszulkę, robiąc prowizoryczną opaskę uciskową. Benek oberwał w chore ramię i brzuch. Fatalny widok. Jego duże nozdrza z trudem nabierały powietrza. Rich szarpał się z opaską, ale robił to chyba tylko po to, by dać Benkowi nadzieję. Gdy zobaczyłem ranę i dotychczasowy upływ krwi, wiedziałem, co to oznacza. Złapałem kontakt wzrokowy z Benkiem i w jego oczach zoba-

czyłem, jak wita się ze śmiercią. Mocno chwyciłem jego dłoń i szepnąłem na tyle spokojnie, na ile potrafiłem, żeby się trzymał. Co to w ogóle, kurwa, miało znaczyć, nie mam pojęcia. Pierwsze słowa wyjął po francusku, który był jego pierwszym językiem, ale po chwili przeszedł na angielski:

– Sam chciałem pomóc, Feliks. Rich mówił, bym został. Sam, sam chciałem... m...

Słowa utknęły mi w gardle i łzy napłynęły do oczu. Przytaknąłem. Richard krztał się wokół, próbując ogarnąć krwotok. Bez skutku. Miał jednak apteczkę w aucie i właśnie wstrzykiwał Benkowi coś na uśmierzanie bólu.

– Dziękuję, Benjamin, dziękuję – wymamrotałem, całując jego dłoń.

Ból wykrzywił twarz przyjaciela, zanim wstrzyknięty środek zaczął działać. Ben ścisnął moją dłoń, jakbym miał władzę przytrzymać go na tym świecie. Jeszcze jeden oddech, jeszcze kilka minut, jeszcze trochę. Benek zaczął łkać. Słyszałem ciche łkanie i pociągnięcia nosem. Widok tego, jak się boi, rozewrał mi serce. Czulem, że pęka mi klatka piersiowa. Jego wielkie brązowe oczy zachodziły mgłą. Tracił kontakt z rzeczywistością, zerkając to na mnie, to na Richarda.

Po chwili zamknąłem mu oczy, a on udał się na spotkanie z tajemnicą po drugiej stronie. Trwaliśmy w milczeniu przez kilka minut. Richard położył mi rękę na ramieniu i gdy miał coś powiedzieć, rozległy się syreny. Wyjące syreny zwiastujące przybycie zastępów policji i cwaniaków z ABW. Mieliśmy mało czasu, by ominąć te cyrki.

– Przyjadą – zacząłem – i zobaczą ciało agenta brytyjskiego wywiadu... Richard, prosto do Londynu, a jak zapytają, to się nie znamy... Zatrzymam materiały.

Chwyciłem torbę z komputerem Benka. Były dwie kopie danych, dla mnie i dla Brytyjczyków. Richard wyjął swoją kopię.

– Co zrobisz z Pirlettim?

– To fatalny falstart, bo się dowiedzą, że weszliśmy, ale ludzie z ochrony Pirlettiego... kojarzę jednego z nich, widziałem go już kiedyś. To Polak, nie wiem, jak się nazywa. Spotkałem go...

– Gadałeś z dziewczyną? – przerwał mi Richard.

– Nie było okazji normalnie porozmawiać, za duże zamieszanie, a co?

– Gadała z Pirlettim na głośnomówiącym, zanim zaczęliśmy strzelać. Kazał cię zlikwidować, ale kiedy skończyli rozmowę, poleciła schować broń swojemu człowiekowi, który trzymał pistolet przy twojej nieprzytomnej skroni.

– Co było dalej? Coś mówiła?

– Wtedy zaczęliśmy strzelać.

Syreny zawyły nad naszymi głowami. Głośny, ostry i nieprzyjemny dźwięk. Doleciały do nas wirujące niebieskie światła od wjeżdżających radiowozów. Richard podbiegł do skrzynki z prądem i wyłączył zasilanie. Biegliśmy teraz w ciemności, którą rozświetlały od czasu do czasu niebieskie koguty. Zanim gliny zapełniły podziemny parking, zdążyliśmy rozplnąć się w powietrzu. Każdy w innym kierunku.

7. Dogrywka na Muranowie

Straciłem kolegę ze starych dobrych czasów. Richard musiał się ewakuować i nie mogłem już liczyć na pomoc ze strony Brytyjczyków. Następnego dnia miałem się stawić w hotelu Radisson na spotkanie z Włodkiem Karmelem.

Musiałem się przejść. Oczyszczyć umysł. Śmierci Benjamina nie mogłem przetworzyć. Zawiesiłem się na oddychającym Benku, biegającym po Europie w interesach królowej. Nic tak ludzi nie łączy jak stres, który rozsadza czaszkę, poczucie osamotnienia i kule, które mijają cię zawsze o ten milimetr muśnięcia samego Pana Boga. Kulkę przesuwam w przestrzeni i czasie, odkładając tę jedną śmiertelną na później. Nie umiałem i nie chciałem przyjąć do wiadomości, że Najwyższy zdecydował tego właśnie dnia zabrać Benka. Był mi bratem nie przez krew, ale przez ból i ryzyko, jakie wzięliśmy na młode i głupie ramiona. Nie mogłem nawet się pożegnać, posiedzieć choć chwilę nad ciepłą jeszcze jego klatką piersiową. W tym pierdolonym labiryncie nie mogłem się zatrzymać i czułem, jakbym czegoś nie dokończył. Wróci do mnie w snach, wróci, jak mi kolejny raz twarze ludzi, których kochałem, przelecają przed oczami, gdy znowu zaczynają strzelać. Ciężkie myśli na obladowanym sercu.

Szedłem zamglony, mijając kolejne bloki warszawskiego Śródmieścia. Postawić choć dwa tysiące kroków i nie myśleć o niczym. Jak buddyjski mnich zaangażowałem się w spacer, stając się rytmem kroków. Przemierzałem boczne ulice Woli i kierowałem się w stronę Muranowa.

Zaczęło się ściemniać, a kiedy dotarłem pod blok przy Nowolipkach, ulice były już zatopione w mroku. Jedna z latarni rzucała blade światło na zaparkowane samochody. Rzuciłem okiem na rząd aut z dyskrecją początkującego oficera wywiadu. Ktoś krzywo zaparkował lśniące volvo w wersji all cross i zostawił skrzycone koła. Mijałem jedno auto za drugim. Volvo miało przyciemnione szyby i nie miałem pewności, czy jest puste. W życiu kierowałem się intuicją, a może to było boskie prowadzenie? Tego nie jestem pewien. Poczulem, że w szwedzkim karawanie czai się jakieś bliżej nieokreślone zło. Ma tętno i oczy dookoła głowy. Śledzi każdy mój krok i czeka na odpowiedni moment. Jak gdyby nigdy nic zanurkowałem pomiędzy dwa samochody kilkanaście metrów przed volvo. Obserwowałem, czy auto nie drgnie i czy nie poruszają się lusterka. Trwałem tak przez kilkadziesiąt sekund. Jeśli ktoś był w tym aucie, to wiedział, że ja wiem. Wiedział, że każda kolejna sekunda zabiera zaufanie. A ja wiedziałem, że jak ktoś ma dobre zamiary, to wychodzi naprzeciw i mówi do rzeczy. Wszystko inne to zawołowane i nieoczywiste brudne zamiary, które stawiamy w dobrym świetle.

Ktoś w volvo chciał grać, więc zagrałem.

Kamień wielkości piłeczki do ping-ponga poszybował w stronę lusterka. Lusterko pękło, zwiastując nieszczęście dla stawiających tarota i czytających horoskopy. Włączył się alarm i zawył przy błysku awaryjnych świateł. Na krawędziach lusterek migały pomarańczowe kierunkowskazy, zdradzając zarys dwóch męskich sylwetek w kabinie. Samochód odpalił i wyjechał z rzędu zaparkowanych aut. Alarm ucichł, gdy volvo skręcało w stronę alei Jana Pawła II.

To byli ludzie Karmela. Gamonie ze służb nigdy niczego się nie uczą. Naogłądali się szpiegowskich filmów i żądają kontroli nad każdym, kto depta warszawskie chodniki. Nie było po co wracać do mieszkania przy Nowolipkach. Nie lubię pracować, mając ogonek ze źle dobranymi garniturami. Kwesnia smaku. Postanowiłem zabrać kilka rzeczy i zmienić warszawskie lokum.

Coraz mniej spraw szło po mojej myśli.

Na filmach o płatnych zabójcach widziałem setki razy, jak ktoś wchodzi do mieszkania, zapala światło, a w fotelu ustawionym w rogu pokoju siedzi nieproszony gość ze spluwą w ręce. Odbywa się jakieś tam pierdolenie i albo bohaterka lub bohater sceny ginie, albo zaczyna walkę na śmierć i życie

z cichym zabójcą. Czasem ta walka może przypominać gwałtowne ruchy kochanków w miłosnym uniesieniu. Dźwięki też są podobne do tych, jakie rzucają zakochani w płomieniu pożądania. Ze dwa razy ktoś się na mnie zaczął. Kilka razy ja czekałem tak na kogoś, choć nie jestem typowym hitmanem.

Wszedłem do mieszkania, nie zapalając światła. Mrok rozjaśniały uliczne latarnie. Przebijały przez zasłony. Poszedłem prosto do łazienki, by zanurzyć twarz w zimnej wodzie. Krople spływały mi po uszach i szyi, gdy stanąłem w jadalni przy wyspie kuchennej. Zapaliłem ledowe światełka nad blatami kuchennymi, na których zostawiłem dokumenty. Trochę gotówki i amunicji leżało obok płyty indukcyjnej. Spojrzałem na podręczną walizkę. Stała nieco dalej od stołu niż ją zostawiłem. *Byli tu*, pomyślałem, bo ewidentnie przeszukali mieszkanie. Starali się nie zostawić śladu, ale jeśli w domu jest kilka rzeczy na krzyż, to trudno wszystkie zostawić idealnie tam, gdzie były. Lata temu wyszło na badaniach, że mam niemal doskonałą pamięć fotograficzną. Po prostu wiem, że walizka stała trzydzieści centymetrów dalej, jej kółka były skręcone w różne strony. Możliwe, że to ci z volvo, albo jeszcze inni śledzący z kolei tych z volvo. W tym pornograficznym świetle każdy podglądał każdego z każdej strony. Wziąłem walizkę, postawiłem na wyspie i zacząłem wrzucać potrzebne rzeczy. Wtem zza pleców, z głębi salonu dobiegł mnie aksamitny głos, który już dzisiaj słyszałem:

– Nie wiecie, z czym macie do czynienia – powiedziała Helena.

– Czego wy tu w Polsce szukacie? – zapytałem spokojnie, nie odrywając się od pakowania torby.

– Co to za stary rosyjski zwyczaj zwracania się liczbą mnogą...

– Co to za stary grecki zwyczaj wpięprzania się bez zaproszenia na obce terytorium. Już mamy demokrację, możecie nawracać gdzie indziej...

– Czego chcecie od Pirletiego, Feliks?

– Chyba tego, co wy, żeby wyhamował piętą. Robi się gorąco w Europie, skoro egzotyczni agenci się mieszają.

– Czy muszę się z tobą znowu przespać, byś cokolwiek powiedział?

– Zrozum, Helena, nie wiem, w jaką grasz grę, ale ja wróciłem do pracy, bagna, które jest moim środowiskiem naturalnym. Wtedy, na Krecie, to było kilka tygodni na powierzchni dla mnie, nic ponadto.

– Od pewnego czasu robię za wtykę u Pirletiego. W kilka dni możesz spierdolić to, co budowałam przez miesiące pracy.

– Każdy gra w swoją grę. Jeśli Pirletti jest powiązany z zamachami, stajesz mi na drodze. Nie dziwi cię, że się tak mijamy w tym dużym świecie?

– Chodzi tylko o to, żebyście go nie wystraszyli. Dzięki niemu zdobędziemy kontakty do ludzi szczebel wyżej. Pirletti to tylko pies na smyczy.

Helena podeszła do wyspy i zatrzymała się metr ode mnie. Poczulem jej zapach, który był naszpikowany afrodyzjakami. Tandetna sztuczka. Odsunąłem się, próbując nie zaciągać się jej małą prywatną atmosferą. Zauważyła to i lekko się uśmiechnęła.

– To tylko nowy Dior – powiedziała z mocnym „r” na końcu. – Nie oglądaj tyle filmów.

– Czym zajmuje się Pirletti poza ESP? Co jest na drugim końcu smyczy, według was?

– Prowadzi coś w rodzaju funduszu inwestycyjnego. Prywatny portfel inwestycyjny, w którym inwestuje duże sumy rzekomych partnerów biznesowych. Jeśli chodzi o finanse, ten człowiek jest stworzony do robienia pieniędzy.

– Inwestuje w swoim imieniu, a reszta pozostaje w cieniu?

– Do tej pory pomnażał pieniądze berlińskiej mafii, koleżkom z Rzymu i tak dalej. Nie był jakoś specjalnie niebezpieczny.

– Co przeszkrobał? – pytałem dalej.

– Zaczął obracać pieniędzmi pewnego Greka, na którego wołają Dionizos...

– No tak, jak inaczej mogliby wołać na Greka – uśmiechnąłem się. – Ale ci przerwałem.

– Szukam tego człowieka od dłuższego czasu. Dionizos Pantakalos rozwinął sporo biznesów na kryzysie imigracyjnym. Handel ludźmi, ale też szmuglowanie szeregowych dla Berlina, sporo tego.

– Stąd udział greckiej agentki?

– Dionizos ma bazę na Cyprze. Te szwajcarskie zamachy to jedna z gałęzi współpracy Pirllettiego i Dionizosa.

– Skoro to Cypr, to nie jest to już jedynie europejska sprawa. Chwila moment pojawią się ludzie z Bliskiego Wschodu, a wtedy...

– Wtedy będzie po wszystkim – dokończyła Helena.

– Ile mamy czasu?

– Myślę, że może dwa, góra trzy dni. Pirlletti odrzucił wszystkie prośby o zaprzestanie współpracy i wycofanie się z inwestowania na Cyprze. Byli u niego, prosili, a potem gładko przeszli do gróźb. Pirlletti wziął najlepszą ochronę w Europie i myśli, że to załatwi sprawę.

– Jeśli myślimy o tych samych ludziach, to nie ma czasu – wcisnąłem guzik ekspresu. – Kawkę?

– Jeśli to byli Izraelczycy, czego nie mogę wykluczyć ani potwierdzić na sto procent, sytuacja jest krytyczna. Na Pirllettim urywają się tropy, jeśli chodzi o Dionizosa – dopowiedziała i zerknęła w stronę wyjścia.

Kawa popłynęła ciurkiem. Jeśli sprawa dotyczyła Cypru, nie mogło zabraknąć Izraelczyków – mają obsesję na punkcie bezpieczeństwa narodowego. A skoro mogą zlikwidować źródła zaopatrzenia i logistyki dla terrorystów pod ich granicą, nie będą przebierali w środkach. Jeśli to był Mossad, mieliśmy przejebane.

Jeśli.

To dobre słowo, ale nie znosiłem go w mojej pracy. Gdzieś tam Pirlletti witał się z Charonem. O monety na powiekach nie musiał się martwić. Po co się kogucik rzucił na handel bronią? W tej części europejskiego teatru na brak emocji narzekać nie możemy. Mógł pan Pirlletti robić te swoje miliony, mnożyć spadek dla bękartów, korzystać przez kolejne kilkadziesiąt lat, ale zamiast tego rzucił się na byka, na którego grzbiecie nikt jeszcze długo nie wytrzymał. Cudownie byłoby z nim pogadać po mojemu, choćby w jego dialekcie – wziąłbym nawet dodatkowe lekcje – poznać lepiej jego smycz i tych, co regulowali mu paski na kagańcu, z którego się zerwał. Mogła to być jego inicjatywa, jakiś plan lub klasyczne pozbycie się niewygodnego człowieka, który był jak martwa jedynka psująca uśmiech. W nieskończoność mógłbym snuć scenariusze jego krętego losu, ale tworzone na bazie posiadanych informacji byłyby jedynie przypuszczeniami niewartymi zaufania.

Z tego zawieszenia wyrwała mnie obecność Heleny i ta rzadka okazja, by pogadać bez stopera w dłoni. Przedemną stała najpiękniejsza Greczynka pod słońcem, a na zewnątrz tragedia z udziałem najlepszego wywiadu na świecie. W tym wszystkim ja, Achilles, któremu nadepnięto na piętę. Miałem tylko wywęszyć, co u Pirllettiego. Wyszło jak zwykle. Przynajmniej widoki miałem obiecujące. Jeszcze raz spojrziałem w jej brązowe oczy, trzymając się mocno krawędzi blatu, żebym nie utonął.

– Nie mogę obiecać, słońce, że za tę garść niesprawdzonych informacji złożę tu śluby wierności. Jeśli masz rację i w sprawę wmiszał się Mossad, zapewne padły wyroki śmierci.

– Nie wiemy, czy to Mossad, po prostu zostaw mi Pirletiego na jeszcze dwa dni.

– Za dwa dni będzie martwy. Muszę z nim jak najszybciej porozmawiać. Spieszmy się, ludzie tak szybko odchodzą.

Wkurwienie załalo twarz Heleny. Z tym też było jej do twarzy. Piękna, ale na inny sposób. Dokończyłem pakowanie i szarpnąłem za rączkę walizki. Nie zważając na gościnie, ruszyłem w stronę drzwi.

– Nie znajdziesz go – rzuciła Helena – po tym, co dziś odwaliliście, Pirletti będzie nie do namierzenia.

– To dopiero początek, Helena. Jeśli do tej pory nie zdążyłaś z infiltracją Pirletiego, nie mogę już nic na to poradzić. Dziś mój świętej pamięci kolega Benek przechwycił dokumenty i gdy odpowiedni ludzie to rozpracują, wyciągną wnioski. Tymczasem Pirletiego czeka karuzela.

– Przyjechałeś go sprzątnąć?

– Przyjechałem po ciebie.

Helena parsknęła śmiechem, ale trzeba było być człowiekiem wielkiej wiary, by w to uwierzyć, ja tego nie kupiłem. Coś w jej parsknięciu zagrało melodię sprzed kilku miesięcy. Czasem wchodzisz z kimś do łóżka, by się przespać i wzbogacić trochę swój świat, a budzisz się z uczuciem, które sprawia, że zwykły sok z pomarańczy wyciskany na rogu uliczki smakuje jak ambrozja i na niebie zamiast obłoków jest wata cukrowa. Jesteśmy wobec tego bezbronni. Ja wtedy podjąłem decyzję.

– Robię dla Robertiniego, na którego nazwisko każda mafia ściąga kapelusz. On odchodzi na emeryturę i zostawił mi niedokończone porządki w ogrodzie. Zatem idę w ogród i kończę. Nienawidzą mnie w moim kraju i jak tylko tajne służby dowiedzą się, że tu jestem, postawią to miasto na baczność, by mnie znaleźć.

– To po co popełniasz to samobójstwo?

– To był pierwszy wybór Robertiniego, bo mam tu kilka kontaktów ze starych czasów, które mogą mi pomóc nie zginąć w tym labiryncie. Mam na myśli Karmela, wice w Agencji Wywiadu, który też gra w swoją grę, to znaczy w starą polską grę. Pozbyć się ruskich ze stref wpływu i ze służb, a to robota... tego tam waszego...

– Syzyfa?

– Otóż to, Syzyfa, bo ruscy jak syfils drażą polski kontrwywiad. Wyjedź stąd, Helena, póki jeszcze czas, dostarczę ci listę i haki na tego waszego Dionizosa.

– Nie dasz rady w pojedynkę, a tym starym kolegom bym nie ufała.

– Ja nie dam rady? – uśmiechnąłem się, zamykając walizkę.

Wyszedłem, nie zamykając drzwi. Mieli załatwić bezpieczną kryjówkę, a zrobił się z tego dworzec. Musiałem ewakuować się do bezpieczniejszego miejsca, gdzie uda mi się zamknąć oczy choćby na kilka godzin. Podobno foczki z Navy Seals potrafią nie spać pięć dni. To zapewne jedyny powód, dla którego nie jestem byłym komandosem. Nie biegałem po lesie za narkotykowymi baronami, nie jadłem odcędzonych zwierzęcych fekaliiów i nie ujeżdżałem nosorożców na sawannie. Nie wyskoczyłem nigdy z samolotu bez spadochronu, nie miałem siedmiu życ, nie strzelałem z bazuki i nie zadźgałem nigdy batalionu irackich bojowników tępym nożem do obierania ziemniaków. Przez to dziwne życie ominęło mnie tyle frajdy.

Taksówka czekała na dole. Kurdyjski kierowca wysiadł, by włożyć moją walizkę do bagażnika. Podziękowałem za fatygę i sam otworzyłem bagażnik. Wsiadłem na tylną kanapę škody fabii i wysłuchałem relacji z pierwszej ręki o sytuacji Kurdów. Była nie do pozazdroszczenia. Resztki sumienia, jakie mi zostały, drżały, słysząc smutną opowieść człowieka, dla którego ucieczka okazała się jedyną drogą. Za dnia fryzjer, w nocy taksówkarz. Dla niego ta Polska to raj, ale tęskni za przyjaciółmi i rodziną. Nie pracowałem na tamtych terenach, jednak czułem, że to brudne gierki wywiadów mnożą biedę niewinnych ludzi. Taki paradoks. Chcieliśmy pomagać, a wyszło jak zwykle. Podałem mu dwa banknoty. Popatrzył z niedowierzaniem. Poczulem wstyd. Coś tam powiedziałem bez sensu i wysiadłem z taryfy. Stałem przed szarym blokiem wysokim na piętnaście pięter. Machnąłem ręką pani w recepcji i pojechałem starą windą na sam szczyt. Oczy same się zamykały. Poczulem, jak zmęczenie uderza mnie w potylicę. Potrzebowałem snu. Parę godzin błędnego snu, a rozwiążę każdy problem.

Daj mi, Boże, kilka godzin, zanim karuzela ruszy na nowo.

8. Stara śpiewka Włodka

Włodzimierz Karmel był szarą eminencją Agencji Wywiadu. Jego legenda biegła trzy przecznice przed nim. Rozświeślał mroki, pocieszał strapionych i bronił kraju na różne sposoby. Miał około pięćdziesiątki, równiutki przedziałek i nosił szkła bez oprawek. Nigdy się nie ożenił, bo jak sam powtarzał, służba była jego jedyną miłością. Poza tym był zawodowcem i żona, dzieci czy jakiegokolwiek przywiązanie mogłyby stanowić lewary na niego, co w tym zawodzie prędzej czy później doprowadziłoby do jego upadku. Bez zbędnych komplikacji, jakichkolwiek zobowiązań, własnych pragnień. Nie kradł, mało kłamał i nawet nie donosił Amerykanom. Gatunek na wyginięciu ten Karmel. Wierny tylko Polsce i tym, co zarzekali się, że jej służą.

Słabością Karmela było jego dziecinne zaufanie do kilku ministrów i ślepe posłuszeństwo zwierzchnikowi. Nie musiał mówić całej prawdy, choćby o tym, że miał ze mną układ na lewo, ale podskórnie wiedziałem, że jeśli przyjdzie co do czego, nie ma mowy o zaufaniu i na wypadek katastrofy, gdy rzucę się w kajdanach pod jego stopy, uda, że nie widział mnie od czasu, gdy prysnąłem z kraju. Słodki Włodek, poważny facet nieco powyżej średniego wieku, który próbował z całej siły zasłużyć na medal przed emeryturą. Ów medal mógł dostać za dokończenie sprawy, za którą wyleciałem poza burtę Polski. Mianowicie mógł dopaść rosyjskie wtyki w polskim kontrwywiadzie, ale węższy sam nie mógł z oczywistych względów, więc spadłem mu z nieba. Mnie mogli wtedy wyrzucić, bo byłem szeregowym, za to samo komuś rangi Karmela wręczą medal i postawią pomnik. Potrzeba tylko dowodów i najlepiej truchło Antonowa. Stara to baśń, że każdy śpiewał swoją pieśń, które się nam plątały jak szczyreniaki pod nogami.

W szarym garniturze wyglądał jak byle biznesmen i wtapiał się w warszawski tłum. Tym razem ćwiczył niewidzialność w lobby hotelu Radisson przy Grzybowskiej. Odebrałem swój klucz do pokoju i po chwili patrzyłem na synagogę Nożyków i piętrzący się Pałac Kultury w tle. Karmel też odebrał klucz do swojego pokoju, ale nie miał zamiaru się w nim pojawić. Wszedł do mojego i przerwał moje podziwianie panoramy Warszawy.

– Piękna, co? – zapytał.

- Zjawiskowa. Szkoda, że farb nie wziąłem.
- Dobry humor cię nie opuszcza, jak widzę...
- Tylko to może nas teraz uratować, Włodek.

Opowiedziałem Karmelowi ze szczegółami przebieg ostatnich wydarzeń. Pomiąłem wizytę Heleny. Ubarwiłbym opowieść i dodał jakieś poetyckie wstawki, ale nie urodziłem się Homerem. Troja nadal czekała na zdobycie, a Karmel słuchał moich słów, stojąc pod jej murami. Zaczynał rozumieć, że w obecnej sytuacji byle koń to za mało.

- Tu masz komputer, w którym Benek zgrał dane z komputera Pirlettiego, powinno coś tam być.

Wręczyłem mu torbę bez większego entuzjazmu. Co mógł Pirletti trzymać na firmowym laptopie? Zawsze warto sprawdzić.

- Jest jeszcze coś - kontynuowałem. - Nie chcę wywoływać wilka z lasu, ale możliwe, że sprawą zajął się Mossad.

Karmel pobałdł. Nie odpowiedział od razu. Wbił wzrok w panoramę i trwał tak przez kilkanaście sekund. Żyła na jego czole zaczęła pulsować. Wyszła na wierzch, jakby go coś przyduśiło. Wziął kilka głębokich oddechów i wrócił do Warszawy, do Radissona, do spotkania ze mną.

- Spotkasz się dziś na Chłodnej z pewną kobietą. Podrzuca dziewczyny ludziom, których chcemy inwigilować. Nazywa się Barbara Próżanowska i prowadzi najbardziej ekskluzywny burdel w stolicy.

- Od kiedy współpracuje?

- Kilka lat, jest sprawdzona. Wyciągnij od niej adresy najbliższych współpracowników Pirlettiego i pogadaj z nimi.

- Jaki macie plan na Pirlettiego?

- Na razie nie mamy twardych dowodów, nie możemy go tknąć, zresztą to sprawa kontrwywiadu. Znasz procedury, nie mogą tak po prostu zlecić zabójstwa.

- Procedury srury. A podcierasz się bez pozwolenia czy dzwonisz za każdym razem?

- Słuchaj, zagadaj Barbarę o adresy i wybadaj, czy koło Pirlettiego jeszcze nikt inny się nie kręci. Mnie ten makaroniarz powiewa, chcę wiedzieć, czy kręcą się przy nim Rosjanie - Karmel wyjął papierosa. - Przytkniesz czymś czujnik dymu?

Wstałem z wygodnego fotela w musztardowym kolorze. Taki model, który kojarzy się ze świątecznymi reklamami. Książka, sweter i najlepiej jakiś kundel na tle choinki. Zablokowałem czujnik i otworzyłem okno. Karmel odpałił żółtego camela i wypuścił chmurę dymu w moją stronę.

- Ten Pirletti to cwaniak, który przetrze szlaki kolejnym. Myślę, że jego geniusz nie polega na mnożeniu pieniędzy czy doskonałemu kamuflażowi. Myślę, że wiedział to, co najważniejsze w naszym kraju.

- Włodek, jeśli nie przestaniesz pierdolić jak druid nad kotłem tajemnic, mogę nie zrozumieć, co starasz się przekazać.

- Wiedział, kogo przekupić. Nie mówię tu o dużych interesach albo ministrach, bo to oczywiste. Podejrzewam, że ma swoich ludzi w ABW.

- Jakies konkrety? - pytałem, odganiając ciężki dym camela.

- Myślę o wice... może nawet o szefostwie, o samej górze. Podejrzewam, że Pirletti dostał immunitet, dlatego nie możemy się do niego zbliżyć. Ktoś z górnej półki w ABW - Karmelowi zapłonęły oczy.

- Co to za ochroniarze, których wynajął Pirletti?

– Nie wiem. I tu jest twoja rola. To zawodowcy, widziałeś ich zresztą. Byki nie z tej ziemi. Kilku zidentyfikowali nasi.

– Niech zgodnę, trochę ze służb, a trochę z wojska.

– Jest tam jeden, ludzako podobny do oficera wywiadu w Afganistanie. Zginął z rąk talibów. Byłem na pogrzebie, był też prezydent i rodzina. Ostatnio widziano go obok Pirlettiego.

– Jesteś pewien?

– Nie na stówę, ale za długo żyję, by uznać to za przypadek. Moja teoria, klejona na szybko, jest prosta: Pirletti zapłacił ABW za wolną rękę, a ochronę wziął sobie sam. Problem polega na tym, że jego ochrona może być próbą infiltracji Pirlettiego lub jakąś inną machlojką kontrwywiadu.

– Jeśli masz rację co do tego człowieka, działa przy Pirlettim i niekoniecznie dla niego. Na pewno nie dla was. Skąd pewność, że Pirletti wie, kogo do siebie dopuścił. Może jeszcze ktoś inny ma w tym swój interes? Może kontrwywiad wraz z Rosjanami chce mieć na niego oko? – myślałem na głos.

– To wszystko trzeba wybadać, Feliks.

– Mógłbyś to rzucić – wstałem, nie mogąc wytrzymać papierosowego dymu. – Zobaczymy, co sły chać w burdelu, i może uda się pogadać z tym człowiekiem. Jakies imię czy nazwisko?

– Jeśli to on, powinien zareagować na ksywkę Bąk. W poprzednim życiu nazywał się Michał Bąk. Doskonały snajper.

Usiadłem na łóżku. Było miękkie jak tłuste pośladki brytyjskiej nastolatki. Niewygodne na dłuższą metę. Staralem się nie dotykać posłania z obawy przed syfem czającym się na hotelowych materacach, które rzadko były używane do spokojnego snu. To konkretne łóżko zostało wyjeżdżone jak stara kobyła.

– Daj mi dwa dni i powiedz tym, co za mną jeżdżą, żeby dali spokój. Nie da się pracować w takich warunkach – wyrzuciłem Karmelowi.

– Dwoję się i troję, żebyś pozostał anonimowy.

– Gdzie będziesz?

– Spotkajmy się na Saskiej Kępie. Tu masz adres. – Karmel wstał i jak gdyby nigdy nic wyszedł z pokoju.

Po piętnastu minutach poszedłem w ślad za Karmelem. Młoda dziewczyna ubrana w marynarkę i niebieską koszulę hostessy przemierzała korytarz z butelką szampana. Gdyby nie wykładzina, jej obcasy wystukwałyby marsz. Gdzieś na końcu korytarza z pokoju wychylał się szympans w garniturze z rozpiętymi guzikami do połowy klatki piersiowej. Ślinił się na sam widok. Niech się dobrze bawią. Przynajmniej ktoś w tym szarym mieście mógł nie myśleć o terrorystach, forsie robionej na boku i przekupionych agentach kontrwywiadu.

9. Diabeł nie czort, Michale

Siedziała za dębowym blatem jak prezes kuli ziemskiej. Jej blond włosy falowały na wystających obojczykach, a kaszel brzmiał jak wydech sportowego samochodu. Dzierżyła trzecią władzę, mając swoje dziewczyny w najważniejszych łóżkach stolicy. Sceny, jakie kiedyś oglądałem na sprośnych filmach, odbijały się od ścian pokoju, w którym siedzieliśmy. Niby pomieszczenia były dobrze wygluszone,

a jednak coś przebijało – po lewej stronie dochodziły do mnie jakieś jęki. Te wszystkie opowieści o kurwach w pościeli polityków, prezesów spółek i szefów mafii... Bierzesz je za teorie spiskowe, dopóki nie zobaczysz na własne oczy, że te majaki administratorów stron o reptilianach to małe espresso przy tym, co się dzieje nieco ponad ulicami stolicy. Trzeba twardych łokci i silnych leków nasennych. Każdy ma swoje sposoby.

Wróciłem wzrokiem do obciętych końcówek spacerujących po jej dekolcie.

– Usta robiłaś we Włoszech, co? – przerwałem niezręczną ciszę.

– Jest taki jeden majster w Reggio Emilia, tam, gdzie robią ten ser... zapomniałam nazwy.

– Parmigiano Reggiano?

– Otóż to! Drogo, ale porządnie. Co cię tu sprowadza, przystojniaku? Tylko szybko, bo nie mam całego wieczoru dla ciebie – rozsypała równiutką ścieżkę na lśniącym iPhone.

– Szukam kolegi.

– Tu się przeważnie szuka koleżanek, złotko. W tej kwestii jeszcze czekamy na wyzwolenie seksualne wśród polskich ministrów – szurnęła jednego krótkiego na rozgrzewkę. – Chociaż kolegów też mamy, ma się rozumieć...

– Przystojny jegomość, zbudowany jak Apollo, ale wołają na niego Bąk. To pilne, też się spieszę.

– Jesteś od Karmela? Dobrze kojarzę? – jej ton zmienił się na jeszcze chłodniejszy.

– Można tak powiedzieć, madame, ale tu nie o mnie chodzi. Muszę pilnie pogadać z Bąkiem, prosilbym o namiary.

– Chwileczka... – zmarszczyła czoło. – To człowiek... – zawahała się, nie powiedziała nazwiska, a po chwili rzuciła: – Nic z tego, VIP-ów nie podpierdalam.

Spojrzałem w jej niebieskie oczy. Kokaina dodała jej wigoru. Jestem słaby w rozmowach z kobietami. Rzadko wiem, jaki taniec trzeba odtńczyć, jak ubrać w słowa groźbę, by brzmiała jak komplement. Nie biję kobiet, a wyjść z informacją musiałem. Cóż poradzić, brnąłem dalej w tej nierównej walce.

– Jesteś silna, niezależna i z tego, co zdążyłem zaobserwować, zabójczo inteligentna. – Nie spuszczałem z niej wzroku. – Wiesz, że nie gadalibyśmy, gdyby nie ręczył za mnie Karmel. Po co więc te przepychanki? Podobno świetnie razem żyjecie.

– A ty kim jesteś?

– Polak mały, moje godło orzeł biały – wyrecytowałem. – Pracuję za granicą, jestem tu gościnnie. Taki paradoks.

– Chłopcze, posłuchaj. Witam w stolicy, cieszę się, że się tu na fuchę załapałeś, ale takie informacje kosztują. Podpierdalanie VIP-ów to potrójna stawka.

– W bitcoinach może być? Czy w całusach? – Liczyłem na tę drugą opcję, ale była zajęta usypywaniem kolejnej ścieżki.

Wyjąłem kopertę bąbelkową, w której były same pięćsetki. Gruby plik janków trzecich sobieskich wypełnił kopertę. Całkiem miły ciężar. Blondyna otworzyła kopertę długim tipsem saute. Zajrzała do środka z udawaną obojętnością. Miała liczkę w oczach jak każdy prawdziwy biznesmen szarej strefy, który pozostaje odporny na płatności bezgotówkowe i terminale płatnicze. Wyobraziłem sobie jej mieszkanie. Jakiej grubości musiała mieć materace i czy wypchane gotową zapewniały doskonałą twardość snu? O mały włos nie zapytałem, co robiła po powrocie do domu. Może czytała Faulknera i płakała,

jak w *Dzikich palmach* bohaterka ginie po skrobance, którą jej machnął kochanek lekarz? Włączała Netfliksa i raczyła się winkiem przy *Pretty Woman*? Czy może walała prosto na trening kickboxingu, potem jogging i kilkadziesiąt tabletek z witaminami pozwalającymi jej dalej prowadzić ten dom uciech? Jej twarz, fasada, mury, które zbudowała, to była gipsowa scenografia Felliniego, w tym mieście kobiet musiało być coś więcej. Wróciłem myślami do małej partyjki warcabów, prostej wymiany informacji, nie interesując się już więcej losem tej burdelmatrony, która grała na innej planszy, była pionkiem w innej grze, inne sznurki pociągały ją za szmatki z Balenciagi. Ja miałem tu prosty biznes i nie marnowałem śliny i jej czasu mierzonego w setkach.

– Michał Bąk to przemiły chłopak. Dziewczyny mówią, że to normalny facet, idealny klient.

– Przychodzi tu często?

– Nigdy. Zawsze zamawia miłość na wynos.

– Miłość? – skrzywiłem się. – Pod jaki adres?

– Już ci piszę. – Szurnęła na drugą nóżkę, po czym chwyciła długopis i nabazgrała adres kursywą, ze starannością benedyktyńskiego mnicha. – Tylko mi go nie zabijaj. To naprawdę porządny chłopiec. Nie taki jak wy.

– Łobuzy, te gnojki ze służb, prawda?

– Wpadacie, robicie raban, zabijacie mi klientów, a potem policja węszy na Śródmieściu. Niesforni jesteście.

– Wybacz, madame, każdy ma swój model biznesowy – zerknąłem na kopertę i skinąłem w stronę szefowej. – Wybacz, będę zmykał.

– Może zostaniesz na chwilę, mam świeże dziewczyny z Gruzji i okolic...

– Okolic obecnych konfliktów zbrojnych – przerwałem. – Podejrzewam, że macie teraz ruch w interesie.

– Nie oplaca się, za dużo problemów z logistyką, synku. A co, lubisz cipki ze Wschodu? Sam masz takie rysy, jak dobrze się przyjrzeć. Swoje to jednak swoje.

Słyszałem już milion razy: „Felix, nie wtrącaj się w nie swoje interesy. Oni będą jak sępy żerować na zwykłej ludzkiej krzywdzie, starej jak świat, od pierwszych konfliktów nad ogniskiem w afrykańskich jaskiniach. Nie wtrącaj się”, szumiało mi w uszach od słów Karmela, żebym nie wychodził poza linię. Jednak od przedszkola nie rozumiałem tej zasady. „Nie zgrywaj bohatera”, powtarzali. „Nie zbawisz świata, nie twój zasrany biznes. Wypierdalał”. Ich słowa krążyły mi po głowie, kłątwy mojego kraju, moich byłych przełożonych, moich mentorów, moich dawnych mistrzów. Jak hamulce, które zaszły rdzą, jak pasy, które szarpiesz, zanim puszczą, jak oczy czerwone w szale. Oni byli kilka ulic ode mnie, ale jednocześnie daleko, daleko od świątyni, w której zostałem kapłanem. Od wnętrza mojej bazyliki, w której złożyli fundamenty pod moją wolność tym szczekaniem i smyczą, którą mi chcieli założyć, nie rozumiejąc, że to nie ta rasa, nie ten gatunek. Spojrzałem na znieczuloną burdelmameę i wiedziałem, że musiała do reszty się otumanić, by nie rzucić się na jeden z wiszących żyrandoli w pomieszczeniu, gdzie od ścian odbijała się jej słodko-stęchła propozycja o młodej Gruzince, Ukraince, Armence.

Nie musiałem się rozglądać. Wszystko zobaczyłem, gdy wchodziłem do kamienicy. Dyskretne kamery i kilku ludzi w pogotowiu. Nie zdążą zareagować. Jestem szybszy niż ich sztylety, ich duży i mały kaliber. Ich czerwone przyciski, numery alarmowe i scenariusze awaryjne. Na policję nie

zadzwoń, może co najwyżej ludziom kontrwywiadu będzie przykro, że kolejny burdel spłonie. Zawsze to mniej asów przy szantażu. Jednak pożar w tej części Warszawy był mi w tej chwili nie na rękę. Ale obiecałem sobie, że gdy skończę robotę, podłożę ogień pod tę cholerną kamienicę. *Do czasu*, pomyślałem i wróciłem do dyrektorki tego przybytku.

– Nie, dziękuję – rzuciłem, jakbym odmawiał kolejnego ciastka.

– Twoja strata, kocuciku. Miłego wieczoru – uśmiechnęła się szeroko z resztką kokainy pod nosem.
– Żegnam.

Wstałem i wyszedłem na szeroki, długi korytarz. Na jego końcu widniała czwórka. Na prawo schody wiodły na poddasze, gdzie musiały znajdować się kolejne komnaty rozkoszy. Przypomniało mi się stare żydowskie powiedzenie, że jak miłość, to choćby mały pokoik na poddaszu. Chwilę jeszcze wahałem się, stojąc przy lustrze w ścianie korytarza, gdy za ramię chwycił mnie jeden z ochroniarzy. Spojrzałem w oczy temu dwumetrowemu workowi na ziemniaki i ostatecznie odpuściłem poboczne awantury. Dopadną ich innym razem. Teraz Michał Bąk i kwestia jego zmartwychwstania. Potulnie skierowałem się do wyjścia, prosząc o klamkę, którą mi skonfiskowali przy wejściu. Prawie uchyliłem kapelusza i pchnąłem drzwi wejściowe na czwartym piętrze.

Wyszedłem z kamienicy i zaciągnąłem się sierpniowym powietrzem. Tuż za bramą zerknąłem na tablice zaparkowanych aut. Z doświadczenia wiem, że jeśli widzę te same tablice drugi raz, to nie ma mowy o przypadku. Tym razem było czysto. Nudne warszawskie tablice, których jeszcze nie widziałem. Pożegnałem się z paranoją i ruszyłem w stronę ulicy Wolskiej, gdzie miałem nadzieję zastać Michała Bąka – komandosa i weterana, który w papierach nie żył od kilku dobrych lat.

Blok wyglądał, jakby właśnie wyszedł spod betoniarki dewelopera. W pasie handlowym mały salonik hiszpańskiej marki samochodów, przed wejściem roślinki otoczone betonem, a na klatce schodowej trochę drewnianych akcentów. Szczyt polskiej deweloperki nowego tysiąclecia. Na widok tego nieporozumienia Le Corbusier robił pewnie sześć przewrotów w przód. Poza tym spokój i cisza, jak u Jasia i Małgosi w obejściu. Bajeczne warunki do rozmowy.

Wpisałem kod do domofonu i zacząłem pieszą wspinaczkę na siódme piętro. Siedem pięter jak siedem grzechów głównych. Tyle że siódme było lenistwo. Mimo to nie wziąłem windy. To jedna z moich zasad. Zero wind, no chyba że przede mną więcej niż dziesięć pięter. Korytarz i drzwi były w kolorze tak nijakim, że nawet trudno mi go określić. Chwilę stałem przed drzwiami jak niewprawiony świadek Jehowy. *Dobra nowina się sama nie zaniesie*, pomyślałem i zapukałem.

Cisza.

Kolejne trzy szybkie odbiły się echem.

Nadal nic.

Wyjąłem ustrojstwo z kieszeni kurtki, które otwierało większość drzwi. Na upartego otworzyłbym tym wrota Mordoru. Tym razem wystarczyła chwila cierpliwości. Wszedłem do pustego mieszkania, które od katalogu różniło się mocnym zapachem prawdziwego mężczyzny. Mieszanka Hugo Bossa, potu i gotowanego kalafiora. Uchyliłem okno i usiadłem przy drewnianym stole. Nie muszę tłumaczyć, że był to obszerny open space, co oznaczało, że w jednym pomieszczeniu Bąk gotował, jadł i kochał się, jak to wyraziła Barbara.

Michał, kiedy będziesz?

Nie zostawił żadnej kartki, żadnego magnesu na lodówce. Tajemniczy typ. Przeliczyłem zawartość magazynka i nieco się rozluźniłem. Szczęście mnie nie opuszczało, bo nie musiałem długo czekać. Pod

blokiem zaparkował czarny land rover z szybami w kolorze skóry Didiera Drogby. Z auta wyszedł Michał Bąk, a ja przestałem mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Widziałem chłopca w kraju Afgańczyków i ze dwa razy gdzieś na jakiejś greckiej wyspie. Karmel mówił prawdę, co rzadko mu się zdarza. Po Panu Jezusie to był drugi znany mi przypadek zmartwychwstania. Zacisnąłem dłoń na pistolecie. Analogowy zegar uśmiechnął się, pokazując dziesiątą dziesiątą. Przyglnąłem do ścianki oddzielającej przedpokój od reszty otwartej przestrzeni. Miałem nadzieję, że będzie zmęczony i zdekoncentrowany.

Nic bardziej, kurwa mać, mylnego.

Zamek drzwi zaczął trzaskać. Dolny, potem górny, kroki w przedpokoju i kurtka dyndająca na wieszaku. Bąk wszedł do salonu, nie mając żadnych szans w pierwszej rundzie. Przystawiłem mu pistolet do potylicy, gotów nacisnąć spust. Kto nie był z nami, był przeciwko nam. Dobrze byłoby pogadać, ale nic na siłę.

– Ani rusz – nie żartowałem.

W milisekundę obrócił się, wyprowadzając cios. Pistolet wyleciał mi z rąk, ślizgając się po podłodze. Druga runda należała do niego. Kolejny jego cios zablokowałem i odepchnąłem komandosa. Staaliśmy naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy. Wyciągnąłem rękę, jakbyśmy byli na zawodach judo. Rozstawiłem szeroko nogi, łapiąc balans. Czekałem na jego ruch.

Zagrał nieczysto.

Nóż błysnął w jego ręce, nóż z rodzaju tych, którymi patroszy się wieloryby. Ostry jak japońskie cacko z filmu *Kill Bill*. Trzy szybkie ruchy przecięły powietrze. Od zgrabnych uników zależał komplet moich flaków i palców. Chwilę tańcowaliśmy, dopóki nie popełnił małego błędu, źle stawiając lewą stopę. Wyprowadzał pchnięcie w stronę mojej klatki piersiowej, gdy zewnętrzną stroną dłoni przekierowałem jego atakującą rękę wraz z siłą pchnięcia w pustą przestrzeń w okolicach moich nerek. Miałem ułamek sekundy na kontratak. Widząc jego odsłonięte przedramię, zdecydowałem się na wykorzystanie doskonale stabilnej pozycji. Otwartą dłonią, którą spałem, by osiągnęła twardość betonowego kafła, uderzyłem w przedramię Bąka, podstawiając kolano. Dźwięk pękającej kości rozdziera bębni, ale jest niczym przy widoku otwartego złamania. Bąk jęknął, gdy kość przebiła skórę, a krew pociekła na szatniowy dywan. Nie zemdlał, bo był zawodowcem, ale nawet profesjonalista traci na czujności, gdy mu kość wystaje z przedramienia. Zarobił jeszcze jednego precyzyjnego strzała prosto w skroń, co odcięło go zupełnie. Runął na kawowy stolik, z którego sturłał się na podłogę. Miękki dywan przyjął jego bezwładne ciało, podczas gdy ja nie zamierzałem marnować cennego czasu.

Zabrałem się do zatamowania upływu krwi w ramieniu, które przed chwilą przebiłem na wylot. Wystarczyła ścierka na prowizoryczny opatrunek. Przeszukałem kieszenie spodni Bąka, rzucając wszystko na stolik. Portfel, klucze, telefon. W jego kurtce był pilot od brytyjskiego dżipa i nic poza tym. Usiadłem w fotelu, przerzucając wzrok z przeglądanych dokumentów i telefonu na Bąka, który lada moment mógł się zacząć przebudzać.

W portfelu, poza kilkoma banknotami, wiało pustką. Przystawiłem iPhone'a do kciuka prawej ręki Bąka i usłyszałem kliknięcie odblokowanego ekranu. Spisałem ostatnio wybierane numery i kilka innych. Wśród ostatnio wybranych nie figurował żaden numer, który bym rozpoznał.

Bąk przerwał mi to moje małe myszkowanie. Przebudzał się. Otworzył oczy, w których błąkał się ból. Po policzku pociekły mu łzy. Nie był głupi. Wiedział, że koniec jest blisko.

– Zaczniemy od początku – wymierzyłem w złamane przedramię, które leżało bezwładnie na poduszce. – Kto cię werbował na Wschodzie? I, błagam, powiedz, że nie był to...

– Antonow – przerwał mi Bąk drżącym głosem. – Parę lat pracowałem u nich, a teraz w Polsce.

– Żołnierze na wynajem, agencja ochrony, tak?

– Rosjanie mają tu swoich agentów. Kilku ludzi działa w Polsce pod różnymi przykrywkami. Co, mam ci tłumaczyć, jak wywiad działa?

– Interesuje mnie tylko ta jedna konkretna komórka. Mało o was informacji poza tym, że nazywacie się Brausenber Security, tak?

– Brausenber to niemiecka nazwa miasteczka na granicy z Obwodem Kaliningradzkim. Mamy tam bazę.

Uprzedził moje następne pytanie, ale raczej nie czytał w myślach. Obydwaj wiedzieliśmy, dokąd to zmierza.

– Czy Pirletti wie, że ma wokół siebie rosyjskich pomagierów?

– Płaci i jest bezpieczny... – Bąk spojrział na mnie – przynajmniej był do teraz.

– Nikt inny się nie kręcił koło niego?

– Jest jedna Greczynka, którą staramy się wybać od jakiegoś czasu, poza tym tylko niegroźni ludzie biznesu.

Kręcił. Tak mi się wydawało. Helena wspominała o groźbach od ludzi wyglądających na długie ramię Izraela. Musiał o tym wiedzieć. Wiedział, że igra ze śmiercią i postanowił kręcić. Zobaczył coś w moich oczach, bo zmienił ton, przelknął ślinę i uważnie słuchał tego, co miałem mu do powiedzenia.

– Nie mierz każdego własną miarą, Bąk. Kurwić się za ruskie ruble...

– Jaka to różnica, pytam! Rosjanie, nasi, Włosi. Jeden czort!

– DIABEŁ, KURWA, DIABEŁ! po polsku. Nie czortuj mi tu!

Szarpnęło mną ze złości. Pistolet w ręce nie pomagał się uspokoić. Wybrałem ostatni numer listy połączeń i włączyłem na głośnomówiący.

– Czto czort? – odezwał się niski starszy głos. – Michail?

Milczałem. Usłyszałem ten głos i to wystarczyło. Przerwałem połączenie. Pogadam z nimi później.

Bąkowi płynęły łzy, gdy próbował dotykać swojego otwartego złamania. Nie było czasu do namysłu. Nic nowego. Odszedłem na kilka kroków, nie spuszczać wzroku z leżącego komandosa. Rozlał się na kanapie jak świeżo upieczony heroinista. Przypomniałem sobie Glasgow i ulice, z których uporczywy brytyjski deszcz próbował na bieżąc zmywać wymiociny. Pogarda to takie niskie uczucie. Pragnę, by było mi obce, ale ono pukalo do drzwi i okien i kazalo nacisnąć spust. Na kolaborantów jest tylko jeden niezawodny sposób. Bąk wyczuł to i chwycił się wszystkich możliwych desek ratunku.

– Możemy się dogadać...

– Czy Pirletti wie o podejrzeniach wobec tej Greczynki? Zlecił jej likwidację?

– Wiem, że coś się święci. Jestem tylko ochroniarzem. Za to ta grecka suka węszy dla swoich. Dowiedziałbym się, czego szuka, jeśli tego potrzebujesz.

Jeszcze jedno słowo tego dżentelmena – wtedy zupełnie znikną moje skrupuły. Musiałem przyznać mu rację. Pasował bardziej do Rosjan niż do nas. Obserwowałem go od minuty i zauważyłem, jak próbuje zachować dyskrecję, szurając ręką pod poduszką. To, czego szukał, przyspieszyło moją decyzję.

Wyjął pistolet spod poduszki. Zajął mu to ułamek sekundy. Miotał się jak wąż w płomieniach, gdy trafiłem ponownie w złamane ramię. Jego krzyk! Coś, czego nie zapomnę. Przebijał bębni jak silnik odrzutowy. Drugi strzał i jego zdrowe ramię przestało być zdrowe. Potem był trzeci strzał. Ten kończył

niesmaczny epizod mojej warszawskiej przygody. Krew trysnęła z otwartej czaszki rodaka, który wybrał Rosję. Gdy zleca się tu gliniarze, a potem hieny z telewizji, niech zobaczą, jak kończą kolaborujące płotki. Do grubych ryb miałem dopiero dotrzeć.

Zdjąłem kurtkę, którą zalała krew Bąka. Sąsiedzi musieli słyszeć strzały. W tej części miasta roilo się od glin. Wziąłem telefon Bąka i wyjąłem plastikowe karty. Kto wie, może otwierają szafę do Narni? Podniosłem klucze do land rovera i pomyślałem o następnych krokach.

Wybrałem numer do Karmela, by przynajmniej wiedział, dokąd zamierzam jechać. Sygnał za sygnałem, a później cisza. Kolejne połączenie. Pudło. Spał lub nie odbierał od nieznamych, cały Włodek. Wybrałem numer do jednego z jego przybocznych. Kolejne pudło. Nie odbierał ani Karmel, ani jego ludzie. Zdarzenie bizarne, tak by ujęła nasza noblistka. Niepokojące jak nocny bezdech noworodka. Gdy namierzą sygnał, zlokalizują i połączą z poszatkowanym ciałem Bąka. Będą mieli rękę na pulsie, dojdą do mnie za pomocą śledzenia karty SIM, gdziekolwiek poprowadzi mnie ten instykt, który pozwalał mi lawirować w tym warszawskim labiryncie.

Zawyły koguty. Przez okno zobaczyłem dwóch otyłych funkcjonariuszy, którzy kończyli francuskie hot dogi pod klatką. Możliwe, że za niedługo je zwrócą na widok tego, co zostało z Bąka. Czas na mnie.

Właśnie wsiadali do windy, gdy wyłoniłem się z przeciwpożarowych schodów. Land rover czekał na podejździe, a pod jego maską trzysta koni. Brytyjczycy mają hopla na punkcie parzystokopytnych. Wsiadłem do brytyjskiego powozu dla lordów jak do swojego i postanowiłem trochę się przejechać, chociaż nie mam błękitnej krwi w żyłach ani tym bardziej krwi niewolników na rękach.

Usiadłem w skórze zdartej z jakiegoś afrykańskiego zwierzęcia. Włączyłem auto i przeciągnąłem palcem po dotykowym ekranie. W systemie nawigacji sprawdziłem ostatnie adresy, a później ulubione. Konstancin-Jeziorna i Krochmalna. Mieszkanie Pirletiego było przy Krochmalnej, ale nie wiedziałem, co Bąk mógł robić w Konstancinie-Jeziornie. Cokolwiek to było, musiałem sprawdzić, zanim zostawię ten karawan na jakimś zapuszczonym parkingu. Czas na przejażdżkę po stolicy.

Wyjechałem z Woli i skierowałem w stronę Mokotowa. Śródmieście było zakorkowane jak zwykle. Po kilku minutach w długiej linii frustratów żalowałem, że Bąk nie poruszał się helikopterem. Zapchane warszawskie ulice pełne ryków i klaksonów, bo przecież każdy ma tu swoje biznesy i to do zrobienia na wczoraj.

Włączyłem prostego autopilota i nieco obniżyłem fotel. Skoro to już lata dwudzieste, to niech samo auto podejźdza w korku. Ponownie wybrałem numer do Włodka Karmela, ale wciąż odbijałem się od sekretarki. Karmel nie będzie zadowolony, jak się dowie, że Bąk odszedł po raz drugi, ale może być zainteresowany jego kontaktami. Problem polegał na tym, że organizacja Brausenberga Security działała na terenie Polski. Zastanawiałem się, gdzie się podział polski kontrwywiad i co z przepływem informacji między nimi a wywiadem. Karmel nie kazalby szukać Bąka, gdyby wiedział, że pracuje dla Rosjan.

Dojeżdżałem już do Wilanowa, snując analizy na gorąco. Karmel, odbierz, kurwa mać. Włączyłem radio i wybrałem stację. Adele i piosenka dla serii o Jamesie Bondzie. Kabinę wypełnił jej mocny głos, przy którym mogłem się zresetować. Gdziekolwiek prowadził mnie GPS, nie było odwrotu. Nie planowałem kolejnych kroków, bo nie zależało mi na złudzeniu kontroli. Wyjdzie w praniu. To całe analizowanie traktowałem jak wrócenie z fusów. W tej robocie się działa, nie myśli, zabijanie nie wymaga rozpisania projektu. Gdzieś za miasteczkiem Wilanów ruch się przerzedził, a ja wyjechałem na otwartą

przestrzeń. Słońce chowało się już za horyzont. Warszawa jest męcząca jak toksyczny związek. Odechnąłem z ulgą, gdy wyjechałem poza jej mury.

Spory ekran nawigacji pokazywał metę oddaloną o zaledwie trzydzieści minut. Konstancin-Jeziorna to malownicze miasteczko, w którym mieszka sporo warszawskiej elity. Uliczki wchodziły w las, a wille otoczone są wysokimi żywopłotami lub murami. Minąłem uzdrowisko solankowe po prawej i skręciłem w lewo, w wąską uliczkę prowadzącą w stronę lasu. Mijając kolejne wille, czułem się, jakbym słuchał ogłoszeń duszpasterskich w obcej parafii. Ich świat znałem przelotem, raczej jako intruz, jak odprysk na świeżym lakierze starego cabrio. Miło było przejechać się aleją cichego przepychu, który nie chciał się rzucać w oczy, uciekał w las, chował się za wysokim płotem, wystawiał jedynie ciekawskie kamery na latarniach, słupach i bramach.

GPS pokazywał dwie minuty do celu. Gdy została minuta, jechałem głębokim lasem, gdzie domy miały coraz dziwniejsze kształty i gęstsze zarośla wokół. „Jesteś na miejscu”, oświadczył niski głos, a na ekranie pojawiła się szachownica mety. Wylączyłem światła i zniknąłem w ciemności lasu.

10. Przewrót pałacowy

Wylączyłem silnik i próbowałem obejrzeć budynek na tyle, na ile pozwoliła mi metalowa brama wciśnięta między szereg gęsto posadzonych świerków. W bladym świetle księżycy zobaczyłem jasną elewację i spore balkony. Dwie kolumny i potężne drzwi wejściowe. Wszystko, co ciekawe, kryło się z drugiej strony domu, z dala od ciekawskich oczu spacerowiczów. W kilku oknach paliły się światła. Na podjeździe stały trzy samochody.

Aż trzy.

Rozsądek podpowiadał, bym zadzwonił po oddział szturmowy albo przynajmniej po szwagra z gęstą siatką kontaktów wśród kibiców Legii. Nawet diabełek na lewym ramieniu naciskał, bym się jeszcze zastanowił. Ochroniarz na czatach zauważył znajomą rejestrację na znajomym land roverze. Nie mógł widzieć, kto jest w środku. Ciemne szyby i czarna noc zapewniały tymczasową anonimowość.

Metalowa brama otworzyła ramiona, zapraszając do środka. Włączyłem silnik i zacząłem wtaczać się na podjazd. Rozsądek z diabełkiem ukryli twarze w dłoniach jak moja matka na wieść o moim wyborze służby w wywiadzie. Nigdy jej tego nie powiedziałem wprost, wyczytała to z moich oczu oraz idiotycznego tekstu, że podpisałem papier i nie mogę o tym mówić. Odwrót nie wchodził w rachubę. Zresztą nie było innego wyboru.

Feliks, przeżyłeś sporo, może to już czas się żegnać?, pomyślałem, przelykając ślinę.

Wyjechałem na podjazd, jakbym parkował pod Halą Mirowską, bez pośpiechu, i tak ugrzęznął w kolejce po jagodzianki. Rosły ochroniarz zszedł ze schodów przed wejściem i ruszył w stronę auta. Włączyłem światła postojowe, czekając, aż się przygramoli bliżej przedniej szyby. Fotokomórka przy bramie zgasała, gdy był kilkanaście kroków od przedniej maski. Znów półmrok ogarnął podjazd. Wtedy opuściłem szybę, nie dając mu czasu na odpalenie latarki. Szyba zjechała, odsłaniając nagi tłumik. Nie byłem w stanie dostrzec dokładnie jego sylwetki i bałem się spudłować. Pudło przy komandosach to fatalny błąd. Więcej niż jeden strzał zwiększa szansę na reakcję, a ja wołałem pozostać cicho jak HIV lub w najgorszym wypadku być niemiłą niespodzianką.

Na całe szczęście niezdarzy ochroniarz trzymał papierosa między palcami, machając nim lekko w drodze do auta. Po chwili jego ręka poszybowała w górę i tłąca się czerwien papierosowego żaru zatrzymała się na sekundę przy jego twarzy. Żar zamigotał teraz mocniej w rytm porządnego zaciągnięcia. Później był strzał prosto w pysk i widok, którego oszczędziła mi ciemność. Nie chcę wiedzieć, w co dokładnie trafielem, i z góry pożałowałem koleżków, którzy będą musieli uprzątnąć to, co zostało z jego czaszki. Wszedłem z auta i ruszyłem w stronę willi. Dobiegając do rozlanych zwłok na podjeździe, pomyślałem, że to prawda, co mówią o paleniu – to kurewstwo zabija. Chwyciłem za nogi jeszcze ciepłego ochroniarza i zaciągnąłem za fontannę z susiającym kupidynem. Do rana pozostanie zagadką, gdzie wywiało przednią straż, a potem przylecą wrony i wszystko wykraczą.

Stanąłem przy jednej z kolumn, które jako dziecko widziałem jedynie na pocztówkach z Aten. Wysoka, marmurowa i gładka. Grubości pnia, do którego objęcia potrzeba połowy grupy biedronek z lokalnego przedszkola. Fotokomórka zapaliła lampę oświetlającą wejście do przedsionka. Skoro było otwarte, podarowałem sobie wyglupy z wchodzeniem przez okno. Reprezentowałem poważnych ludzi i nie było mi do śmiechu. Uchyliłem drzwi i odetchnąłem z ulgą. Śmiechy i hulanki niesły się po całym holu. Nie mogli słyszeć stłumionego strzału przed domem. Mógłbym zorganizować procesję Bożego Ciała na podjeździe, a i tak nie zdołałbym przebić tego hałasu.

Wszedłem do środka i postawiłem kilka kroków na błyszczącym parkiecie. Wszystko w marmurze i nieskazitelnej bieli ścian i czerwieni dywanów. Schody prowadzące na piętro były szerokie jak paryskie aleje, a balustrady musiał rzeźbić sam Fidiasz. Po lewej i prawej szerokie wejścia zapraszały do salonów. Kelner w białej koszuli właśnie piruetem wyminął pijanego mężczyznę, który podobnymi zawijasami skręcił przy lobby na schody i rozpoczął wspinaczkę na piętro, smarując spoconymi dłońmi o ciemne drewno, takie, jakim wypełniano deski rozdzielcze nowych bentleyów w garażu podobnych pałaców. Stałem w cieniu drzwi wejściowych, czekając, aż pijak skończy się wspiąć i zniknie za balustradą. Na szczycie schodów oparł się o ścianę i skręcił w prawo, próbując iść bez podparcia. Chwilkę to potrwało, zanim zniknął w korytarzu za balustradą. Teraz albo nigdy. Kelner wrócił z pustą tacą, minął mnie i wszedł do części gospodarczej. Wyloniłem się z cienia i kilkoma susami pokonałem schody, korytarz i przystanąłem przy uchylonych drzwiach, zza których dochodziły ciężkie oddechy przez usta mężczyzny pochylonego nad sedesem. Już drugi raz tego dnia miałem okazję pogadać ze zwłokami. Popchnąłem drzwi i wszedłem do środka.

Mężczyzna obejmował porcelanową muszlę, mogłem więc dokładnie mu się przyjrzeć. Miał dopasowany garnitur, który eksponował jego szerokie plecy, koszulę w małe gwiazdki, włożoną w spodnie i spiętą cienkim skórzanym paskiem. Za paskiem dostrzegłem małego policyjnego glocka. Nie wykonał najmniejszego ruchu, gdy odpiąłem guzik i wyciągnąłem jego jedyny argument w nierównej walce. Wymiotował, trzęsąc się z zimna, które musiało go ogarnąć, gdy wydała wszystko, co zapychało mu żołądek. Rzuciło nim po raz kolejny, a ja nie miałem wątpliwości, że żołądek miał od dawna pusty, teraz szło z jelit, najdalszych zakrętów jego trzewi. Oparłem się o jedną z umywalek i czekałem, aż zwróci wszystko jak nietrafony rozmiar na Zalando.

Trwało to dłuższą chwilę, zanim ledwo żywy spłynął z kolan na posadzkę, przytulając się do przyjemnie zimnych kafli. Zanim rozejrzał się po pomieszczeniu, skoczyłem, chwytając go za kark i dźwigając jego głowę z powrotem na wysokość sedesu. Muszla miała wbudowany bidet, przydatny gadżet. Nacisnąłem ikonkę mężczyzny i włączyłem natrysk. Jego twarz była na przemian skrzywiona ze zdziwienia i mokra od mocnego strumienia, który zwykle podmywa inne okolice.

– Cz... e... go...? – Woda lała się w jego otwarte usta.

Sięgnął ręką w miejsce, gdzie trzymał pistolet. Opuściłem deskę, przytrzymując mu głowę do obręczy muszli. Jęknął i zaczął wierzcąc. Trzasnąłem dwa razy deską, która okazała się kamienna. W szale trudno rozpoznać szlachetne materiały. Uspokoił się odrobinę. Luzując uścisk, zauważyłem, że nie domknąłem drzwi, a – jak wiadomo – przemoc to tylko za zamkniętymi drzwiami. Zostawiłem go zawieszzonego na ubikacji i ruszyłem w stronę drzwi. Przeklęta łazienka była wielkości dwupokojowego mieszkania w Warszawie, więc sporo czasu ukradło mi tych kilkanaście kroków tam i z powrotem. Odkręciłem krany umywalki, by pomogły stłumić pogawędkę, którą miałem odbyć z tym półżywym koleżką. Szedłem do niego bez pośpiechu, co okazało się fatalnym potknięciem z mojej strony.

Zerwał się, jak tylko człowiek ratujący swoje życie potrafi się zerwać, i ruszył w stronę okna. Widziałem, że nawet nie spróbuje go otwierać, że nie interesuje go, gdzie wyląduje i czy w ogóle się przebiję. On z kolei wiedział, że nie będę przestrzegał konwencji genewskiej ani żadnych z praw człowieka. Przez tych kilka ułamków sekund widziałem, jak przebija szkło i frunie jak Michael Keaton w *Birdmanie*, tyle że od razu w dół, bez skrzydeł i lotem krótszym niż czas, w którym wypowie się nasze polskie przekleństwo sprawdzające się w każdej sytuacji. Wychyliłem się, by zobaczyć, gdzie ten orzeł wylądował.

Leżał obok matowego mercedesa g klasy, który kształtem przypominał piekarnik. Otworzyłem okno i wyskoczyłem, lądując miękko na dachu. Kolejne dwa kroki na maskę i podjazd z kamyczków. Doskoczyłem do towarzysza Tabalugi i zgodnie z konwencją przystawiłem mu pistolet do skroni, żeby mi kolejny raz nie odleciał.

– Dwa pytania, dwa krótkie pytania i może nie będziesz miał jeszcze okazji pozdrawiać Świętego Piotra ode mnie – przełożyłem pistolet ze skroni pod żuchwę, tak żeby spojrzał mi w oczy i zobaczył w nich jakąś obietnicę. – Kto tu jest gospodarzem?

– Władimir Piot-Piot-Piotrowicz – wyjąkał.

– Kim jest pan Władimir?

– Szef-szef-szefem Brausenberga Security.

Jednak czepek, mieli rację. Miałem szczęście. Chętnie zaniósę mu smutną wiadomość o stracie żołnierza, może dwóch, jak mi ten szeregowy nie odpowie na pytania poza umówionym pakietem.

– Gdzie znajdę szefa? Też w takim stanie?

– Na parterze, na lewo.

Kolejny strzał nie wchodził w grę, już żeśmy nahałasowali wystarczająco, by wzbudzić podejrzenia. Nikt jednak nie zerkał zza firany, nikt nie przybiegał.

– Ilu was tam jest pod bronią?

– Sz-sz-sz-szef, jego zas-zas-zastępca i jeden człowiek z ABW.

– No ładnie, to wasza g klasa? – kiwnąłem w stronę mercedesa.

Z wiadomych przyczyn nie kiwnął głową, ale oczami wskazał w stronę bocznej kieszeni marynarki. Wyjąłem klucze i ogłuszyłem go, mając to, czego chciałem, czyli odrobinę słońca w pracy, tymczasowe uczucie, że jeden przypadkowo zabrany puzeł magicznie pasował tam, gdzie go akurat przyłożyłem.

Lekki powiew wiatru w żagle dodał mi skrzydeł. Wrzuciłem odurzonego koleżkę na tylną kanapę g klasy. Zamki auta trzasnęły, kluczyki wrzuciłem do fontanny. Wyjąłem swój pistolet i szedłem tak z dwoma jak generyczna postać z gry komputerowej. Warto zabezpieczyć się na wypadek, gdyby pano-

wie nie mieli ochoty rozmawiać lub chcieli zablysnąć inicjatywą przed szefem. Ponownie wszedłem do pałacu, kierując się w lewą stronę. Pomyślałem, że albo mam szczęście, albo Bóg kolejny raz sobie ze mnie zażartował.

W korytarzu spotkałem kelnera, który na widok dwóch pistoletów oparł się o stół z rzeźbą i jak kameleon przybrał biały kolor ścian korytarza. Dałem mu znać, żeby zmykał, bo będziemy się tu o większe cuda modlić, co odczytał bezbłędnie i pobiegł, wyrzucając tacę z rąk. Ruszyłem krokiem kota na dywanie. Bez najmniejszego szelestu posuwałem się wzdłuż ściany, zanim objąłem wzrokiem pomieszczenie, z którego dochodził zgiełk karcianej gry. Ktoś pasował i wychodził z gry, kiedy ja postanowiłem wejść i zakłócić bajkę Władimira Piotrowicza. Skoro gwiazdy ułożyły się w równą linię, krzyżując nasze losy w tym konkretnym czasie i miejscu, głupio by było nie porozmawiać, nie zagadać o Brausenberga Security, Pirlettima, nie zapytać, co tu robi dwóch ludzi polskiego kontrwywiadu.

Wszedłem do pomieszczenia nieświadomy czarnych chmur, które zebrały się nad okolicą.

– Żadnych gwałtownych ruchów, rączki na stół – trzymałem te dwie spluły na wysokości barków.

Panowie położyli rączki na stole, jakby właśnie odwiedzili wróżkę. Jednemu karty wyleciały z rąk, ukazując parę króli. Nie pytałem, który to Piotrowicz, bo to jawiło się jako oczywiste. Na stole trzy talerze, z których właśnie zjadali swoje *pranzà*⁴. Dwie *carbonary*⁵ i sałatka *caprese*⁶. Doskonale, bo nawet dobry włoski makaron, choćby spaghetti, to jednak gluten obciążający żołądek, który spowalniał ruchy i stępiał umysł. Z okopów zawsze wyskakuje się z pustym żołądkiem. Nawet polski papa to wiedział, chociaż z żadnych okopów nie wyskakiwał, lecz walczył jak lew z ciemnymi mocami. Kiedy dostał kulkę od tureckiego bojownika, uratowało go kolejne dotknięcie samego Boga, ale w zachodniej prasie lepiej brzmi pusty żołądek jako powód przeżycia. Panowie przy stole byli na froncie, ale ich dobrobyt rozpuścił się jak bezstresowe wychowanie. Ten pałac tak im zamieszał w głowie, że nawet straży nie rozstawili, nie licząc goryla na podjeździe. Niby zawodowcy, niby tajna gra brudnych interesów, a błędy takie, jakby raczkowali w tym świecie. Tylko jeden z nich, stary wyjadacz Władimir Piotrowicz, skubał swoje *caprese*, nabijając na widelec plastry pomidorów przekładane *mozzarella*, polane oliwą z oliwek. Albo wiedział, że idzie front, albo mu makaronu zakazał lekarz rodzinny. Nie wykluczam obydwu poprawnych odpowiedzi.

Przy stole siedziało trzech mężczyzn: jeden o słowiańskiej twarzy oblanej purpurą i dwóch z domieszką urody mongolskiej, również w kolorze *bordeaux*. Ten z polską glacją musiał być z ABW. Ludzi ze służb specjalnych rozpoznaje się na kilometr – mają to w oczach lub wypisane na plecach kurtki, wtedy nie trzeba patrzeć w oczy. Ten tu przedstawiciel tego podłego gatunku był przeciętnie ubrany, w wieku bliżej nieokreślonym, tak od czterdziestu do pięćdziesięciu. Nijaki jak z szablonu, musiał znać się z tymi Rosjanami, robić dla nich, bo siedzieli w atmosferze przyjacielskiej, z poluzowanymi krawatami, przy szklance dobrego alkoholu, jakby wspominali czasy wojska lub pili za zdrowie pierwszych żon.

Z drugiej strony stołu siedzieli Rosjanie. Jeden z nich, starszy, w szlafroku, musiał być u siebie. Wyglądał jak brzydszy brat Hugh Hefnera, ale przynajmniej szlafrok był z jedwabiu ze złotymi nićmi, wskazujący subtelnie status ośmiotysięcznika, który góruje nad społecznymi nizinami. Ten człowiek nie jadł węglowodanów, przetworzonej żywności i nie dotykał wódki od czasu upadku Związku Radzieckiego. Był jednym z baronów nowej Rosji, otwartej na zachodnie kontrakty, przyjmującym zlecenia w euro i lokującym zawartość bezdennych portfeli w nieruchomościach w centrum Londynu. Temu szczęśliwcowi kapnęła nawet chatka na polskiej rubieży, w której przyjmował królowny i grał

w karty z krasnoludkami. Władimir Piotrowicz, jeden z dwóch królów w tej karcie. Gdy przeniosłem wzrok na drugiego Rosjanina w tej konfiguracji, doświadczyłem nieprzyjemnego uczucia, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę, że zawodzi go wzrok, że mózg płata mu figle, wygina się w drugą stronę, tę abstrakcyjną, tworząc obrazy nierzeczywiste. Patrzyłem właśnie na młodszego Władimira Piotrowicza, na odmłodzoną kopię, jakbym w studni dostrzegł przeszłość. Zawiesiłem się na tym widoku, nie potrafiąc określić, na co właściwie patrzę. W końcu to do mnie dotarło, uderzając jak wezwanie pod sąd najwyższy.

Patrzyłem na syna Piotrowicza, panicza Władimira Piotrowicza, imienia mi wtedy nieznanego, który był z ojcem jedno, jakby geny ze strony matki nie istniały, jakby je linia DNA Piotrowicza wyeliminowała nieugiętym bolszewickim rozkazem mordy i wiecznego wymazania. Widziałem córki podobne do matek, widziałem synów krok w krok za ojcem co do gęstości wąsa i nasycenia odcienia bieli na zębach. Myślałem, że coś tam w życiu widziałem i że jak coś widzę po raz pierwszy, to się zyczajnie zachwycę. Tym razem czułem, jakbym doświadczył czegoś nie ze świata przyrody, biologicznie poza królestwem zwierząt. No bo jak odebrać to, że widzę przeszłość i przyszłość jednocześnie, dziejące się w teraźniejszości, na moich oczach, sekunda po sekundzie? Ciężko było się wyrwać z nowo otwartego wymiaru i wrócić do naszych starych, dobrych czterech.

Wracam, Konstacin-Jeziorna, pałac, poker i dębowy stół.

Skoczyłem do Piotrowicza juniora, bo jak się gada z silniejszymi, to potrzebne są lewary. Chudziutki chłopak miał ramiona grubości kija od miotły i nie przekroczył dwudziestki. W jego spojrzeniu wirowały jeszcze wspomnienia osiemnastych urodzin. Hebanowe oczy młodzieńca zawirowały na widok tłumika zbliżającego się do jego czaszki. Tata mógł być gangsterem, ale on do tej pory co najwyżej widział takie cacko na strzelnicy. Teraz jego czoło całowała lufa, która była zimna, nieprzyjemna w dotyku.

– Nie mam dużo czasu w przeciwieństwie do twojego syna, który ma przed sobą całe życie – spojrzalem w oczy Piotrowiczowi, któremu kropla zimnego potu kapnęła na złote inicjały szlafroka. – Powtarzam, całe życie...

– Czego... – przelknął ślinę – chcesz?

– Tego, co każdy, tego, żeby mieć kogoś bliskiego w deszczowe dni i żeby mój papa powiedział, że jest ze mnie dumny – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– ??? – Chyba ta spluwa przy twarzy jego pierworodnego odebrała mu poczucie humoru.

– Biegacie za Pirlittim dla pieniędzy czy ktoś tym zarządza odgórnie?

– Odpowiadam tylko za ochronę Włocha i...

– Teraz odpowiadasz za życie swojego syna.

Młodemu napłynęły łzy do wielkich oczu, wyglądały jak z hartowanego szkła.

– Przysięgam – ciągnął Piotrowicz – chronimy klientów VIP, mamy swoje układy – tu skinął w stronę funkcjonariusza ABW. – Pirletti jest jednym z naszych najważniejszych klientów.

Władimir musiał być albo płotką, albo niespełnionym aktorem, snuł swoją opowieść, jakby miał ją wykutą na pamięć.

– Dbam o to, by mógł prowadzić swoje biznesy, a przy tym czuł się bezpiecznie. To chyba tyle. Poza tym nasi są wszędzie. Pirletti miał być nietykalny i bądź pewien, że takie wybryki nie przejdą płazem – rozejrzał się po salonie, jakby czegoś szukał.

– Stul pysk, panie Abraham! – uniosłem drugi pistolet i wycedziłem, zaciskając zęby tak, że mi skrzypaneły trzonowce. – Zaraz zabijesz młodego Izaaka, to nie próba generalna. Kto ci pozwolił hasać po polskiej ziemi? Nazwisko!

Wycelowałem mu w kłamiwą czaszkę, pytając o źródło. Pirlletiego dopadnę, do Karmela szły już sygnały satelitarne. Dla siebie chciałem wiedzieć, potwierdzenia szukałem, że może to ten skurwiel, na którego tak czyhał Karmel. Może to on był niewidzialny i tak pięknie sterował zza widnokregu warszawskich wieżowców. Tylko że Piotrowicz nie piśnie. Nie chcę zabijać młodego i to chyba Władimir zobaczył, bo jak wiatr w żagle nabrał pewności. Kupował czas i czułem, że już nic mi nie powie. Czeka na ochronę. Jest pewny siebie. Rosjanin mówił z pozycji Alfego i Omego. Początku i końca. Cokolwiek sobie uroił, był o tym przekonany. Jego towarzysze prezentowali inne nastroje. Po ogolonych policzkach spływał im pot, kapiąc na eleganckie marynarki. Ich ręce były splecione w koszyk, a na nich pulsowały żyły. Jeden czekał na wsparcie, drugi modlił się o życie. Przysłuchiwali się tej głupiej wymianie zdań, która zmierzała donikąd. Był sobie Polak i Rosjanin mongolskiego pochodzenia i mieli sprzeczne interesy od ponad tysiąca lat. Szansa na porozumienie była bliska żadnej.

Gdy już wymyśliłem ripostę i miałem ją wygłosić albo przynajmniej zastrzelić skurwysyna, nastąpiła chwila ciszy, którą przerwały pioruny i trzaskające drzewa.

Są takie momenty, sekundy przed uderzeniem lub wybuchem, kiedy człowiek zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje, ale jest już za późno. Wtedy odwrót nie wchodzi w grę. Musisz się zmierzyć z tym, co przyniesie czołowe zderzenie, którego nie da się uniknąć. To właśnie poczułem, gdy kątem oka zobaczyłem odbicie człowieka jednostki specjalnej w oknie. W tym samym momencie rozległy się strzały wpadających do pomieszczenia goryli z Brausenberga Security oraz wjazd jednostki specjalnej. Bite szyby w oknach, lasery i krzyki. Z moim pistolecikiem mogłem sobie pogrzebać w nosie i na jedno by wyszło. Poczułem się jak kibol, który zapomniał noża na ustawkę. Bezbronny wobec lepiej uzbrojonych adwersarzy.

W szale walki ciężko o przemyślane ruchy. Przywarłem do ściany, strzelając do ludzi pracujących dla bezczelnego Rosjanina. On sam wyrzucił stół i zaczął czołgać się do drugiego pomieszczenia. Rzuciłem się w stronę schodów i zdążyłem wpakować mu dwie kulki w jego zarozumiały kark, zanim podziurawili go gliniarze w kominiarkach.

Oddział specjalny opanował salon i powoli poruszał się w głąb domu. Wymiana ognia trwała w najlepszym razie, masakrując żyrandole, ściany i kwarcowe płyty. Doczołgałem się do schodów i chroniony przez potężną balustradę, przebiegłem korytarzem na pierwszym piętrze. Wpadłem na wielki balkon w chwili, gdy piętro niżej wybuchały kolejne granaty hukowe.

Usłyszałem stukanie buciorów antyterrorystów na schodach.

Sprawdzali jedno pomieszczenie po drugim. Na szczęście był to wielki dom. Miałem kilkadziesiąt sekund, najwyżej półtorej minuty. Pode mną wrzała walka. Funkcjonariusze jednostki specjalnej byli już kilka pomieszczeń od balkonu. W najlepszym wypadku zabiją mnie jak psa, w najgorszym – postawią przed polskim sądem. Za kamienną barierką rosły dorodne drzewa. Las był czarny jak moje widoki na przyszłość. Nagle dostrzegłem blade światelko w tunelu.

Jakaś latarka albo telefon. Raczej to drugie. Zawsze znajdzie się skurwiel, który ucieknie nawet jednostce specjalnej. Mógł uciekać, ile sił w nogach. Mógł nawet uwierzyć, że się udało. Cokolwiek. Zatrzasnąłem drzwi balkonu i zawiesiłem się na krawędzi murka. Potem skoczyłem na namiot nad tarasem i po miękkim lądowaniu popędziłem wzdłuż żywopłotu. Minąłem rząd choinek i na dobre zniknąłem

z radaru jednostki specjalnej, która wymieniała ogień i przeczesała pałac. Stawiałem kroki, cudem omijając kolejne iglaki. Zwietrzyłem ofiarę. Wdech, wydech. Byłem coraz bliżej. Gdyby mnie nagrali, puszczałoby to jako film instruktażowy początkującym jaguaram.

W oddali ktoś szarpał się z ogrodzeniem. Za moimi plecami strzelanina rzedła. Zaraz będą przeszukiwać teren, ten las, drzewo po drzewie, dziupla po dziupli. Przetrzepią każdego lisa, przesłuchają każdą wiewiórkę. Obejrzą nagrania spod domków dla ptaków. Biegłem, ile sił w nogach. To życie jak pociąg pospieszny. Bez przystanków.

Dobiegłem do ogrodzenia mierzącego ze dwa, trzy metry. Zwykła siatka. Szarpnąłem mocniej, sprawdzając, czy jest stabilna. Z prawej strony była luźniejsza. Zrobiłem kilka kroków w tę stronę i zaświeciłem latarką z telefonu. Siatka była przerwana, a koło niej leżały nożyce. Myślałem, że tylko ja byłem niespodziewanym gościem. W mojej głowie pojawiły się kolejne znaki zapytania. Po drugiej stronie ogrodzenia przyspieszyłem kroku. Wzrok nieco przyzwyczaił się do półmroku. Księżyc rzucał światło i bez trudu rozpoznawałem kształty.

Kilkanaście metrów przede mną obca postać mknęła między drzewami. Nie celowałem z broni. Krzyknąłem, marnując cenne powietrze w płucach. Niech skurwiel wie, że daleko nie ucieknie, bo choć byłem orłem na krótkie dystanse, maratony też mi niestraszne. On jednak nie dawał za wygraną. Przyspieszył, gdy w oddali zablasyły światła samochodu. Białe ledy przecięły gałęzie wystające nad wąską drogą, wzdłuż której czekało czarne bmw. Poznałem z oddali charakterystyczne tylne światła. Silnik mruknął i odpalił. Pierdolony postęp i odpalenie auta za pomocą przycisku na kluczyku. Tego nawet nie da się nazwać kluczykiem, ot, kawałek plastiku z przyciskami. Nie mogłem już przyspieszyć, chociaż bardzo tego chciałem, choć adrenalina odcinała jakiegokolwiek oznaki zmęczenia. Ale ten przede mną też zwolnił kroku. Za chwil kilka usłyszałem szybki oddech i dźwięk, jaki generuje bieg w lekkiej skórzanej kurtce. Miarowy szelest nabierał mocy. Samochód stał tuż-tuż. Zamaskowana postać była na wyciągnięcie ręki. Wyraźnie zwalniała. Mam go, przemknęło mi przez głowę, gdy poczułem zapach perfum rozlanych na szyi. Na milisekundę straciłem orientację, jakby mój mózg nie mógł połączyć kropek.

Perfumy nie należały do żadnego z byłych komandosów.

Nie był to nawet męski zapach.

Róża z jaśminem wypełniła mi nozdrza.

Dior.

Złapałem Helenę.

Dałbym sobie głowę uciąć, że nie przyszła tam na grzyby. Szarpnąłem jej ramię, otrzymując cios z lewej mańki. Wpadliśmy na odpalony samochód. Próbowalem złapać ją za talię, ale dostałem z łokcia, potem zarobiłem z główki i przeszedłem do defensywy. Obróciła się na pięcie i spojrzała mi w oczy. Nie rozpoznała od razu. W szale walki ludzie nie myślą. Biją. Musiała mnie wziąć za jednego z tamtych i doskonale wiedziała, że tamci nie patrzą na pleć – biją miarowo, systematycznie i nie omijają szerepionek, jak złapia, to już koniec. Celowała zatem w punkt i tylko sekundy dzieliły mnie od utraty przytomności.

– Helena, Helena, Feliks z tej strony! – krzyknąłem zza wysokiej gardy. – Spokój!

Helena odsunęła się na pół kroku i zdjęła kominiarkę z twarzy. Fale czarnych włosów zalały jej twarz. Dmuchała, odsłaniając sobie nieco widok. Z głębi lasu wynurzyły się latarki, a w oddali zamaja-

czyły policyjne koguty. Błyszczące bmw czekało na komendę. Spojrzałem jej w oczy, dając do zrozumienia, że jest szansa pomóc sobie nawzajem. Otworzyłem drzwi auta, a ona powiedziała:

– Wsiadaj, pogadamy w drodze.

11. Zaczynają się schody

Silnik ryknął, jak na niemiecką maszynę przystało. Tryb sport. Helena trzymała kierownicę lewą ręką. Prawą ogarnęła kosmyk włosów, zakładając je za małe ucho. Zerknąłem w jej stronę, przesuwając wzrok w dół wzdłuż jej długiej szyi. Wykonałem krótkie obliczenia w pamięci. Wyszło ze dwadzieścia pocałunków, by pokryć jedną ze stron szyi. Byłbym w stanie taką operację przeprowadzić. Sięgnęła po dwie butelki wody i rzuciła mi jedną. W najgłębszej studni nie ma wystarczająco wody, by ugasić tego typu pożar. Niczego nie trzeba tłumaczyć.

– Udało się grzybobranie? – zagadnąłem, ale tylko cisza mi odpowiedziała.

Spojrzałem przez okno. Zbliżaliśmy się do stolicy wielkimi krokami. Włączyłem radio. Właśnie leciały wiadomości. Pomyślałem, że skoro kierowca nie chce gadać, to przynajmniej zagłuszę ciszę, która śwędziała mnie gdzieś pod skórą. Helena nie rozumiała polskiego, więc trzymała kierownicę bez większych uniesień. Na dźwięk niskiego głosu dziennikarza, który na chłodno podawał gorące wiadomości ze stolicy, moja twarz natomiast nabrała koloru purpury.

Ujęto włoskiego biznesmena podejrzewanego o pranie brudnych pieniędzy. Po brawurowej akcji policji Roberto P., prezes firmy ESP, został aresztowany. Aresztowanych jest także kilku funkcjonariuszy tajnych służb. Jak mówi rzecznik prasowy policji miasta stołecznego Warszawy, to kluczowy krok w walce z korupcją i prowadzonymi na terenie Polski nielegalnymi międzynarodowymi interesami.

– Wszystko w porządku? – zapytała Helena, widząc, jak mi żyły pękają na czole.

– Ciiiiiniiiiiiiiiiiii...

Dziennikarze śledczy dotarli do źródeł, ujawniając kulisy operacji obcych wywiadów na terenie Warszawy. Poszukiwani są bliscy współpracownicy prezesa ESP oraz Włodzimierz K., pełniący funkcję zastępcy szefa polskiej Agencji Wywiadowczej, podejrzewany o współpracę z zatrzymanymi członkami zorganizowanej działalności przestępczej.

– Obawiam się, że możesz pakować manatki. Dobrali się do Pirlettiiego, więc to tylko kwestia czasu.

– Nigdzie nie jadę. Od roku pracuję nad tą sprawą i nie popuszczę, rozumiesz? – Helena nie odrywała wzroku od drogi.

– Co chcesz zrobić? Pirlettiiego nie dopadniesz, jest już poza naszym zasięgiem... Trzeba było go zlikwidować od razu.

Pirletti nie obchodził mnie aż tak jak Włodek Karmel. Kto go wrobił i czemu akurat teraz? Pytania wirowały w mojej głowie, powodując ból żołądka. Zawsze mam pod górkę, do czego zdążyłem się już przyzwycząić. Tylko czemu zatrzymano ludzi z wywiadu, skoro to ABW pilnuje Warszawy. Ktoś wyjął armaty i wystrzelił w Karmela. Właśnie teraz. Nie mogli poczekać albo czekali właśnie na ten moment. Wchodziliśmy w ciemny zakręt tego labiryntu.

– Zabiję go, a ty mi w tym pomożesz, Feliks.

– Ty dziś wyjedziesz z Warszawy, potem z Polski. Zajmę się tym sam – stres mnożył mi głupoty w ustach.

Helena wdepnęła pedał hamulca. Polecieliśmy do przodu, a potem z powrotem na oparcie. Ścisnęło mnie w klatce piersiowej. Wyciągnęła srebrny pistolet, który błyszczał w ambientowym świetle wnętrza samochodu. Gdy próbowałem złapać oddech, poczułem lodowatą lufę na zmęczonej skroni.

– Ciiiiiiiiiii... Wypad z auta, migiem.

Otworzyłem drzwi i wysiadłem. Dostałem szybkiego w dwugłowy mięsień uda i uklęknąłem na jedno kolanko. Kolejny kopniak trafił gdzieś w okolice karku. Przeturlałem się po poboczu, spadając do rowu. Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem Helene, latarnia oświetlała jej zaciśniętą szczękę. Pierwsze słowa wypłynęły w dialekcie. Podobno ojczysty język to język emocji i miłości. Mówią, że nieważne, jak dobrze znasz inne języki, liczysz zawsze w ojczystym. Numery leciały jej pod nosem.

Miałem kilka sekund. Ze śmiercią stawałem twarzą w twarz już kilka razy. W zasadzie byliśmy z tą szkaradą na ty. Opanowałem drżenie w gardle i gdy już miałem się odezwać, kilka strzałów przecięło powietrze obok mojej głowy.

– Od samego początku wchodzisz mi w drogę – przeszła z dialektu na angielski. – Na Krecie myślałam, że po prostu mnie wykorzystasz, chociaż byłam pewna, że dobrze cię wyczułam, że byłeś szczerzy.

– Byłem, Hele...

– Nie przerywaj. Nie sądziłam, że kiedykolwiek cię jeszcze zobaczę, ale to nieistotne. Jest robota do wykonania, a ty ściągasz na siebie kolejne nieszczęścia, więc od teraz albo działamy razem, albo...

– Takie mam metody działania – nie było mi do śmiechu.

– No to podejmij decyzję. Teraz. Nie ma co liczyć na polskie służby, macie tu większy burdel, niż się spodziewałam. Pomożesz mi zlikwidować Pirlettiego albo wygodnie się ułóż...

– To graniczy z cudem, masz jakieś wsparcie, skoro moje wsparcie przestanie istnieć?

– Mały zespół, oddani chłopcy. Decyduj! – wycelowała we mnie i nawet jej ręka nie zadrżała.

Nie blefowała. Chciałem jeszcze trochę pożyć, choć ostatnio hurtem znikwały ku temu powody. Nie mogła wrócić do Grecji z niczym. Oboje wiedzieliśmy, że szanse na likwidację Pirlettiego są bliskie zeru. Nie miałem jednak wyboru. Skinałem głowę, bo nie należę do wygadanych, a może po prostu nie chciałem odpowiadać drżącym głosem. Schowała pistolet i wsiadła na fotel pasażera, czekając, aż się wygrzebię z przydrożnych krzaków.

Usiadłem za kierownicą i docisnąłem pedał gazu w podłogę. Czarna strzała pomknęła jak lampart przecinający afrykańską sawannę. Mieliśmy na plecach policję, spalonych informatorów i armię służb do pokonania. Grecka towarzyszka obrała ambitny cel, a ja poczułem, że już po mnie. W końcu brałem się tylko za przegrane sprawy, owszem, ale ten przypadek wydawał się odarty z nadziei.

Ruszyliśmy w stronę Warszawy, kierując się na południową obwodnicę. Przekroczyliśmy Wisłę i wjechaliśmy w betonowe lasy Gocławia. Kilku początkujących narkomanów spojrzęło wygodniałymi oczami w stronę czarnego bolidu. Nie ta beema, panowie, nie dzisiaj. Przykro mi. Dzięki Bogu ciemność oszczędziła nam większości przykrych widoków. Minęliśmy dziesiątki kilkunastopiętrowych kurników i przywitaliśmy Saską Kępę. Tam swoją kryjówkę miał Karmel, który nie odbierał telefonu od dobrych kilku godzin. Jak usłyszałem z radia, miał ku temu powody. Szanse na złapanie go na terenie stolicy były marne, ale Saska była po drodze. Zatrzymałem auto pod kamienicą, ze dwie przecznice od parku Skaryszewskiego.

– Daj mi chwilę – powiedziałem, nie czekając na odpowiedź.

Karmel był moim starym kolegą i wiele razy mi pomógł. Tym razem sprawy potoczyły się w fatalnym kierunku. Włodek musiał mieć wrogów, a będąc w sieci jego ludzi, nie mogłem czuć się bezpiecznie. Gdy go złapią, to zaczną wrywać paznokcie. Wtedy zwykle zaczyna się sypać, a słowo „Feliks” wymawia się łatwo i szybko. Miałem dość problemów i na moim karku nie było już miejsca na niewyżytych funkcjonariuszy polskiego kontrwywiadu.

Jeszcze do niedawna myślałem, że biorę udział we włoskiej sprawie. Teraz czułem przez skórę, że toczą wojnę, której nie rozwiąże się siłą woli. Potrzebowałem nici Ariadny, dlatego stałem pod drzwiami Karmela o drugiej w nocy. Starłem się nie budzić sąsiadów. Zgiąłem palec wskazujący i stuknąłem kilka razy.

Żadnej reakcji.

Przywarłem do drzwi, nasłuchując. Coś brzęczało. Wiatrak lub klimatyzacja. Nacisnąłem klamkę i delikatnie popchnąłem drzwi. Noc tysiąca i jednej niespodzianki. Drzwi były otwarte. Wszedłem, macając ściany przedpokoju w poszukiwaniu włącznika. Minąłem korytarz z podłogą szachownicą i wszedłem do kuchni, w której olbrzymi okap działał na najwyższych obrotach. Zza wyspy wystawała para nóg. Dwie chudziutki nóżki. Wypastowane lakierki odbijały blask lamp w suficie. Podeszedłem do wyspy i rzuciłem okiem na zwłoki.

Niby zawodowiec, a trafiła kosa na kamień.

Odetchnąłem z ulgą.

To nie było ciało Włodka.

Dotknąłem dłoni nieudolnego zabójcy, była jeszcze letnia. Mógł tak leżeć jeszcze długo, zanim ktokolwiek by poczuł i zadzwonił po policję. Wiatrak wciągałby zapach rozkładającego się ciała. Stałem tak przez chwilę, zbierając stado myśli, z których każda pędziła w inną stronę. Człowiek z pistoletem ani drgnął, jak przystało na trupa. Wsadziłem swoje wątpliwości do kieszeni i wyszedłem z kryjówki starego kolegi.

Gdzie jesteś, Włodek?

– Karmel żyje – powiedziałem, wracając na fotel kierowcy.

– Szeff?

– Więcej nawet, jak stary kolega, któremu udało się nie zeszmacić.

– Masz jakąś bezpieczną metę na Śródmieściu?

– Czemu Śródmieście?

– Pirliettego trzymają na Mokotowie, prawdopodobnie. Zanim dojdziemy, gdzie i kiedy go przeneszą, wolałabym trzymać się bliżej niż dalej.

– Duże ryzyko, koleżanko, ale mam kolegę na Śródmieściu, który zajmuje się kreatywnym pozyskiwaniem mieszkań, zupełnie niezwiązany z naszymi brudnymi interesami.

– To istnieją tacy?

– To specyficzny wyjątek od reguły. Zapnij pasy, ten dźwięk mnie wykończy.

Drażniący sygnał niezapiętych pasów umilkł i byliśmy gotowi do jazdy. Środek nocy zamknął wyszczekany pysk stolicy, zahamował warszawski pseudowycięg szczerurów i oszczędził nam korków. Bogu dzięki, nasza stolica to nie Londyn, którego nikt podczas snu nie widział. Włączyłem brytyjskie BBC News, na wypadek gdyby Helena chciała posłuchać angielskich bystrzaków, którym się wydaje, że

mają pojęcie, co się dzieje na świecie. Jechałem zgodnie z przepisami i gdyby nie aktywny tempomat, mógłbym spokojnie zasnąć na nudniejszych odcinkach. Mało spałem, mało jadłem i poczułem jakby silny ból na wysokości czoła, który trafia celnie i powoduje, że się widzi iskry na czarnym tle. Organizm odmawiał posłuszeństwa. Nie chciał grać dalej. Prosił o kilka godzin pauzy, snu z nieśmiałą dawką fazy REM. W takich chwilach noc wydawała się ostatnia. Labirynt wydawał się nie do przejścia. Wiedziałem, że to tylko moment, chwila słabości, organizm wychodził poza linię wytrzymałości. Położyć się na parę godzin. Jutro spojrzę na to wszystko inaczej. Ze świeżością.

Z ronda Daszyńskiego zjechałem w stronę Łuckiej i dalej w stronę Grzybowskiej. Przecieliśmy aleję Jana Pawła II i stanęliśmy pod szlabanem bloku pamiętającego głęboki PRL. Ciec oparty o blat stołu przysypiał naprzeciwko małego ekranu telewizora. Położyłem mu dwieście złotych w żółtym banknocie i powiedziałem jak rasowy discopolowiec: „Daj mi tę jedną noc”. Spojrzał na mnie, jakby wiedział, że nie warto pytać, na które piętro jadę i pod jakie mieszkanie mnie podpisać. Gdy przyjadą panowie w garniturach, będą pytać, potem nalegać, wskazując paluchami na czarne bmw stojące w najdalszym rogu parkingu. Ciec wtedy zabawi się w Sokratesa i powie: „Nic nie wiem, tyle wiem”.

Blok miał piętnaście pięter i chyba ze dwieście mieszkań, sześć wind i jedno schody awaryjne. Były też mieszkania, których nie ma na planie, strych i przestrzenie gospodarcze. Jeśli zwęszą nasz trop, poszukiwania będą długie. Mozolne. Ta lokalizacja kupowała nam nieco dodatkowego czasu w razie namierzenia. Wjeżdżałem na dwunaste piętro ze spokojem. Helena stała przy mnie w ciasnej windzie. Znów poczułem słabe już perfumy na jej szyi. Wypełniły windę. Wyszliśmy.

W skrzynce z zaworami wody znajdowała się mała skrzyneczka na kod. Nikt nigdy się nią nie interesował, bo większość w tym bloku to mieszkania na wynajem krótkoterwały. Nikt tam nie zagląda, a jeśli ktoś zagląda, to nazywa się Jarek konserwator, i dostał flaszkę, by tam nie zaglądał, gdyby jednak zajrzał, to niech zignoruje. Proste.

Otworzyłem drzwi i nie bawiłem się w kurtuazyjne: „Czego się napijesz” lub „Może zamówimy coś z greckiej knajpy na rogu”. Wbiłem się w skórzaną kanapę przy balkonowym oknie, zapominając o bożym świecie. Nie spotykałem Boga już dawno w tym moim świecie, choć pamiętam, jak mówili, że błogosławi, niezależnie od ścieżek, jakimi błądzimy.

12. Berlińczycy w krainie Polin

Obudził mnie stukot obcasów na korytarzu. Miarowe uderzenia przechadzającego się esesmana. *Kolejny głupi sen czy cofnąłem się w czasie?*, pomyślałem. Stuki doszły do moich drzwi, ale minęły mieszkanie. Oddaliły się i usłyszałem dźwięk zatrzymującej się windy. Uchyliłem drzwi, zerkając na sylwetkę przy windzie. Długie nogi i włosy sięgające do pasa. Miss tego bloku, tego byłem pewien.

– Spokojnie, na razie czysto na parkingu i klatce – powiedziała Helena, wychylając się z kuchni. – Kawy?

– Która godzina?

– Najwyższa, by pojechać do prawnika Pirletiego.

– Dzwoniłaś stąd do niego?

– Zeszłam do parku przy Hali Mirowskiej.

– O której godzinie? – zerwałem się na równe nogi i wyjrzałem przez okno. – Z jakiego telefonu?

– Jakiegoś mężczyzny z parku. Ale nie odbierał. Później odebrała jakaś kobieta, raczej nie małżonka.

– Gdzie znajdziemy tego papugę? – zapytałem.

Nie usłyszałem odpowiedzi. Może to prawda, że facet nie skupił się na dwóch rzeczach jednocześnie. Wyjrzałem przez okno nad łóżkiem i stwierdziłem, że w porę się przebudziłem. Moją uwagę skradło dwóch nieboraków stojących przy czarnym bmw Heleny. Łysa potylicą jednego z nich odbijała blask poranka. Gdzieś dzwonił, z kimś gadał. Zmierzył wzrokiem blok, jakby miał go wyburzać. Jego kolega ruszył w kierunku drugiego wejścia do bloku.

– Bez mleka, jedna łyżeczka miodu, płaska, dziękuję.

– Miodu? – zdziwiła się Helena. – Na miejscu czy na wynos?

Przeniosłem wzrok na Helenę i dałem jej do zrozumienia, że wypijemy w drodze. Pod blok podjechały dwa nieoznakowane auta. Wysiadło kilku świeżych gliniarzy w cywilu i wparowali do bloku z determinacją bandy plemników. WC i szczoteczka do zębów. Trochę głupio, bo wziąłem kawę na wynos i po paście do zębów smakowała jak kawowy ludwik. Helena nabiła magazynki i podała mi jednego gnata. Metal przywarł mi do uda, jakby ewolucyjnie tam pasował. Zapowiadał się kolejny dzień pełen przygód. Czas na nas. Grzybowska dała schronienie na noc, ale wspólnego poranka mi nie obiecywała.

Wyszliśmy z mieszkania, zostawiając nienaganny porządek. Nigdzie nie było dla nas miejsca, jakbyśmy byli Świętą Rodziną. O mały włos nie zażądałem testu ciężowego od Heleny. Żadnej bezpiecznej gospody, gdy wokół ludzie Heroda. Zawołałem windę i przycisnąłem drugie piętro. Z drugiego zeszliśmy schodami – na paluszkach jak przedszkolaki na wieść o niedźwiedziu. Jeden z łysych stał na parterze przy schodach. Jak przystało na dżentelmena, puściłem damę przodem. Helena zeszła na parter, po drodze biorąc wózek stojący między piętrami. Łysy na chwilę stracił czujność. Gdy przyjrzał się Helenie, było już dla niego za późno. Z pistoletem przy nerkach negocjujący ma pod górkę. Otworzyłem drzwi do rowerowni przy wyjściu ze schodów. Zaparkowaliśmy tam funkcjonariusza ABW, zamykając drzwi na kłódkę. Gerda trochę go przytrzyma. Niewiele, ale zawsze coś.

Mknęliśmy przez parking slalomem między grubymi pniami drzew, zielonym listowiem, mijając kolejne samochody. Łysy w rowerowni zdążył już coś napaplać na słuchawce. Dwóch panów w garniturach zobaczyło nas między drzewami przed Halą Mirowską. Złapałem wzrok jednego z nich, przez ułamek sekundy wiedząc, że straciłem ostatnie resztki anonimowości. Facetowi rozsypią kilka zdjęć byłych agentów wywiadu. Wybierze profil, gdy zobaczy moją twarz. Porównają to z innymi przypadkowymi świadkami i powiedzą: „Felix Nero. Czego on tu, do cholery, szuka?”. Wiedzą lub wkrótce się dowiedzą, że to nie podróż sentymalna. Atletyczne goryle ruszyły w pogoń, oderwały przednie łapy od ziemi, ruszyły za nami na dwóch tylnych. Do tej pory dreptaliśmy jak na szaberku, teraz rzuciliśmy się do ucieczki. Jeśli zginąć, to w tłumie. Pobiegliśmy w stronę zaludnionych niczym marokańskie alejki pawilonów pod Halą Mirowską. Przy samej furcie jakaś emerytka karmiła ptasią żulerię. Gołębie, najgorszy sort ptactwa lądowego, jaki miałem nieprzyjemność oglądać. Stado wzbilo się w powietrze, trzepocząc skrzydłami. Nienawidzę tego dźwięku. Wypuściłem kawę z ręki, klnąc pod nosem. Jeden z gołębi uderzył w Helenę – próbowała się zasłonić, nie zwalniając przed furtką. Gdy udało nam się wyrwać z tego horroru Hitchcocka, panowie za plecami nadrobili sporą część dzielącego nas dystansu.

Wbiegliśmy pomiędzy stragany, wywołując zamieszanie wśród tłumu. Dopóki byliśmy między ludźmi, nie będą strzelać. To nie amatorzy. Panika tylko by nam pomogła, więc przeciskaliśmy się dalej, i my, i oni. Skręciliśmy w wąską alejkę z ubraniami. Usłyszałem głos Heleny biegnącej przede mną.

– Rozdzielmy się!

– Okej, będę czekać w kościele po drugiej stronie alei!

Jeszcze chwilę biegliśmy ramię w ramię. Skręciłem z powrotem na warzywne stragany, kierując się do wejścia na Halę Mirowską. Wziąłem zakręt, obejrzałem się, nie bieglu za mną. Wyhamowałem przed automatycznymi drzwiami, działały z opóźnieniem. Kątem oka zobaczyłem Helenę – frunęła między stoiskiem z gaciami a niziutką babinką trzymającą czosnek na sznurku. Grecka bogini przeskoczyła seniorce jak niskiego kozła na wueffie. Dwóch goryli biegnących za nią staranowało właśnie stoisko z chińskimi artykułami zerowego użytku. Wściekli azjatyccy handlarze podnieśli krzyk i zatańczyli nad resztkami swojego straganu. Scenki rodzajowe jak u Pasoliniego. Bawiło mnie to, ale teraz miałem co innego na głowie.

Minąłem kilku lepków czających się na cudze portfele i popędziłem do wejścia, którym musiała wybiec Helena. Może uda mi się podłożyć nogę agentom jak na kreskówkach. Helena wypadła z wyjścia gdzieś w połowie korytarza wzdłuż Mirowskiej, przecięła parking i wbiegła do budynku Hali Mirowskiej. Soboty w Lidlach to postapokaliptyczna pustka w porównaniu do sobót na Mirowskiej. Nie wiem, co rzucili w tym tygodniu, ale tłum był taki, że jak się panienka źle w tym tłoku obróci, to i w ciężą zajdzie. Za Heleną sunęli gliniarze, wprost pod moje nogi. Jak mi podają pod nóżkę, to strzelam.

Zauważyli mnie. Dwie setne sekundy za późno. Wyciągnąłem rękę, trafiając w jabłko Adama jednego z nich. Ludzie obrócili się, słysząc krztuszenie biedaka. Drugi sięgał po spluwę, gdy zarobił ogłuszającego plaskacza. Teraz zwrócili się na nas oczy całego parkingu. Wyjąłem spluwę stojącemu glinie i odrzuciłem w dal, trafiając w zapakowanego po sufit golfa. Ktoś krzyknął. Jasne, kiedy biją, to znieczulica, ale jak trafią golfa, to ból i wrzask. Wyprowadziłem kolejny cios. Byłem ostrożny, obchodziłem się z nim delikatnie jak z dzieckiem. Nie żebym kiedykolwiek bił dziecko, po prostu nie miałem nic do policji lub kimkolwiek byli. Robili swoje i chwała im za to. Ale zanim ta farsa się skończy, mogą mnie jeszcze złapać. To się zdarza, a ja nie chcę widzieć rachunków od dentystów czy neurologów. Drugi ogłuszacz był już mocniejszy. Oniemiała kobieta puściła siatki i podbiegła do pierwszego leżącego. Dzięki Bogu był na targu lekarz. Otworzyłem drzwi i wbiegłem na halę, zostawiając zmieszanych warszawiaków.

Minąłem pocztę, spożywcza i popędziłem korytarzem w stronę wejścia. Żadnych śladów Heleny. Tylko ten tłum, który patrzył, jakby chciał wskazać kierunek. Jakaś baba właśnie liczyła pomięte banknoty.

– Brunetka, taka, że dech zapiera. Gdzie pobiegła?

– Ja to nie widziała, panie, ale raczej na lewo. – Uśmiechnąłem się pod nosem i ruszyłem w lewo.

Gliny powoli docierały na miejsce i nadszedł najwyższy czas na zmianę lokalizacji. Porwałem czapkę i beżową dyplomatkę z manekina sklepu odzieżowego, rzucając babce kilka banknotów na podłogę. Wtopiłem się w tłum, próbując się przycisnąć przez wejście przy aptecce. Koguty radiowozów migwały w oddali. Zaraz będą biegać jak znerwicowani dookoła budynku. Nie ma sokołów zdolnych przesiać taką masę ludzi w kilka sekund. Kiedy mijala mnie dwójka przypadkowych gliniarzy, odwróci-

łem się plecami, udając, że kupuję maliny od starszej babulki. Rzuciłem jej stówę, na widok której niemal zemdląła. Pokazała bez słów, że nie ma wydać.

– Reszty nie trzeba, droga pani.

To były najlepsze maliny, jakie jadłem. Pomaszzerowałem przez pasy. Wyglądałem jak Inspektor Gadżet. Nie odwracałem się. Małą kobialkę wyrzuciłem do kosza przy Atrium. Wszedłem do budynku i zagadałem recepcjonistkę. Podała mi telefon, wykręciłem numer i rzuciłem kilka krótkich, acz ważnych informacji. Odłożyłem słuchawkę i podziękowałem.

Wszedłem, minąłem kawiarenkę, później za strażą pożarną dotarłem do małego kościółka św. Andrzeja przy Chłodnej. Zobaczyłem posąg świętego bez głowy na tle bloków przy Krochmalnej. Pokonałem kilka schodków i wszedłem do świątyni.

Przyjemny chłód zaprosił głębiej. W pierwszej ławce klęczała damska sylwetka w chustce. Skąd Helena wytrzasnęła tę chustkę, nie pytałem. Usiadłem obok niej.

– Czas się rozdzielić – powiedziałem. – Pojedziesz do prawnika Pirlettiego, tak? – bardziej stwierdziłem, niż zapytałem.

– W ESP na pewno zapanował chaos, policja obstawiła teren.

– Skąd wiesz, że uda ci się do niego dotrzeć?

– Coś wymyślę. – Helena nie spuszczała oczu z ołtarza, jakby tam szukała podpowiedzi. – Trzymaj, zadzwonię na to, kiedy będę coś wiedzieć.

Podała mi przedpotopowy telefon, jakiego zwykle używają dilerzy. Wyciągnęła świeżą kartę SIM.

– Jeśli nie odezwę się do rana... – szepnęła.

– Zwijają żagle już teraz – przerwałem. – Dobrze by było, żebyś wróciła cała i zdrowa. Takie zuch dziewczyny to wymierający gatunek – zebrało mi się na spontaniczną czułość.

– Jeśli do rana nie zadzwonię...

– Połowa warszawskich gliniarzy ma na tapecie twoje śródziemnomorskie rysy. Za duże ryzyko.

– Posłuchaj, to... – nie dokończyła zdania.

Przyłożyłem palec do ust, zerkając na księdza kręcącego się w konfesjonale. Uciszyłem ją jak przed-szkolaka, kiedy usłyszałem trzask zamka od potężnych wrót kościoła.

– Nie obracaj się, Helena. Przy drzwiach czeka Fabrizio. Pojadę z nim, a potem się zadzwonimy.

– Czego chcą?

– Dorwać zastępcę Pirlettiego, by zaproponować mu układ. Pirletti miał ponad trzydzieści baniek włoskiej mafii w swoim funduszu. Pofatygowali się z Berlina.

– W samą porę. – W końcu zobaczyłem uśmiech na twarzy Heleny.

– Pojadę z nimi, mam jego adres.

– Silvestro Peccani? Wiceprezes ESP Corporation? – dopytała Helena.

– We własnej doszczętnie zepsutej osobie – uśmiechnąłem się pod nosem.

Ksiądz poprawił stulę i zgasił lampkę. Odłożył brewiarz i siedział teraz z zamkniętymi oczami jak w otwartej trumnie. Po dłuższej chwili opuścił konfesjonał i usiadł w ławce z tyłu kościoła. Zniżyłem głos.

– Znajdę pana Silvestra dla Włochów. Wpakujemy go do bagażnika jadącego na Berlin i będę miał ich z głowy.

Włochów, jak plam po czereśniach, ciężko się pozbyć. Doszło jednak do skrzyżowania interesów i pomoc udzielona Berlinowi to inwestycja w przyszłość, w czasach, gdy trzymanie z innymi jest podobne do kredytów we frankach. Zostawiłem Helenę w pierwszej ławce, żeby spokojnie dokończyła paciorek.

Wychodząc, spojrzałem na ołtarz, za którym wielki obraz ukazywał Świętego Andrzeja rozpostartego na krzyżu w kształcie litery X. Przerazenie w jego oczach mroziło resztki krwi w moich żyłach. Pierwszy powołany apostoł wisiał teraz na niewiadomej. Za co, Andrzej? Powiedz. Za ten labirynt, w którym ścielimy trupy jak dzieci do snu? Owszem, dzieciaki bywają niesforne, nie chcą spać, ale takich przerażonych oczu nie robią nawet klienci, którym do skroni przystawiamy gotowe do wystrzału lufy pukawek. Kto dał nam do tego prawo? Śnią mi się te twarze, martwe oczy w oczodołach. Na filmach to wygląda tak rozrywkowo, zabijasz i lecisz dalej. Panie James Bond, pan ma emocje? Pan czujesz coś? Ja czułem, jak na mnie te rzeźby patrzą, oceniają, milczą zdjęte zażenowaniem, bólem, wyższością. Święty Andrzej zerka teraz na mnie z krzyża, a jego wykrzywiona twarz wydaje się obietnicą rozliczenia na końcu drogi. Tutaj czułem się częścią jakiejś całości. Słyszałem ciszę w harmonii krzyków i jęków. Odnosiłem wrażenie, że ktoś patrzy, ktoś widzi. W tym pieprzonym kościółku czułem, że nie byłem z tym wszystkich sam.

Może podobny jestem do św. Andrzeja? – pomyślałem. – Obaj łowimy ludzi, on dla Jezusa, ja dla Rober-
tiniego. On łowi dla życia, ja raczej dla śmierci, ale w imię życia.

W takich chwilach musiałem sobie powiedzieć cokolwiek, jakoś to wszystko zracjonalizować, inaczej te twarze i oczy zjadłyby mnie żywcem. I może stąd ten dziki bieg, który wykluczał przystanki, refleksje, wyłączał myślenie? Chciałem być Jamesem Bondem, nic nie czuć, nie kochać, strzelać, niosąc rozrywkę gawiedzi, która klaszcze, bo tego potrzebuje. Dziś znowu zabiję, ucieknę, jednak nikt mi nie będzie klaskać, nie przeniosą tego na ekran, nie napiszą sensacyjnej powieści.

Oderwałem wzrok od Andrzeja i jego kamiennych kumpeli, odwróciłem się plecami do ołtarza. Spojrzałem na Fabrizia, którego dłonie paliły się do rękoczynów. „Szczęść Boże”, rzuciłem do ostatnich rzędów, lecz kapłan nie otworzył nawet oczu. Podeszedłem do niego na odległość prawego sierpowego i spytałem:

– A jeśli On nie istnieje?

Spojrzał na mnie ze spokojem. Wynurzył się z modlitwy jak z oceanicznej głębin i nie spieszył się z otwieraniem ust. Odpowiedział, kradnąc lakoniczność spartańskiemu dowódcy:

– Jeśli, synu, jeśli...

– Mogę?

– Oczywiście.

Skinąłem w stronę Fabrizia, dając mu znać, że zajmie mi to chwilę. Chłop jak dąb. Wyglądał, jakby co roku stawał w konkursie piękności. Musiał mieć więcej kosmetyków niż moje byłe razem wzięte. Obrócił się na pięcie i wyszedł z kościoła, chyba nie chciał się mieszać. Usiadłem obok księdza, wbijając wzrok przed siebie.

– Spowiedź? – zapytał.

– Ojczulek mógłby tego nie unieść – pokazałem zęby, bo przyznam, że trochę mnie rozśmieszył.

– Zaryzykuję.

– Nie pamiętam wszystkich formułek...

– Nie mają najmniejszego znaczenia, tak jak te mury, obrazy i koloratka na mojej szyi. Z czym przychodzisz?

– Nie wytrzymuję w obecnej robocie. Pracuję, powiedzmy, w korporacji. Mam, powiedzmy, stanowisko operacyjne. Często zwalniam ludzi, prowadzę negocjacje i rozmowy.

– Korporacja to rodzaj choroby psychicznej, więc wcale mnie nie dziwi, że nie dajesz rady. Idź na swoje, czym prędzej na swoje – ksiądz rzucił poradą biznesową.

– Problem polega na tym, proszę księdza, że na wyjście z mojej branży szanse są niemal zerowe.

– Człowiek boi się sprawdzić, jakie trudy mógłby znieść. Chodzi o pieniądze, masz rodzinę na utrzymaniu?

– Pieniądze od dawna nie grają roli. Nie mam rodziny. Nie wiem, czy szukać szalupy, czy tonąć razem z Titanikiem.

– Wierzyłeś w niezatapialność Titanica?

– Nie, ale lubię mojego pracodawcę. Wiem, że odchodzimy, chcemy wyjść z branży, ale to... Sam nie wiem, czy to w ogóle możliwe...

– Czy masz jakieś konkretne przewinienia?

Chwilę wahałem się, czy nie być szczerym. Ten jeden raz być szczerym z drugim człowiekiem. Widzimy się przecież pierwszy i ostatni raz.

– Nic konkretnego poza stałym zwątpieniem w istnienie Tego tam na górze.

– To nie grzech, to naturalny odruch poszukującego.

Fabrizio wrócił do środka i zrobił dwa kroki w stronę ołtarza. Wyglądał na zniecierpliwionego.

– Muszę już iść, księżo. Tak sobie tu paplamy, a robota czeka – wstałem i wyszedłem z ławki.

– Synu – powiedział na odchodne – nawet mali ludzie mogą zachować wysokie standardy. Przemysław to. – Skinąłem w stronę księdza, który otworzył brewiarz i wrócił do swoich modlitw.

Wyszedłem z kościoła, zostawiając go z Heleną trwającą w ciszy. Fabrizio z kolegą siedzieli w nowym SUV-ie od Alfa Romeo, jak przystało na Włochów. Opuścili szyby, bym widział ich neapolitańskie twarze. Nie rozglądając się na boki, wsiałem na tylne siedzenie.

– *Un momento², caro²*. – Fabrizio przerwał rozmowę i wrzucił na głośnomówiący.

Z głośnika alfy popłynął głos kolejnego włoskiego Romea, tym razem podkurwionego przełożonego z Berlina. Słyszałem, jak sapie do telefonu, jak pluje jadem. Nie zdziwiłbym się, gdyby jego złoty samson topił mu się w ręce.

– Co tam się odpierdala, Feliks?

– Zgarnęli Pirletiego, bez konsultacji z polskim kontrwywiadem i tym bardziej z nami. Macki mamy długie, ale całej policji nie kontrolujemy.

– Co ty, do chuja, chcesz przez to powiedzieć?

– Myślę, że dostali zielone światło od Interpolu. Nie znam zarzutów, więc nie wiem, czy to pranie forsy, czy działanie terrorystyczne. Na tym polega problem. Nikt na czas nie ostrzegł informatorów, co jest zabawne, gdy się nad tym zastanowić. Zaskoczenie jak wygrana Grecji na Euro w dwa tysiące czwartym. Pamiętasz, Emiliano? Wstyd, że hej!

Fabrizio zrobił groźną minę kundla, któremu obrażają pana. Wyhamowałem, żeby nie chapnął za rękaw.

– Robertini wie? – dalej sapał Emiliano.

- Jestem na robocie, żadnych kontaktów z górą, dopóki nie będę w bezpiecznym miejscu. Wczoraj żeś się urodził? – jakoś mi się jego ton udzielił.
- Słowo, kurwa, jeszcze słowo... Będą go deportować? Tracę cierpliwość...
- Czy ja jestem pierdoloną Cyganką? Poza sukcesem niczego nie umiem tak na szybko wywróżyć – powróciłem do żartów.
- Ciesz się, że nie robisz na terenie Niemiec...
- Co to, kurwa, było? Groźba? Gdybym robił na terenie Niemiec czy Beneluksu, to byśmy w porę wiedzieli, co się święci. Banda włoskich bałwanów. Jedno skrzydło Pirlettiego macie w Berlinie i chujna wiecie, co się pod waszym nosem dzieje.
- Z drugiej strony odpowiedziała cisza. Z niektórymi trzeba wymieniać agresje, jak się wymienia ciosy. Wtedy zaczynają cię szanować, stawiać na równi. Nigdy równym nie będzie ten, który nie pokaże silnego ramienia, ostrego języka i faka wyżej postawionym.
- Twoimi zdaniem za co go zgarnęli? – zadziwiająco spokojnym głosem zapytał Emiliano.
- Jeśli zgarnęli go za pranie, to się wywinie. Jeśli za terroryzm, będziemy wiedzieć od ludzi z ABW. Wtedy, Panie, miej w opiece Berlin, będzie gorzej niż w czterdziestym piątym.
- Silvestro ma cały i zdrowy dotrzeć do Berlina – rozkazał Emiliano.
- Alfa Fabrizia ma wygodny bagażnik, kupić mu poduszkę?
- Poza tym kto się tak uparł na Pirlettiego? – dopytywał Emiliano.
- Powtórzę, więcej wyciągniesz od byle Cyganki na ten temat. Pirletti powinien być ostrożniejszy, tyle na teraz wiem. Zapakujemy ci Silvestra. Coś jeszcze?
- Dostałem jasny rozkaz z góry, żeby Pirletti nie dostał się w żadne niepowołane ręce. Ma trafić do nas, ekstradycja do Włoch albo kulka, kasę dogonimy potem.
- Z tego, co wiem, nie miał ostatnio ścisłej kontroli. Nie wiemy, z kim się kontaktował i kto mu groził.
- Zajmij się też tą dziewczyną, Feliks, widziałeś ją może?
- Zrobiłem minę zaskoczonego przygłupa, ukrywając lekką konsternację. Dzięki Bogu berliński przełożony nie widział mojej miny, a Fabriziem się nie przejmowałem.
- Helena, ta Greczynka. Poszedł rozkaz likwidacji. Co z nią?
- Szuka jej pół warszawskiej policji. Tak jak obiecałem, ja się tym zajmę. – Nie traciłem pewności w głosie.
- To czemu jeszcze żyje? Żadnych obcych w tej sprawie. Skąd mamy mieć pewność, dla kogo pracuje? – słusznie zauważył Emiliano.
- Coś jeszcze? – zapytałem.
- To by było na tyle, Feliks. Jak się zrobi duszno, to się ewakuuj. Jeśli nie przechwycimy Pirlettiego, będzie sporo roboty tu, w Berlinie. Nie daj się zabić na tym etapie.
- Zapomniałem notatniczka, na pewno bym to zapisał. Fabrizio, masz coś do pisania? – spojrział na kundelka. – Taki ogrom złotych myśli, jakbym się z Seneką za rączkę przechadzał po Akropolu.
- *Un momento*, Seneka był rzymskim filozofem, coś pojechałeś.
- Sprawdzam twoją czujność – zaśmiałem się.
- Zajmij się swoją, na razie zawodzi...
- To wszystko? – spojrział na zegarek między kratkami wentylacyjnymi. – Czas na nas.

– *Tutto*². Powodzenia.

Fabrizio nacisnął czerwoną słuchawkę, uwalniając nas od pierdolenia swojego szefa. Nie znośmłem przełożonych, rozkazów i tego tonu, który daje do zrozumienia, kto tak naprawdę rządzi. Włosi wrzucili adresy w nawigację i ruszyliśmy wzdłuż Chłodnej.

Na mieście zaczynało się robić naprawdę duszno. W takich sytuacjach obracałem się niczym Artoo-Detoo, stawiając każdy krok. Ściany mają uszy, budynki czują, a krawężniki kąsają jak węże. Miasto zamieniło się w dżunglę z milionem niebezpieczeństw czających się po drodze. Traciłem grunt i to, co najważniejsze w tej pracy, anonimowość. Dawałem sobie kilka dni, zanim policja i ABW wystawią straż na każdym rogu warszawskich ulic. Zdecydowanie nie chciałem zostać zatrzymany i rozmawiać z polskimi służbistami, bo nigdy nie wiadomo, który jest przekupiony. Bardzo ciężko się dogadać, paplając szyfrem przy kamerach. W ogóle ciężko gada się z policją – procedury, przepisy, wpływy... Po co, pytam, po co?

Pirlettiego jednak dorwać trzeba, a to wymagało kontaktu z policją. Musimy zatem wyprzedzić ich ruch, wyjść z inicjatywą. Sięgnąłem po kartkę z numerami, które spisałem po przyjeździe do stolicy. Poprosiłem drugiego goryla o komórkę. Nie podał telefonu, czego mogłem się spodziewać. Stanęliśmy w sklepie i kupiłem kartę SIM. Kiedy ruszyliśmy, wykręciłem numer.

– Panowie, ściszcie radio.

Fabrizio z kolegą ruszyli z konkursem na króla ciszy. Słuchali, udając, że znają język polski.

– Słucham? – odezwał się głos młodego gliny po drugiej stronie.

– Dzień dobry, Waclaw Rakowski z tej strony, z Alior Banku dzwonię. Mamy doskonale warunki na pożyczkę konsumencką do pięćdziesięciu tysięcy złotych. Czy byłby pan zainteresowany?

Cisza. Cztery sekundy pauzy. Usłyszałem trzaśnięcie drzwiami. Przerwał ciszę ściszym głosem.

– Oczywiście, chętnie podjadę dziś do oddziału. Jest możliwość rozmowy także z kimś z działu hipotecznego?

– Ależ oczywiście. Zapraszam dziś po godzinie osiemnastej.

Czerwona słuchawka. Klik. Zdjąłem tylną obudowę. Wyjąłem kartę SIM i złamałem ją na pół. Kawałeczki plastiku pofrunęły za oknem. Zawiesiłem wzrok w pustej przestrzeni, procesując tysiąc i jedną myśl.

To był jeden z moich solidnych policyjnych informatorów, przynajmniej w teorii. Nie znałem człowieka, ale należał do zaufanych żołnierzy Włodka. Karmelowi ufałem, więc i chłopaka nie musiałem sprawdzać ani lustrować. W tej robocie trzeba chwycić się nielicznych pewniaków, żeby nie zwariować. Teraz potrzebowałem jednej pary oczu w policji, która mogłaby mi pomóc zrozumieć, co się stało. Dlaczego Pirletti nagle został zatrzymany i o co chodzi z tym zamieszczeniem z ABW. Niby było mi to na rękę, ale po omacku ciężko omija się rekiny. Wtyczka w policji miała na imię Antoni i prawie jak Banderas działał zamaskowany na tym dzikim polskim poletku.

Lepiej, żeby młody nie grał bohatera i nie przychodził z kolegami. Na tym etapie nie byłem pewien, kto jest po czyjej stronie. Dzięki Bogu dowiedziałem się, że Antoni był ambitny i słabo opłacany. I miał piękną narzeczoną, a przecież to nie lada wydatek.

Minęliśmy teatr Syrena, a w mojej głowie wyświetliły się miłosne sceny. Kupić jej kwiaty pod Mirowską, bo tam mają najlepsze. Zabrać na kolację, gdzie włoscy szamani czynią z makaronem cuda. Dać im taki napiwek, by poczuli, że ich trud miał sens. Potem pojechać z nią do takiej Syreny na spe-

takl czy musical. Po wszystkim wsiąść w lepszą taksówkę, w której kierowca nie śmierdzi i nie próbuje przykryć swojego zapachu kretyńskimi choinkami dyndającymi pod lusterkiem. Puścić Whitney Houston lub Simply Red, bo ona lubi wolniejsze kawałki Simply Red. Otworzyć jej ulubione gruzińskie wino, nie za słodkie i nie za wytrawne. Białe. Takie w sam raz. Zanurzyć się w perfumach Diora i wsłuchać w jej potrzeby jak w partytury Mozarta. Soundtrack do nocy, którą zapamięta na długo. To wszystko jednak wymaga wkładu finansowego. Za garść informacji chętnie pomogę.

Z marzeń wyrwało mnie szarpnięcie hamulca.

Koniec tego dobrego. Wróciłem do skórzanych foteli włoskiego auta i przyjrzałem się kamienicy, pod którą stanęliśmy. Zanim pozwoliłem sobie na jakikolwiek ruch, rozejrzałem się po okolicy. Zaparkowaliśmy między ogródkiem przerobionym na lodziarnię, przy której stało w kolejce kilka maluchów z rodzicami, a czarnym volvo – do złudzenia przypominającym karawan agentów śledzących mnie po przyjeździe do stolicy. Mieszkanie Silvestra musiało być obstawione jak ściana placzu. Tylko pod jaką studzienką czaiło się zło, trudno było zgadnąć. Szturchnąłem Fabrizia i poprosiłem, by wykręcił numer do Silvestra. Siedzieliśmy w milczeniu, słuchając miarowych sygnałów nieodbieranego telefonu. Kiedy Fabrizio miał się już rozłączyć, usłyszeliśmy trzask i ten charakterystyczny dźwięk sygnału urywanego w pół.

Silvestro się zreflektował i odebrał. Mówił głosem pobitego chłopca. Cieniutka nitka wysokiego głosu cedziła kolejne wyrazy. Chyba płakał, siorbał łyż i smarkał nosem, jakby oberwał i stał za kąę w kącie. Fabrizio zaczął w dialekcie neapolitańskim i z tego, co zrozumiałem, dostaliśmy zielone światło. Zatrzymałem kundelków Emiliana, gdy szarpnęli za klamki.

– Sam się tym zajmę, panowie – zaproponowałem.

– Masz pięć minut, *amico*¹⁹.

– Wystarczy trzy.

Wysiadłem i zamówiłem lody o smaku pistacjowym. Miały kawałki orzechów i nie były za słodkie. Wprost idealne. Dzwonić nie musiałem, bo bramę otworzyła kobieta niosąca maltańczyka na rękach. Już miałem kichać z powodu tego nieprzyzwoicie zadbanego długowłosego szczura, ale podobno ten nie ma podszerstka i jest odpowiedni dla alergików. Uśmiechnąłem się do właścicielki tak, by po wejściu do mieszkania nie pamiętała mojej twarzy, i pomaszerowałem na trzecie piętro.

To była wysoka kamienica, jedna z ostańców po powstaniu lub odbudowana zaraz po masakrze. Jej drewniana poręcz zdobiona płaskorzeźbami skrzypiała, gdy podparłem się nieco mocniej. Dotarłem do białych drzwi i zamiast na dzwonek nacisnąłem klamkę.

Mieszkanie utrzymane w stylu epoki mogło służyć za plan *Pianisty* Polańskiego. Silvestro lubił stary wystrój, lubił polski przedwojenny styl. Różni ludzie mają różne upodobania. Nie wnikałem. Minąłem przedpokój i wszedłem do wielkiej izby z otwartym oknem balkonowym. Monitor na ścianie i dotykowa klawiatura zdradzały, że te mebelki i tapety to makieta. Mieszkanie było naszpikowane elektroniką. Usłyszałem, jak kamera w rogu jeździ za mną, wydając elektroniczny dźwięk przy obnizaniu. Silvestro miał mnie na oku.

Wszedł z sypialni w kremowym garniturze i białej koszuli. Na jego mokasynty skórę oddał jakiś umęczony aligatorek. Z włosów kruk, z oczu tchórz. Jego chude ręce trzęsły się jak u hazardzisty na widok ruletki. Nieogolony, trzymał walizeczkę od Louisa Vuittona w prawej ręce, a w lewej szklanke rudej.

– Po nas, kurwa, po nas...

– Co mają na Pirllettiego?

– Po nas... – powtarzał jak mantrę.

– Weź się w garść! – chwyciłem go za barki i spojrzałem w jego przestraszone oczy. – Zdecydowałeś się na kooperację. Przeżyjesz, a po wszystkim przeniosą cię na jakąś Świętą Helenę, gdzie żaden z chujków, których zdradziłeś, nie zagłąda.

– Nie oni. Inni przyjdą...

– Potrzebuję tylko garść informacji, zanim wsiądziesz w karocę do Berlina, słyszysz?

Łzy płynęły mu po policzkach. Wielkie łzy, odarte z nadziei. Ten widok rozdzierał moje dawno używane serce. Czulem, jak mu trochę zwalnia oddech. Zaciśnął zęby, zaczerpnął powietrza nosem i się odezwał:

– Byłem z Pirllettim na spotkaniu z potencjalnym partnerem biznesowym, dwa dni temu. Facet był podstawiony. Powiedział, że to ostatnia szansa na pokazanie listy beneficjentów funduszu inwestycyjnego. Pirlletti kazałby go wyrzucić, ale tamten dał do zrozumienia, że nie żartuje i nie będzie kolejnej szansy.

– Jak wyglądał? Jakiś znak szczególny?

– Po pięćdziesiątce, siwe włosy. Nic szczególnego. Później Pirlletti zamienił się w kłębek nerwów. A potem zaczęły dziać się dziwne rzeczy...

– Czyli?

– Pirlletti zadzwonił i kazał mi ukryć się w jednym z awaryjnych mieszkań. Nie brzmiał jak on.

– Ilu Pirlletti miał wrogów?

– Zadarł z nimi, nie ma odwrotu – Silvestro ukrył twarz w dłoniach. – Wszystko przez Greków...

Za oknem rozległy się strzały. Krzyki dzieci i wrzaski matek. Rzuciłem się w stronę okna, jakbym czekał na Świętego Mikołaja. Wychyliłem się tyle, ile trzeba, by cokolwiek zobaczyć. Bezwładna ręka Fabrizia zwiślała za drzwiami auta. Z jego głowy zostało niewiele. Kolega oberwał jeszcze bardziej. Leżeli rozłani na przednich siedzeniach. Martwi tak, że bardziej już nie można. Berlin nie będzie zadowolony...

– Kamery! – ryknąłem.

Silvestro wpadł w drgawki i runął na łóżko. Ja chwyciłem tablet z podglądem kamer na klatce i na korytarzu. Na schody wbiegło dwóch ludzi. Ich smukłe sylwetki zbliżyły się do trzeciego piętra. Twarzy nie mogłem rozpoznać, bo mieli na głowach kominiarki. Zawodowcy. Wdarli się do kamienicy ze zwinnością dzikich pum. Tacy wbijają kły prosto w mózg, nie dając żadnej szansy. Oglądałbym dalej ten popis kocich ruchów, gdyby moje życie nie było w bezpośrednim zagrożeniu. Właściwie to już nie żyłem. Z nimi na karku dawałem sobie góra dwie minuty. Umieć grać w te klocki, ale dwóch na jednego...

Nie miałem szans.

Zły czas i złe miejsce. Zanim dobiorą się do Silvestra, przejdą przez moje zwłoki. Nie ma innej drogi. Zdarza się, że nieświadomi przenosimy góry. Zwykle byłem tym, który nie wiedział, że pewnych misji nie da się przeżyć. Jedziesz i wykonujesz. Jak marszałkowie Napoleona walczący w pierwszym szeregu na placu boju. Kule latają, ale ciebie cudem omijają. To kombinacja szczególnego błogosławieństwa i przypadku, który nie gra w kości. Czulem, że za dużo korzystałem ze swojego zapasu fantazji ułańskiej. Kolejny raz wydawał się już abstrakcją.

Czekałem na zabójców. Weszli do mieszkania, a w zasadzie wjechali z buta jak pewien szचेciński artysta. Od razu wyczułem, że to nie element polskiego folkloru. Był obcy. Ten, kto choć raz przebywał za granicą, wie, że we wschodnich oczach tkwi specyficzny urok. Nie pomylisz Holendra z Polakiem. Nie pomylisz Niemca z Polakiem, choć przecież dzieli nas z pozorów tylko głupia rzeka. Spojrzałem w ich zabójcze obce oczy na milisekundy przed uderzeniem.

Z jakiegoś powodu chcieli mnie żywego. Nie strzelali. Gęste powietrze rozcięły ciosy. Odpowiedziałem na zaproszenie do tańca. Zdołałem zrobić unik i przytrzymać rękę jednego z nich. Zaczęła się szarpanina. Drugi czekał na odpowiedni moment. Miałem wrażenie, że się ze mną bawią. Wyciągnąłem pistolet, ale jeden z nich wytrącił mi go z rąk. Zanim się obróciłem, zdążyłem zarobić jak amator. Drugi strzał na twarz sprawił, że klęknąłem. Nie miałem w zwyczaju przed nikim klękać, tym razem nie mogłem się jednak powstrzymać. Drugi zaszedł od tyłu i powiedział coś po...

Tego obawiałem się najbardziej.

Tylko nie oni!

Powiedział coś po hebrajsku.

Popłynęła krótka komenda w języku Jedynego Boga. Na tyle, na ile znam ten język, nie było to nic w stylu: *mazel tov*¹¹. Raczej jakieś zaklęcie starotestamentowego proroka. Zablockował mi ramiona, a drugi wyjął strzykawkę. To było jak najgorszy koszmar antyszczepionkowca. Cokolwiek tam miał, na różyczkę nie pomoże.

Wstrzyknął.

Szybko, zawodowo i bezboleśnie.

Zostawili mnie w przedpokoju i ruszyli w głąb mieszkania. Zanim odcięło mnie zupełnie, usłyszałem, jak Silvestro jęczy, pewnie trzęsąc się na łóżku. Później rozległy się dwa strzały, które utuliły go do snu. Nie znałem Silvestra, ale coś mnie zabolalo w klatce piersiowej. Być może był to strach, a może litość? Kolejny biedak, którego dopadł najlepszy wywiad na świecie. Tylko co, do kurwy nędzy, Izraelczycy mieli z tym wszystkim wspólnego? Moja ciężka jak kamień głowa poleciała w dół, zanurzając mnie w głębokim śnie. Cokolwiek mi wstrzyknęli, zaczęło działać.

13. Przekonujący nożyk Izaaka

Plastikowa opaska odciskała czerwone ślady na związanych z tyłu rękach. Leżałem plecami do ściany na starej wersalce, rozchylając oczy jak dziecko, które udaje, że śpi i sprawdza, czy tata nie patrzy. Nogi też miałem związane, dwoma opaskami, tak na wszelki wypadek. Jeden z Izraelczyków siedział na wprost w fotelu, który przypominał słynne meble PRL-u. Sądząc po wystroju wnętrza, mógł to być oryginał. Sączył czarny napój i lustrował okolicę za oknem. Był przystojnym mężczyzną o czarnych kręconych włosach. Miał dziwaczny zarost jak na dorosłego mężczyznę. Nad ustami dwa czarne pasy wąsów, szerokie jak pasy startowe, oddzielone jednak kreseczką gołej skóry. Coś tam zaćwierkał po hebrajsku do kolegi, który wszedł do saloniku.

Drugi Izraelczyk, jak się przekonałem, nie był mężczyzną. Przynajmniej nie wyglądał lub odbiegał od moich wąskich standardów kanonu męskiej urody. Była to smukła blondynka o mocnych rysach i małych ustach, które miały swój urok. Wyciągnęła z torby jakieś papiery i zerknęła w moją stronę.

Rozmawiali po swojemu. Dźwignąłem się i usiadłem, układając spętane dłonie na wysokości łędwii. Oparłem się wygodnie, zerkając na papiery, które rzuciła mi na kolana. Dałem jej do zrozumienia, że oczami nie umiem kartkować, ale nie dała się nabrać. Najważniejsza była pierwsza strona z listą nazwisk. Były też miejsca pobytu, numery, adresy firm i jakiś system klasyfikacji przy każdej osobie, którego nie potrafiłem odszyfrować. Poza tym komendy po hebrajsku jak czarna magia dla mojego otumanionego umysłu. Spojrzałem z powrotem na żeńską odmianę izraelskiego ramienia sprawiedliwości, czekając, aż pojawią się jakieś angielskie napisy do ich rozmowy po hebrajsku.

– Znajome nazwiska? – zapytała agentka Mossadu, wskazując papier na moim udzie.

– Nie żebyśmy razem wódkę pili, ale ja też szukam tych łobuzów.

– Chuj mnie obchodzą wasze warszawskie rozszady – przybiła do brzegu. – Masz jakiegokolwiek pojęcie, co teraz zrobią polskie władze z Pirlettim?

– Wy też? Jezu, czy biega po kuli ziemskiej ktoś, komu ten człowiek nie zaszedł za skórę?

– Nikt mu nie kazał dorabiać cypryjskich handlarzy bronią.

– Biznes to biznes, w jakim wy świecie żyjecie? – próbowałem rozluźnić atmosferę.

– Tu chodzi o bezpieczeństwo Izraela! – podniósł głos ten z dziwnym wąsem.

Zabójcza blondyna wykonała szybki ruch dłonią. Wąsacz nie był skończonym idiotą i w mig odgadł ten dość prosty kalambur. Zamknął gębę.

– Sprzątnęliście dwóch ludzi Berlina. Silvestra, prawą rękę podcierającą brudy Pirlettiego, odstrzeliliście jak dzika w sezonie zimowym. Co dalej?

– Został Pirletti i Helena Strapolous. Jeśli nie zaczniesz współpracować, dorzucimy jedno nazwisko do tej listy.

Nie było mi do śmiechu. Wąsaty wyciągnął nóż. Długi i wąski. Dziwny jak jego wąs. Wzdrygnąłem się.

– Feliks Nero. Legenda, tak o tobie mówią w kularach. Znaleziony na Śródmieściu z długim nożem wbitym w nozdrze – kontynuowała blondyna.

– Fatalnie to brzmi, zwłaszcza z twoich ust. Skąd wiecie, kim jestem? – zapytałem z nieukrywanym zdziwieniem.

– Mossad to najlepszy wywiad na świecie. Nawet nazwiska płotek znamy?

– Nienawidzę waszego starego żydowskiego zwyczaju odpowiadania pytaniem na pytanie. Płotka? To za duże akwarium na gadanie z płotkami.

– Pirlettiego dopadniemy, jak opuści areszt. Gdzie jest Helena Strapolous?

– Gdzieś między sałatkami greckimi horiatiki i gyros.

– Zostawić cię sam na sam z Izaakiem? – przewróciła oczami w stronę wąsacza.

– Tylko nie z nim. Wyrecytuję, co chcesz, jak inwokację, byle nie zostać z Izaakiem.

– Gdzie znajdziemy tę Greczynkę? – powtórzyła bezimienna agentka.

Izraelczycy zadali pytanie, na które znałem odpowiedź, ale udzielenie jej byłoby jak wyrok śmierci. To przecież byli ludzie ze słynnego Kidonu, komórki Mossadu, która oficjalnie nie istnieje. Kidon był po prostu oddziałem zabójców, którzy zajmowali się likwidacją wrogów Izraela. Żaden z wywiadów nie posiadał tak perfidnej komórki jak Kidon. Wszyscy unikali ich jak ognia, bo z nimi nigdy nic nie wiadomo. Ludzie bez kręgosłupów, pozbawieni głębszej refleksji. Wytrenowani do jednego celu. Zabijania. W tym byli najlepsi na świecie. Robili to po cichu, sprawnie i skutecznie. Po robocie nie zostawiali

śladów, rozplywali się w powietrzu. Kiwali inne wywiady jak przedszkolaków, mając gigantyczne zaplecze swojej agencji.

Było jeszcze coś.

Warszawa jako miasto z głębokimi żydowskimi tradycjami posiadała gęstą siatkę ludzi, którzy w ten lub inny sposób pomagali Mossadowi w organizacji akcji przeprowadzanych na terenie stolicy i całego kraju. Byli to biznesmeni, właściciele nieruchomości, informatycy i masa innych życzliwych posiadaczy izraelskiego paszportu. Ambasada prosiła, to ktoś w czymś pomagał, bez jakiegokolwiek wiedzy o akcjach Kidonu. Koniec końców ci ludzie nie istnieli.

Jednym z regularnych pomagających był stary rabin Jozue Gaunheim.

Nie lubię igrać z ogniem. Za wszelką cenę staram się unikać kontaktu z izraelskim wywiadem, jak wszyscy zresztą. Unikałem także kontaktu z rabinem Jozue, znając jego możliwości. Ze względu na brak ogrodników w rodzinie nie mam tendencji do przesadzania. Rabin Jozue był szarą eminencją, która z Grzybowskiej zerkala na resztę stolicy. Nikt w tym mieście nie mógł pierdnąć bez pisemnej zgody rabina. Domyślam się, że wiedział o operacjach Kidonu, Pirlettim i pozostawał w łączności z Tel Awiwem. Kłamać smukłej blondynie to trochę jak kopnąć kota, któremu rabin Jozue zlecił złapanie myszki. To w jakimś sensie oznaczało tyle, co postawić się nieoficjalnemu szeryfowi miasta. Myśl przefrunęła mi przez głowę. Nie będę udawać, rozpałała we mnie szczeniacki bunt wobec możnych tego świata. Postawić się i zagrać po swojemu. Chcieli dorwać Helenę, która nie była z bandy Pirllettiego. Ta myśl została teraz ze mną na dłużej. Stawić opór ludziom wielokrotnie potężniejszym czy ratować Helenę, bo obiecałem przecież. Z drugiej strony Helena nie była z pierwszej łapanki i wiedziała, że depczą nam po piętach niebezpieczni ludzie. Westchnąłem za Helenę do Boga, w którego istnienie wątpiłem.

Moje rozważania ciągnęły się jak sztuczny ser na amerykańskiej pizzy. Przedstawiciele Kidonu tracili cierpliwość, a nóż Izaaka wylądował gładko na moim kilkudniowym zaroście. Jego ostrze było czyste, ostre i zimne.

– Nóż ostry, a nos głęboki. Izaak wie, jak wbijać powoli, tak żebyś za szybko się nie wylogował. Gdzie znajdziemy Greczynkę?

Nóż wylądował tuż przy mojej lewej dziurce do nosa. Dziwne to, ale nie miał zapachu. Czulem raczej pot Izaaka, który jak chirurg hobbysta pochylał się nade mną. Idę o zakład, że go to podniecało. W jego oczach czaiło się umiłowanie okrucieństwa, które należało do najgorszego rodzaju patologii. Ile już tych operacji plastycznych wykonał w swoim życiu, trudno powiedzieć. Obiecałem sobie, że zanim się to wszystko skończy, osobiście posłę tego zwyrodnialca do piachu.

– Z tego, co wiem, próbuje się dostać do prawnika Pirllettiego.

Nóż powoli oddalił się od mojej twarzy, ku szczeremu niezadowoleniu Izaaka.

– Teraz to kluczowe – kontynuowałem – ustaliliśmy kolejne ruchy Pirllettiego...

– Obyś nie kręcił. Możesz sobie pogrywać z Włochami czy z Polakami, ale nie z nami.

Patrzyłem jej w oczy, nie mrugając przez dłuższą chwilę. W końcu wstała i zaczęła mówić z powrotem po hebrajsku. Izaak krzątał się po pokoju, zbierając dokumenty i porządkując stół. Nie tracili czasu. Podsunąłem im trop, a oni nie czekali z pościgiem. Nie zwracali już na mnie uwagi. Nie pożegnali mnie kulką w łeb, co mieli w zwyczaju. Po prostu odwrócili się plecami i trzasnęli drzwiami, jakby byli krótko przed okresem. Mogłem się tylko domyślać, czemu jeszcze żyję, czemu mam cały nos i czemu zostawili mnie bez otrzymania żadnej solidnej informacji. Wiedziałem, że nie mam czasu do

stracenia. Echo trzaśniętych drzwi ucichło, a kroków na korytarzu wysłuchiwać na próżno. Pomy poruszają się bezszelestnie w miejskich dżunglach, ale nawet zawodowcom zdarzają się amatorskie błędy. Jeden mały, ale znaczący błąd właśnie uwierał mnie w lewy pośladek. Telefon.

Dostałem od Heleny mały plastikowy telefon jednorazówkę, jakiej używają dilerzy, gangsterzy i filantropi, którzy dbają o anonimowość swojego miłosierdzia. Agenci Mossadu nie mogli go przeczyć, co oznacza, że w ogóle mnie nie przeszukiwali. Musieli się spieszyć, bo niezabrany mi telefon, miejsce, gdzie mnie trzymali, i słaby węzeł na rękach wskazywały na absolutny brak szacunku do agentów mojej rangi. Celne uderzenia, po których straciłem przytomność, bolały mniej niż to upokorzenie.

Dłonią wymacałem kieszeń na pośladku, telefon i guziki, które w erze produktów z Cupertino były już muzealnym zabytkiem. Ostrożnie, cyferka po cyferce aż do dziewiątej i zielona słuchawka po lewej stronie tego małego kawałka plastiku. Sygnał, jeden po drugim. W tym modelu wystarczyło przytrzymać zieloną słuchawkę, by włączyć na głośnomówiący. Po kilku sygnałach usłyszałem głos Heleny.

– Co jest?

– Kidon. Idą po ciebie.

Zapadła cisza. Krótka i gwałtowna jak chwila, kiedy dowiadujesz się, że masz raka z przerzutami. Głos odbiera, gdy wiesz, że medyczna maszyna zrobiła zdjęcie, które policzyło twoje dni.

– Natychmiast się ewakuuj.

– Bez listy nie wracam, Feliks. Silvestro coś mówił, co dalej z Pirlettim?

– Silvestro? Szkoda gadać, a co do Pirlettiego, on już nie żyje, oddycha jeszcze, ale to zwłoki. Helena, czas się ewakuować, ludzie z Izraela wspomnieli o cypryjskim handlarzu bronią.

– To już coś, ale tylko lista popchnie sprawę dalej...

– Jebać tę listę, dorwę tych waszych greckich handlarzy bez tej listy.

– Nie wracam bez tych nazwisk...

Czerwona słuchawka. Kobieta jak się uprze, to... Nie wiem, czy to była ambicja, czy głupota. Kidon to nie przelewki. Mając ich na karku, ciężko będzie wszystko doprowadzić do końca. A już na pewno syzyfowe będą starania, by Helena uszła z życiem. Zgodnie z własnymi sprzecznościami najpierw ją pograżyłem, a potem wziąłem za punkt honoru, by doprowadzić tę sprawę do końca.

Prawie zakasałem rękawy do pracy, ale dłonie miałem wciąż związane tym plastikowym ustrojem. Izaak zabrał swój nóż. Jedyne ostrze, jakie może zostało, musiało znajdować się gdzieś w kuchni. Doczołgałem się do kuchni, otwierając szafki związanymi nogami. Później udało mi się wstać i podskakiwać jak w pieprzonym cyrku. W jednej z szuflad coś tam wymacałem. Plastik na moich rękach pękał, a ja poczułem się jak kanarek poza klatką. O mało nie wyfrunąłem przez okno z ósmego piętra.

Zatrzasnąłem drzwi i wyszedłem na spotkanie z młodym niepokornym gliną, który, choć reprezentował nową generację, wykazywał równą starszej generacji podatność na łapówki.

14. Miło cię poznać, Antoni

Zachód słońca zalał ulice miasta. Oblał czerwienią biurowce wyrosłe przy zachodnim dworcu. Klatka letniego życia dawnego dzikiego zachodu stolicy w pełnej krasie. A może to jednak tylko biurowce oblane wstydem za ten kapitalistyczny pęd trzymający pracowników korporacji w szklanych klatkach, podczas gdy na dole przechadzali się zakochani ludzie, zachwalając malinowe sorbety... Tego nie wiem. Nie miałem czasu na romantyczne bzdety. Siedziałem już na welurowej kanapie nowej toyoty. Taksówkarz puścił, co nagrała tego lata Dua Lipa, płynęliśmy więc ulicami w rytmie diwy z Kosowa. Czysta przyjemność.

Musiałem dostać się na dach Blue City. Wjechaliśmy na podziemny parking i szybko zaczęliśmy wspinąć się na sam szczyt. Taksiarz był niepokieszony, przecież miało być tylko do galerii. Rzuciłem mu dwa banknoty. Rozchmurzył się jak dziecko, któremu zatyka się jadaczkę tabletem z bajkami. Na szczycie odwrócił się do mnie, odsłaniając identyfikator. Podziękowałem panu Bogusiowi za przejażdżkę flagowcem japońskiego koncernu motoryzacyjnego.

Na dachu Blue City, w samym rogu, stało czarne alfa romeo. Sedan, nie SUV, bo nie zdarzyło mi się wozić dzieciaków na jazdę konną. Prosiłem, by zamontowano standardowe felgi i usunięto sportowe akcenty. Auto nie miało rzucać się w oczy, ale musiało mieć moc i grację. Usunięto więc elementy zdradzające moc auta. Wyglądało jak zwyczajny sedan alfy i żał mi się zrobiło, bo zwykle rozbijam te cuda za szybko. W tej pracy to tylko narzędzia – szybkie i sprawne, bo i powody są poważne. Śmiercionośny zespół Kidonu nie będzie czekać. Ja też nie miałem zamiaru zwlekać.

Samochód był podstawiony i czekał tu na mnie już od paru dni. Kilka takich samych jeździło po różnych dzielnicach Warszawy. Stanowiły minipunkty łączności, bo podczas zadania połączenia telefoniczne i internetowe były wykluczone, poza nielicznymi przypadkami. W kanapach auta ukryte były gotówka, nabite karty i broń. Auto otwierałem na kod. Trochę starego szpiegowskiego sznytu nie zaszkodzi. Usiadłem za kierownicą i rozejrzałem się po parkingu. Było już po osiemnastej, a ja nie miałem w zwyczaju się spóźniać.

Ktoś za mną strzelił długimi światłami. Spojrzałem w lusterko. Zniecierpliwiony blondyn patrzył z ukosa i odpalił silnik. Był gliną. Tym, na którego czekałem. Bujnałem głową jak pobożny żyd na modlitwie. Młody podjechał i zrównał się ze mną. Opuścił szybę na kilka centymetrów. Symbolicznie. Czekał na mój ruch. Zasłonił mnie swoim foldem, co zdradzało pomysłuńek z jego strony. Miał mózg i przewidywał. Takich to ze świecą szukać.

– Zapraszam.

Zgasił silnik i wsiadł do mnie na przednie siedzenie. Spojrzałem w jego bystre oczy. Zrozumiałem, o co chodziło w tych wszystkich powiedzeniach o młodości. Ten chłopak był przed trzydziestką i tętnił energią, jakby wszystkie czakry miał otwarte na oścież. Jeśli świat należał do kogoś, to do niego. Nie miałem żadnych złudzeń, że poznałem właśnie greckiego herosa, który albo szybko zginie z włócznią w piersi, albo zdąży podzielić los Aleksandra Wielkiego. Życzyłem mu długiego życia pełnego przygód. Tymczasem miałem kilka niezobowiązujących pytań.

– Zostawiłeś wszystko w aucie czy to smartwatch? – zacząłem.

– Nie, to analog, tylko tak wygląda. Nie mam nic przy sobie.

– Musiałem, wybacz. Co tam u naszego Pirlettiego?

– Trwają rozmowy między Sądem Okręgowym i Włochami.

– Gdzie go trzymają, Mokotów?

– Ursynów. Adwokaci Pirlettiego nie dają za wygraną, ale szanse na to, że Pirletti zostanie w Polsce, są... – przewrócił oczami.

– Znikome – dokończyłem. – Obejdzie się nawet bez międzynarodowego nakazu aresztowania – mruknąłem sam do siebie. – Ile mamy czasu?

– ?

– Kiedy będą go deportować? – powtórzyłem.

– To już informacje premium.

– W Spotify się bawisz?

– Akurat tak się składa, że znam interesujące cię detale, a z drugiej strony szef byłby wniebowzięty, jakbym dał cynk, że widziałem Feliksa Nero w stolicy.

– Podskoczyłby o kilka stołków wyżej – skomentowałem i zmieniłem oblicze na poważne, po czym ciągnąłem dalej: – Akurat tak się składa, że nagrywam tę rozmowę...

Spojrzał mi w oczy, badając je z jakąś niewytłumaczalnie przesywającą wnikliwością. Tak sobie wycieraliśmy w oczodołach, aż zachciało mi się mrugnąć. Znałem jednak starą zasadę, żeby nie spuszczać wzroku pierwszy. Gardziłem większością psychologicznych bredni, ale to akurat się sprawdzało. Raz przegrasz w tę grę i nie odrobisz strat. Nigdy nie miałem pojęcia, jak to działa. Na kozetkach mogli trzepać setki za wizyty, wciskając milion dupereli desperackim frajerom, których dopadły mdłe cierpienia Wertera. Jednak tutaj odbyło się starcie dwóch samców. Byłem starszy, ale w pełni sił, a młody ledwo chwycił za włócznię i już się woził, jakby miał urodziny. Trwaliśmy tak kilkanaście długich sekund, gdy w końcu przerwał milczenie.

– Mogę tak w nieskończoność...

– Wiem, ile się płaci za informację. Jak zaczniesz gadać do rzeczy, zacznę wyjmować koperty.

– Nigdy więcej nie próbuj mnie szantażować.

– Przyzwyczaj się. W tym bagnie musisz wydłubać sobie kręgosłup, zanim się w nim zanurzysz.

– Nie mam wielu umiejętności, ale umiem czytać ludzi. Szantaż to niskie zagranie, nawet jak na... yyy... szpiega? bandytę? – Antoni nie wiedział, kim jestem.

– To ty chyba nigdy Rosjan nie widziałeś. Pożyjesz, zobaczysz, ale wróćmy do tematu.

– Dodatkowe czterdzieści kafli...

– Mam pokazać, czy uwierzysz na słowo? – zapytałem z irytacją.

– Pirlettiego będą deportować we wtorek rano. Z Ursynowa pojedzie konwój na lotnisko.

Z aresztu na Ursynowie do lotniska było o rzut kamieniem. Dosłownie kilka kilometrów, co sprawiało, że ewentualne przechwycenie Pirlettiego było niemożliwe. Co prawda nie ma rzeczy niemożliwych, ale ta należała właściwie do niewykonalnych.

– Pojadą górą – kontynuował ośmielony podwyżką – w stronę ulicy Cybernetyki i potem Żwirki i Wigury do samego lotniska. Jakies dziesięć minut jazdy.

Próbowałem zebrać myśli w głowie, która przypominała stajnię Augiasza. Stan chaosu i nic poza tym. Na szczęście był koło mnie Herkules. Pomógł mi uporządkować kilka rzeczy.

– Wiem, że Pirletti to tylko czubek góry lodowej – odezwał się niepytany.

– Jak na glinę wiesz stanowczo za dużo...

– Nie powiem, nie czuję się doceniony w robocie.

– Zapraszam do nas, o gratyfikacji nie ma mowy, ale przynajmniej samochody przyjemnie warczą – oparłem rękę na kierownicy, robiąc zygzaka i jeżdżąc palcem po węźu w logo alfy.

– Dajcie znać, jak będziecie rekrutować. Założę koszulę i przyjdę z rekomendacjami od przełożonych.

– Prowadzę interview od momentu, jak wsiadłeś do tego auta.

– Potrzebujesz Watsona? – zażartował i trafił w sedno.

– Raczej mięsa armatniego, ale jak przeżyjesz, giermek się przyda.

– Nie jestem zainteresowany noszeniem komuś tarczy.

– Każdy nosi swoją tarczę... ech... wiele musisz się jeszcze nauczyć... – westchnąłem.

– Nic nie muszę. – Gdyby nie siedział, toby tupnął nóżką o kindergardowy parkiet.

– No o co z tym Pirlettim i górą lodową? – chciałem sprawdzić, ile wie.

– Kiedy go zgarnęliśmy, do kryjówki weszli ludzie z ABW i przetrzepali każdy centymetr. Przyjechali najważniejsi na robotę dla stażystów. Szukali swojego Graala, ale wyszli niezadowoleni.

Nic o liście nie wiedział. Przez sekundę myślałem, że wie, że nie jest zwykłym krawężnikiem, ale jednak był. Nie wiedział, czego szukało ABW. Wiedział, że im zależało, że Pirletti ma ciężar, że jest ważny i zapewne prowadzi do innych łobuzów. To tyle jeśli chodzi o ogólniki, żadnego słowa o liście. Słynnej liście Pirlettiego.

Lista Pirlettiego była pierdoloną gilotyną. Jeśli znalazłaby się w niepowołanych rękach, byłaby nie-miała draka. Wielka jak atomowa eksplozja i brzemienna w skutki jak krach na giełdzie. Problem polegał na tym, że określenie „niepowołane ręce” oznaczało coś zupełnie innego dla każdej ze stron. Jeżeli lista trafiłaby do polskich władz, ścięłaby kilka kluczowych głów z ABW. Mogłem się tylko domyślać, jak wysoko w skali Richtera trzęśli portkami panowie w garniturach. Z drugiej strony tej sprawy były wywiady basenu śródziemnomorskiego, które za tą listą przyjechały aż nad zimną Wisłę. Lista nazwisk handlarzy bronią, mafiosów i kreatywnych biznesmenów buszujących w europejskich zbożach byłaby kamieniem milowym w zaprowadzeniu porządku na tym jarmarku. Z trzeciej flanki zaglądał Kidon z ich obsesją na punkcie zabijania wrogów Izraela i kogokolwiek, kto kiedykolwiek pomógł tymże wrogom. Nie byli najmądrzejsi, ale w zabijaniu nie było skuteczniejszych od nich. Gdybym dopadł Pirlettiego, to zanim zamieniłbym z nim słówko przy kawce, byłby martwy od izraelskiej kuli. Tamta cholerna lista była wszystkim, co mogliśmy ugrać w aktualnym położeniu. I chociaż Pirlettiego uważałem już za trupa, musieliśmy spróbować. Helena biegała za listą, a ja rozmawiałem z herkulesem warszawskiej policji. Był to jakiś zarodek powodzenia, dawał mikroskopijną nadzieję. Z jego pomocą nadal byłoby to czystym szaleństwem, ale musiałem spróbować.

– Jeszcze nie wszystko stracone – pociągnąłem. – Ile masz zamiar siedzieć w policji?

– Powoli zahaczam o szklany sufit, ty tak na poważnie? Bo Karmel mnie wciąga w te gierki, chociaż teraz to nie wiem, co z nim będzie.

– Przy moich metodach nie pożyję długo, a wtedy kto odstrzeli tych łobuzów?

– Porządni ludzie w garniturach, strażacy, matki Polki, nie wiem...

Podalem mu kopertę. Tę z euro, ale o tym nie powiedziałem. Nie miałem zamiaru go łowić, przepychać czy cokolwiek z tych służbowych procedur, bo nimi gardziłem. Zresztą miałem już tego po dziurki w nosie. Przeczuałem koniec. Ale już kilka razy byłem przekonany, że to koniec i nadal siedziałem na miękkiej alkantarze, robiąc to, co umiałem najlepiej. Chciałem mu dać pięć razy więcej, niż

zasługiwał. Po prostu dobrze mu z oczu patrzyło. Kusilem go dalszą współpracą, ale w głębi duszy nie chciałem, by się zgodził na cokolwiek. Szkoda młodego. Szkoda męża, ojca i męża stanu, którym może być. Widziałem w nim potencjał, jakbym za ramię trzymał młodszego brata. Poczulem, jak mięknie mi serce i, na szczęście, potrafiłem sobie z tym uczuciem radzić.

– To wszystko – odpailem auto.

– Szukają cię wszystkie jednostki w tym mieście, nie mówiąc o ABW. Nie masz żadnych szans... Gadałem z Karmelem i...

Miał jakieś propozycje. Chciał o czymś pogadać, widziałem to w jego oczach, ale skończył mi się czas na pogawędki. Gliny grały w swoją grę i Antoni ostatecznie był po ich stronie. Krzyż mu na drogę. Nie chciałem go w nic mieszać, już i tak ryzykował, dzieląc się informacjami.

– Nigdy nie widziałem cię na oczy, nie było tej rozmowy. Bóg zapłać...

Wziął paczkę i wygrzebał się z przedniego siedzenia. Wsiadł do swojego forda i włożył pieniądze do schowka. Gdy odjeżdżał, rzucił mi krótkie spojrzenie, marszcząc czoło, na którym pojawiło się kilka kresiek. Pokręciłem delikatnie głową, jakbym chciał powiedzieć: „Cokolwiek zamierzasz, nie rób tego”, jakbym miał go przed czym ostrzegać. Nie miałem. Życzyłbym sobie nigdy już nie spotkać tego szczeniaka.

Do deportacji Pirlettiego zostały niecałe dwa dni. Najwyższy czas skontaktować się z Włodkiem Karmelem. Wykluczyłem jego trzy warszawskie mieszkania i działkę niedaleko Kampinosu. Domy jego bliskich przyjaciół też były pod obserwacją. Jego informatorzy i koledzy z innych wywiadów zamarli. Wszystko zamrożone. Jeśli był nadal w mieście, mógł ukrywać się tylko w jednej warszawskiej piwnicy. Było to podziemie włoskiego sklepu La Piccola Firenze, który, choć figuruje na Google Mapsach i pieprzonym Trip Advisorze, to skrywa kilka tajemnic. To była nieoficjalna włoska ambasada, do której nie miał wstępu nikt poza wąskim gronem kilku osób. Nie miałem czasu, by go trafić.

Alfa romeo warknęła, a jej silnik wydawał dźwięki finezji, która była obca niemieckim silnikom, te emanowały agresją. Żaden mercedes nigdy nie będzie włoską alfą. To po prostu inna liga. Zjechałem kilka pięt i wyjechałem wprost na Aleje Jeruzolimskie, mijając niebieski patrol. Wcinali jakieś kanapki i nie raczyli zerknąć na przepisowo jadącą alfę, wyprzedzającą ich z lewej. Włączyłem kierunkowskaz i odbiłem na rondzie w stronę Woli, zostawiając z tyłu usmarowanych majonezem funkcjonariuszy.

15. Żegnaj, Włodek

Stałem dłuższą chwilę pod lokalem na zgaszonym silniku. Nie wiedziałem, czy złapali Włodka i czy coś sypnął. Wrobili go tak zawodowo, że mógł już dyndać na sznurze w jednym ze swoich mieszkań. Powtarzałem mu setki razy, że w tym kraju uczciwi ludzie w służbach są z góry przegrani. Nie igrza się z fekaliami. On jednak meandrował między dobrem a złem, przywracając moją wiarę w ludzi. Uwierzył we mnie, gdy ja sam w siebie nie wierzyłem, dawno temu. Miał swoją wizję i widział rzeczy inaczej. Nic dziwnego, że zaszedł daleko, a ja nie rozumiałem od razu jego ruchów.

Tymczasem marzyłem, by obejrzeć okolicę z lotu drona.

Nowoczesny budynek przypominał zwartą bryłę bez okien. Dzieło brutalistów albo szaleńców zakochanych w epoce Stalina. Miał wyjść Guggenheim, a wyszedł betonowy klocek z kilkoma sklepami w strefie handlowej na parterze. Wąskie szklane drzwi zapraszały do jubilera, sąsiadujące wejście – do włoskiego sklepu, gdzie można zaopatrzyć się w dobrą oliwę lub kawałek salami z okolic Reggio. Nikt nie wychodził, nikt nie wchodził. Przechodniów kusił spory kawał dojrzewającego parmigiano na wystawie.

Wyszedłem z auta i nie patrząc za siebie, przekroczyłem próg sklepu. Skręciłem w alejkę z białym winem i zahaczając o sznurek z czosnkiem, przywarłem do lady.

– Trochę tego salami i parmezanu, tak na jedną porcję.

Pulchna Włoszka w średnim wieku zabrała się do krojenia. Miała kalabryjską urodę i tyle ciepła w oczach, że stanowiła bezpośrednią przyczynę topnienia lodowców. Zawinęła, co ukroiła, w papier i podała mi pakunek.

– Coś jeszcze?

– Szukam Marco, jest może?

– Pan z policji?

– Wręcz przeciwnie – przeszedłem na włoski.

– Proszę samemu sprawdzić – wskazała ręką stalowe drzwi za ladą.

Podąłem jej stówkę, nie czekając na resztę. Kawałek parmigiano i salami w Warszawie kosztowały fortunę. Południowa mamma otworzyła drzwiczki i wpuściła mnie za ladę. Gdybym miał czas, a kalabryjska mamma kilkanaście wiosen mniej, może byśmy coś wykręcili wspólnie za tą ladą. Nawet w takich ponurych okolicznościach nie da się tak po prostu wyłączyć temperamentu. Zresztą kto nie spojrział w tamte oczy, nie zrozumie. Otrząsnąłem się jednak i ruszyłem schodkami w dół.

Pierwsze drzwi były otwarte, towar piętrzył się aż po sufit. Drugie drzwi miały coś w rodzaju magnetycznego zamka. Zapukałem ze spokojem komornika. Usłyszałem kroki i ten dźwięk przeladowania broni, jak na sensacyjnych filmach. Ktoś tam w tle czmychnął przez drzwi od parkingu. Chwilę to trwało, zanim schowali kokainę i pozbiali bierki ze stołu. Czego ci wariaci się spodziewali? Drzwi uchyliły się z prędkością kulawego żółwia. Wyjrzała włoska czupryna z hebanowymi oprawkami na nosie. W oczach zabłysnęły mu fajerwerki.

– Feliks? – zapytał po włosku.

– Marco? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

– Feliks Nero? – powtórzył.

– Zgadza się.

– To naprawdę Feliks Nero we własnej osobie? – Marco już płonął.

– Będziemy tak sterczeć jak hawańscy bezrobotni czy wpuścisz mnie na zaplecze?

– Ależ oczywiście, proszę, proszę. To dla mnie zaszczyt! – w jego głosie wyczuwało się podniecenie.

Wejście miałem jak Freddie Mercury na stadion Wembley, choć nie rozumiałem, o co chodzi tym kilku Włochom siedzącym w nienaturalnie wygiętych fotelach. Wstali i podali mi dłonie. Wszyscy czterej musieli zajmować się bliżej nieokreśloną działalnością przestępczą na terenie polskiej stolicy. Zwycię plotki, ale tacy niewiele tracą i łatwo przechodzą na stronę policji. Miałem się na baczności, gdy wyciągnąłem swoją dłoń i nie siadając, przeciągnąłem Marca w róg z jako taką prywatnością. Coś tam

mówił z silnym akcentem spod Wezuwiusza, jednak przywołałem go do porządku, cedząc wyrazy przez zaciśniętezęby:

– Przeastań pajacować z tym lizodupstwem. Czy ukrywał się tu...

– Człowiek z polskiego wywiadu – dopowiedział. – Tak. Zostawił wiadomość, już przynoszę.

Kłęknął przed stolikiem kawowym i wyciągnął powieść Iwanickiego. Nieznany pisarz, oprócz kilku wariatów nikt go już w Polsce nie pamięta. Przeczytałem wszystkie jego książki z wypiekami nie mniej aktywnymi niż Wezuwiusz. Były to wspomnienia pisarza z Kazachstanu. Spojrzałem na jednego z Włochów na fotelu i dałem mu półtorej sekundy. Opuścił miejsce i przesiadł się na kanapę. Uniosłem rękę, zaprowadzając ciszę. Rola cesarza Augusta rozbawiła mnie w duchu.

Rozłożyłem pakunek ze świeżutkim salami i poprosiłem o łożatkę do łamania parmezanu. Marco wrócił z nożykiem w kształcie trójkąta. Podzieliłem się z chłopakami, choć niewiele tego było.

– Roberto, przynieś no trochę lambrusco. Feliks, jakie wolisz?

– Amabile, Marco. I tylko jedną szklaneczkę, nie zabawię tu długo.

Ze szklaneczką zupełnie inaczej się myśli. Patrzyłem na książkę i zobaczyłem na odwrocie mapę Kazachstanu. Żadna wiadomość. Włodek mnie denerwował tymi starymi metodami. Teraz musiałem się zastanowić, co to oznacza, jakbym grał w pieprzone kalambury. Kazachstan...

Marco zerkał na zegarek na swoim owłosionym nadgarstku. Powtórzył ten gest dwukrotnie w ciągu minuty. Pozostali trzej Włosi wstali, rzucając porozumiewawcze spojrzenia. Wymienili kilka zdań w dialekcie. Głosy im drżały.

Wyszli bez wylewnych pożegnań.

Dokończyłem szklaneczkę świeżego lambrusco i próbowałem zebrać myśli. Ukryłem twarz w dłoniach i wyteżyłem słuch. Marco obok przeglądał telefon, tracąc entuzjazm. Z każdą kolejną chwilą marszczył czoło, oglądając sufity. Do pomieszczenia nie dochodził żaden dźwięk.

Żaden dźwięk.

Cisza jak makiem zasiał. Mogłem to dostrzec dużo wcześniej, ale byłem jak każdy zawodowiec podatny na najgłupsze błędy. Twarz Włocha miała tępy wyraz. Gdy się zorientowałem, było po ptakach. Telefon Marca zawibrował mu w dłoniach. Wstał i odstawił niewypitą szklaneczkę. Klepnął mnie po ramieniu i wyszedł drzwiami od strony sklepu. Po drugiej stronie wyjął klucz i dwa razy przekręcił zamek.

Obróciłem się na fotelu przodem do drzwi, którymi wyszli wcześniej Włosi. Cisza dudniła mi w uszach. Tak skrada się tylko oddział szturmowy, ludzie Kidonu lub rasowi psychopaci. Jakielkolwiek zło czaiło się za drzwiami, nie dało długo na siebie czekać.

Rozległy się kroki i ktoś stanął z drugiej strony drzwi. Nie odzywałem się, byłem zajęty kończeniem dziesiątki różańca, dziękując Bogu za wszystkie lata mojego życia. Jakkolwiek na to spojrzeć, życie było darem, za które trzeba było podziękować. Nie chwytałem za broń, nie barykadowałem drzwi, nie szarpałem się z klamką, nie trzaskałem furtką. Jedyne, co ratuje w takich sytuacjach, to spokój. Czekałem jak mały Felek na dokładkę makaronu z truskawkami. Nieprzyjemną ciszę przerwał męski głos, którego strzępy dochodziły przez solidne drzwi. Był przytłumiony i z trudem przebijał się przez beton i metal:

– Żadnych ruchów, zrozumiano?

– Biała flaga, zapraszam! – krzyknąłem.

Drzwi rozchyliły się delikatną szparą, w którą intruz od razu wstawił swoją nogę. Nóżka postawiona w tym pomieszczeniu jednak odstawała od tych w konkursach piękności. Przede wszystkim była męska. Niektórych to jara, ale nie zaliczałem się do tej grupy. Wyćwiczone udo, a za nim cała sylwetka wślizgnęła się do pokoju, ukazując twarz kogoś, kogo znałem. Tak przynajmniej mi się wydawało.

W życiu już tak kiedyś miałem. Myślałem, że znałem kogoś, ale wystarczyła jedna poważna próba ognia, by to drastycznie zweryfikować. Za przyjaciela brałem kogoś, kto przyparty do muru pokazywał kły i wyszarpywał naciągnięte od stresu żyły, wiedząc, że wolałbym płonąć żywcem, nabity na pał, niż go zdradzić. Bajki i legendy uciekały przed rzeczywistością. Tu owce zmieniały się w wilkołaki. Przyjaciele tylko z nazwy, żadnych konkretów. Bolało tak długo, jak długo myślałem, że ktoś nie jest zdolny do zdrady. W takich sytuacjach wmawiałem sobie, że nie znam całej historii, nie mam pełnego oglądu sytuacji. Ale nie istnieje coś takiego jak pełny ogląd sytuacji. Byłoby cudownie, gdybym umiał w realnym czasie spojrzeć na nożowników za plecami z jako taką wyrozumiałością. Tymczasem dopiero co wbijany nóż wykrzywił mi usta. Do pokoju wszedł Karmel we własnej, nie do sprzedania, jak mi się wydawało, duszy.

– Feliks, zanim cokolwiek powiesz... – wyszeptał Karmel.

– Ilu ich jest? – spytałem, a temperatura mojego głosu była równa zeru.

– Obstawili wszystko w promieniu kilku przecznic. Przy obu drzwiach stoi więcej policji i funkcjonariuszy ABW, niż jesteś w stanie policzyć.

– Ile mamy czasu?

– Dali mi parę minut. Gdyby policja się nie wmieszała, mielibyśmy nowe rozdanie. Teraz większość się pochowała.

– Mówisz o Brausenberglu Security? Oni robią dla Rosjan i na tym etapie jestem pewien, kto za tym stoi – spojrzałem mu w oczy.

– Antonow?

– Przeszukałbym wszystko w promieniu stu kilometrów od Obwodu Kaliningradzkiego, ale wylać ludzi Antonowa w szeregach ABW... To już zadanie na inny czas... – westchnąłem.

– Dopóki Antonow ma swoich w ABW, tacy jak Pirletti będą tu bezkarnie... – Karmel zawiesił się i zastygł, nasłuchując kroków za drzwiami. – Słuchaj, wezmą cię na posterunek i usłyszysz zarzuty. W areszcie ktoś się tobą zajmie, potem zrobisz drugi feliksit z Polski, ale tym razem bez powrotu, wakacji w Sopocie, odwiedzin u babki.

– Żegnaj, Włodek. – Nalałem sobie jeszcze odrobinę lambrusco.

Wstałem i wyszedłem drzwiami, za którymi ktoś czatował. Włodek ruszył w stronę zaplecza sklepu. Zastępca szefa Agencji Wywiadu nie pokazuje się razem z bandytami, ma ich pod dostatkiem w swoim departamencie. To był moment, w którym wszystko zwolniło biegu. Ostatnie spojrzenie Włodka było jak w zwolnionym tempie. Ostatnie spojrzenie jego smutnych oczu.

Nie miałem do niego pretensji. Musiał mnie wydać, musiał mieć jakiś lewar, jakiś argument. Niczego przecież mi nie obiecał, odradzał mieszanie się w odchodach. Dla mnie zgasła jedna z kilku lampek w tunelu. Izaak gdzieś kilka ulic stąd zapewne operował twarz Heleny. Dla mnie słowa Włodka straciły wagę, pomyślałem, że tym razem to już naprawdę koniec. Nie dałem rady. Próbowałem. Robertini miał długie macki, ale tak daleko nie sięga nawet baron północnych Włoch. Byłem sam i teraz tylko ten spacer do samochodu, twarze bez wyrazu i to polskie niebo, na którym ciężko o prześwit do błę-

kitu, nie mówiąc o słońcu. Zebrałem się w sobie, gdy pokonywałem kolejne schodki w górę, z lochów na powierzchnię.

Wyszedłem na zewnątrz, witając ponure twarze panów z ABW, którym aż ślinka ciekła na mój widok. Karki z oddziału szturmowego wskakiwały na pakę swojego busa. Kilka niemieckich aut lśniło jak na wyprzedzący. Garnitury i chłopskie twarze, niektóre jeszcze czerwone po wczoraj. Kolońska działała cuda, nie poczułem wódy, gdy pochylał się nade mną typ w kominiarce. Zapiął mi kajdanki, tak bym poczuł, że je zapiął. Poczułem także kilka spojrzeń na plecach, z bloku, sklepu i nawet właściciel jubilera wyszedł zerknąć, co się dzieje. Nie musiałem wykazywać się bystrością, by wiedzieć, że nie zabierali mnie do aresztu. Jeszcze nie teraz. Nie pierwszy raz zgarniały mnie służby. Przyszłość jawiła się w barwach londyńskiego Brixton.

Zabierali mnie do pierdolonego Guantanamo w polskiej wersji. To nie była policja. Nie zabierali mnie na ciepły posterunek, gdzie podają kawkę, a jak chcesz papierosa, to i czerwony marlboro się znajdzie.

Nie.

Witałem się z ciemną piwnicą jak z gąską. Bez papugi, bo takim jak ja nie przysługuje obrona palestry. Żaden pan adwokacina nie podjedzie pod blok, gdzie wyrwywają paznokcie. Nie wystawi błyszczącego pantofelka ze swojego lexusa, by postawić stopę po mojej stronie. Wszystko było wliczone w koszty, na wszystko godziłem się, jakbym połknął wszystkie listy Seneki. Zjadłem stoicyzm, wykazując taką obojętność, że żołnierze, którzy mocno trzymali mnie za ramiona, przestali odczuwać satysfakcję. Wsiadłem do auta i zamknąłem oczy. Usłyszałem przepalony głos dochodzący z przedniego siedzenia.

– Jedź, zanim się tu zlecą hyeny z TVN-u. Zrobimy rundkę wokół aresztu...

Na parkingu stały cztery identyczne auta. Wsiadło do nich po dwóch agentów z przodu i jeden z tyłu. Po oddziale szturmowym nie było już śladu. Cztery nierozróżnialne samochody wyjechały w kolumnie, pokonując kilka przecznic. Nie było żadnych chciwych oczu. Upewnili się, że wszystko przebiega zgodnie z planem, i na skrzyżowaniu pierwsze dwa auta rozjechały się w dwie przeciwne strony. Jechaliśmy teraz na dwa auta ulicami Mokotowa. Tamci przed nami wzięli lewy zakręt w stronę głównej siedziby ABW. Przyciemniane szyby i identyczne rejestracje zapewniały anonimowość. Byliśmy teraz poza prawem, czasem i przestrzenią. Szukałem przycisku do katapultacji, ale jeszcze ich nie montowali w nowych s klasach Mercedesa. Tymczasem ruszyliśmy w stronę Piaseczna zakorkowaną arterią wylotową z miasta syrenki. Na przednim siedzeniu coś tam paplali w swoim żargonie przez dłuższą chwilę, zanim zmęczony papierosami głos zwrócił się w moją stronę:

– Skoczmy za miasto, na działkę. W stolicy duszno, ciężko się rozmawia. W porządku, panie Nero?

Uniosłem ciężkie powieki. Głos dochodził spod siwych, idealnie ulizanych włosów z przedziałkiem. Brązowe oprawki, a za nimi dwa małe punkty szukające zaczepienia. Czulem, jak mnie skanuje. Smród papierosów mieszał się z perfumowaną wodą kolońską. Dłonie miał gładkie jak saharyjskie wydmy. Nakremowane macki, które nigdy nie dotknęły fizycznej pracy. Cedził słowa, wyraźnie wymawiając końcówki wyrazów. Brakowało mu tylko książki Kanta, bo kij w tyłku miał wetknięty w całości. Z takimi nie rozmawiałem, omijałem i nawet nie brałem ulotki reklamującej ich kółka wzajemnej adoracji. Nie miałem zamiaru otwierać oczu, tym bardziej ust, ale kultura zobowiązuje do odpowiedzi. Jako wychowany na džentelmena odpowiedziałem:

– Spierdalaj.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech nieskalany choćby odrobiną szczerości. Odwrócił się i utkwil wzrok w przedniej szybie. Pilotował kierowcy, który pozostawał dla mnie bez twarzy. W mercedesach montowali szerokie fotele i zagłówki. Nie byłem zresztą ciekawy, jak wygląda przeciętna facjata funkcjonariusza służb bezpieczeństwa. Pajac z przedziałkiem wyjął koguta ze schowka i postawił na dachu.

– Miejmy to jak najszybciej z głowy – powiedział do kierowcy.

Kogut zawył. Weszliśmy w tryb sportowy, a samochody przed nami zaczęły tworzyć korytarz, który dla mnie nie był korytarzem życia. Popędziliśmy w stronę czarnych chmur, które kłębiły się nad Piasecznem.

16. Niczym Feliks z popiołów

– Ty się nigdy, Feliks, nie nauczysz, że ze służbami się nie wygrywa. Po prostu...

Coaching w wydaniu szympanów w kiepsko dobranych garniturach. Ale najgorsze było to, że z takiego towarzystwa nie było szans się wydostać. Może zagadać, może pamiętać stare dobre czasy, może mają jakiś plan, może byłbym jeszcze im do czegoś potrzebny? Nie ma mowy. Wywożąc mnie poza miasto, chcieli załatwić tę sprawę po swojemu, z dala od przekrwionych oczu prokuratury.

Facet z przedziałkiem chciał jednak pogadać. Zależało mu.

– Nigdy się, kurwa, nie nauczyłeś podstaw! – podniósł głos.

– Znamy się? – zapytałem, nie pamiętając naszego spoufalania. – Rób swoje. Nie mamy o czym rozmawiać...

Wymierzył cios, który wylądował na mojej żuchwie. Idealnie wymierzony, zadał ból, ale nie odciął. Pogruchotał kości, ale ich nie złamał. Piekło, ale nie połała się krew. Zawodowa robota ze strony ulizanego chujka. Cios, z którego można sporo wyczytać.

Drugie uderzenie.

Coś strzeliło, może to jego dłoń, może moja szczęka?

Później kilka w nerki. Później na powrót w twarz, z otwartej ręki, wszystkie z tym przeraźliwym hukiem prasowanego powietrza między jego otwartą dłonią a moim policzkiem.

Bił miarowo, zawodowo, jak lekarz, który ze spokojem aplikuje kolejne zastrzyki. Anestezjologia dla niepokornych. Tych kilkanaście sekund powiedziało mi o nim więcej niż te pytania, to całe pierdolenie, sardoniczne uśmieszki i przenikliwe spojrzenia po lakonicznych odzywkach. Nie był od nas, od Polaków. Tak zawodowo biła tylko jedna nacja pod słońcem. Wyczułem starą radziecką szkołę.

Był co najmniej szkolony w Rosji. Mógł być jednym z nich, ale nie miał akcentu, gdy rzucał rozkazy. Płynność zadawania bólu odziedziczył po przodkach, idealną płynność. Brawo. Z bólu zachciało mi się wymiotować. Moja twarz była pewnie w puzzlach, musiałem wyglądać jak po wypadku samochodowym.

– To za Michała Bąka, kurwo!

– Ma żyć, szef mówił, by z nim nie kończyć. Sam chce to zrobić – powiedział człowiek za jego plecami.

Przytrzymał ramię chujkowi, któremu ślina pociekła na sweter. Miał czerwoną twarz i szał zabrał mu jego udawany profesjonalizm. Od dwóch ostatnich uderzeń miałem już urywany kontakt z rzeczywistością. Krztusząc się, przewróciłem się razem z krzesłem, do którego mnie przywiązali.

– Wyjdź i ochłoń, szef nie będzie zadowolony – wskazała na to, co zostało z mojej twarzy.

Podniósł mnie z podłogi i oblał wodą. Później przystawił wężyk i wepchał mi go do ust. Nie chciałem pić.

– To woda i witaminy. Jeszcze nie kończymy.

Zacząłem pić. Po kilku łykach żołądek wykonał serię fikołków jak dziecko po zastrzyku glukozy. Wypłułem, co nabrałem w usta, i wymamrotałem coś o zbliżających się wymiotach. Ciężko się zwraca z rękami za plecami. Musiałem chyba przybrać zieloną barwę, bo kierowca podstawił mi miskę. Mieli cały asortyment, skurwysyny. Nastąpiła seria wyładowania obiadu, śniadania i tych kawek, które piłem między sprintami po chodnikach Śródmieścia. Czuję, że mdleję. Czuję, że tego chcą. Czuję, że coraz mniej czuję. Czuję, że coraz mniej chciało mi się cokolwiek czuć, zanim odetnie mnie zupełnie, w krainę nieczucia, gdzie się czuje tylko... Nie wiem, co się tam czuje, zawsze omijałem słodkie fragmenty biblijnych tekstów, zawsze wracałem do Księgi Izajasza i Apokalipsy. Jeśli coś czuję, to tę księgę na sobie i własną apokalipsę za rogami.

Zamknąłem oczy, chciałem oprzeć głowę, ale potworny ból rozrywał mi mięśnie na szyi. Ustawiłem głowę na baczność i powoli zacząłem otwierać oczy.

Jezu, pomóż. Wyślij jakiegos anioła, cokolwiek. Mój stróż spierdolił już dawno temu. Przyda się ktoś z doświadczeniem od spraw beznadziejnych. Przyślij kogokolwiek, byle szybko.

Rozchyliłem oczy na tyle, by zobaczyć białą framugę drzwi. Były otwarte, a w progu stanął on.

Wasył Antonow.

Prosiłem o anioła, przysłali mi diabła. Antonow wystukał kilka kroków na parkiecie w głąb jasnego pomieszczenia i usiadł na krześle, dając znak swoim ludziom. Wyszli, zostawiając nas samych. Jedni wolą to robić sami, pozostali zбочeńcy lubią, gdy inni patrzą. Ludzie są różni. Większość to zwierzęta. Spojrzałem Antonowowi w oczy, własne ledwo trzymałem otwarte na pół gwizdka. Był potężnym mężczyzną. Z wielką głową i wargami tak masywnymi, że papieros, który miał przyklejony do dolnej, wyglądał na zabawkowy. Jego zielone oczy wyglądały jak korony wiosennych drzew liściastych. Jak pierdolony elf. Te oczy hipnotyzowały, były nierealne. I wielkie jak zresztą wszystko w tym szatańskim pomieszczeniu. Rozlazły nos i fałdy na czole. Końskie zęby za zagrodą tych poduszkowców, które otwierał właśnie, by rzucić urok, ukąsić śmiertelnie jadem lub zwyczajnie zabrać nadzieję, przekazać pozdrowienia z piekła.

– Był taki film – odezwał się Antonow – polski film z czterdziestego dziewiątego bodajże, bardzo dobry, nazywał się *Skarb*. Młode małżeństwo szuka mieszkania na zgłiszczach Warszawy, krótko po wojnie.

– Hmm... – spuchnięte usta nie pozwalały słowom ułożyć się w całość.

– I tak tułali się po polskiej stolicy, próbując znaleźć deficytowy luksus, jakim było mieszkanie. Szukali, trafiając na podejrzanych typów i pakując się w kłopoty. Coś świta? Popelniałeś straszny błąd, Feliks, dawno temu, pamiętasz?

– Hmm... Anto... Co?

– Wybrałeś złą stronę, lecz to teraz bez znaczenia, już w żadnym szeregu nie namieszasz. Wielka wojna, która nadchodzi, rozegra się bez twojego truchła na polu walki – meandrował Antonow, jakby powieść na milion znaków pisał.

– Antonow, po-po-powiedz, sko... skoro jeste... ścierwem to... czemu – robiłem coraz dłuższe przerwy i czułem, że nie mam siły kończyć wyrazów, o zdaniu nie wspominając.

– Ciii... – Uciszył mnie jak niemowlaka. – Sygnalizowałem wam przez lata, wyżej wiesz czego nie podskoczycie, polaczki... A ty? Ty miałaś szansę i wybrałeś jakiegoś italiańca. Żeś durak!

– Anton... ow... tobie się c... pojechało... n-n-na starość...

– Zamknij się! – syknął Antonow.

Uklęknął przy mnie na jedno kolanko i ujął moją twarz, ściskając policzek. Czekałem, aż wyjmie grzeszka za dobre sprawowanie. Nic podobnego. Upewnił się, że słucham, łapiąc ze mną kontakt wzrokowy. Z bólu popłynęły mi łzy. Zalały policzek i spłynęły mu na dłoń. Powędrowały w dół wzdłuż koryt wytyczonych przez wystające żyły jego prawej dłoni. Krople spadły na podłogę, mieszając się z moją krwią, której spora ilość umazała błyszczący parkiet. Oczy Antonowa zachodziły zmęczeniem zadaniem, które powierzył mu sam Lucyfer. Był zdenerwowany, zdeterminowany i skupiony. Tracił jakiś asset. Musiałem mieć w tym spory udział.

– Nie mogliście dorwać Pirlettiego sami, więc wydalście go psom?

Nieco otrzeźwiałem i wystawiłem na próbę mój aparat mowy. Od jego sprawności zależało moje życie. Każde słowo cenniejsze niż złoto. Ich znaczenie, zabarwienie, wymowa i zawahanie. Komunikacja, jakiej nie uczą w szkołach. Przypomniało mi się podwórko i żelazne zasady, gdzie za zły dobór słów straciłem połowę górnej jedyńki. Prawie się uśmiechnąłem pod nosem na tamto wspomnienie.

Zebrałem się w sobie i przystąpiłem do wymiany zdań pomiędzy starymi wrogami.

– Nie wierzysz... że glinom... też czasem się udaje? Sam byłem... zaskoczony.

– Bohater z ciebie. Teraz italiańcy dostaną Pirlettiego, a ty zgarniesz order od Robertiniego. To znaczy... obaj wiemy, jak ta historia się zakończy. Co to za pomysł tu wracać?

– Pirletti to tylko początek... – klulo mnie, gdy mówiłem.

– Znając ciebie, po tę grecką sukę. Mamy ją na oku. Będzie musiała próbować dalej nam przeszkadzać bez ciebie... Zabiorę ją na ostatnie *rendez-vous*, o to się nie martw.

Antonow pokazał zęby. Nowiutkie korony na przednich zderzakach. Wyglądały nienaturalnie, a on jak polski dorobkiewicz z nerką od Gucciego wziętą na raty.

– Za dwadzieścia godzin będę miał ją przywiązaną do krzesła – przelknął ślinę.

– Masz tę listę? – zapytałem, bo co niby miałem do stracenia.

– Nero... – zawahał się, ale machnął ręką, bo praktycznie rozmawiał ze zwłokami. – Lista Pirlettiego to nie jest polska sprawa. To poważni ludzie z poważnymi zamiarami...

– Już ja was, łobuzy, znam... wiem, co... kombinujecie.

Do pokoju wpadł kierowca. Miał fioletową twarz. Antonow zerwał się na równe nogi i coś tam szepotali w rogu w przyspieszonym tempie. Zbierało mi się na wymioty. Znowu. Tym razem żołądek zaczął boleć bez krzty miłosierdzia, a oczy wychodzić z oczodołów. Coś paliło mnie od środka. Antonow podszedł do mnie i rzucił na pożegnanie:

– Dużo wypileś tej wody od kierowcy?

– Tak dla sma... – Odruch wymiotny nie pozwolił mi dokończyć zdania.

– Zawsze zachwycały mnie trucizny, które rozpuszczają się w wodzie, nie zmieniając jej barwy i smaku.

– Ile... czasu?

– Dwie, może trzy godziny. Żałuję, że nie usłyszę słodkiego dźwięku skomlenia...

Wrócił do mnie i zbliżył swoje zielone ślepia do moich spuchniętych powiek, wyszukał kropki prześwitu, żeby złapać ze mną resztki kontaktu wzrokowego i rzekł mi w całej czułości swej i trosce swej, jak bardzo mnie nienawidził, jak bardzo mną gardził i jak bardzo kochał tę walkę naszą, której starczyłoby na całą serię o niepokornym agencie, ale już nikt jej nie spisze. Szeptał mi, że mu przykro, że mnie w przyszłych bataliach zabraknie. „Feliks, syczał, już nigdy więcej strzelanin na korytarzach luksusowych hoteli, nigdy już nie wytniesz mi moich króli w karecie, nie zabierzesz mi damy, jak tej Cyganki, którą kochałem jak córkę. Feliksie Nero, tu się kończy ta przepychanka, w której dzieliliśmy losy, rozdając sobie ciosy jak bracia, którzy ćwiczą zapasy na miękkim dywanie. Zawsze łądując miękko, znając zasady”.

– Antonow, przysięgam, dopadnę cię, choćby na tamtym świecie – cicho przez lzy cedziłem wyrazy.

– Nie starczy ci tlenu na takie nurkowanie w piekle, Feliks – uśmiechnął się. – Ciesz się, że to już twój koniec. Zaraz wybuchnie wielka wojna, taka, przy której rzeź w Ukrainie, amerykańskie zwłoki na Pacyfiku, ciągłe przeciąganie liny na Bliskim Wschodzie to tylko preludium, taka zasłona dymna, przerażająco mało zabawny żart. Szkoda, że nie weźmiesz w tym udziału, wielka szkoda, Feliks.

Czułem, że przechodzę od rzeczywistości do snu. Traciłem kontakt ze sobą, Antonowem, otoczeniem. Musiał to zauważyć, bo urwał swoją narkotyczną wizję, swoje urojone spojrzenie, wyciął mnie ze swojej spirali halucynogennych połączeń neuronowych.

Wyszedł, nie zamykając drzwi. Antena na dachu samochodu powędrowała wzdłuż okna. Został po nich tylko ten śmiertelny niesmak w żołądku, który odliczał czas do końca bolesnej agonii. Resztkami sił stanąłem na dwóch nogach krzesła i mocno wcisnąłem tyłek, łamiąc tylne drewniane nogi. Spadając, przygniotłem krzesło całą masą ciała. Pękło w kilku miejscach i uwolniło jedno ramię. Ból żołądka stawał się nie do wytrzymania. Promień bólu przeszył klatkę piersiową. Zacząłem się pocić, litry potu spływały mi po czole. Adrenalina strzeliła tak mocno, jak tylko w chwili śmierci może strzelić. Próbowalem wstać i na sekundę postawiłem nogę, próbując się dźwignąć. Krzesło nadal oplatało mnie z tyłu, a zawiązane ręce nie pomogły złapać równowagi. Nie mogłem pogodzić się ze śmiercią i gdy była blisko, tupiałem nogą jak przedszkolak, który za Chiny nie odda kradzionej maskotki pod pachą. Nie było, kurwa, takiej opcji. Nie oddam.

Stanąłem na półtorej sekundy, dostrzegając w oknie kolejną antenkę. Tym razem była to antena na srebrnym aucie, dostrzegłem tylko kawałek dachu. Padłem na podłogę, drąc się resztką sił, które uchodziły ze mnie szybciej, niż się spodziewałem. Organizm był wycieńczony trucizną i osłabiony bieganiem po tym warszawskim labiryncie. Czułem, że tracę wzrok, a piana z ust zalewają mi szyję. Umierałem, jak sobie wymyślił Pasolini. Brakowało tylko penisa na zewnątrz i spermy na kolanach. Takiej śmierci nawet wrogom bym nie życzył.

Tocząc pianę, widziałem, jak otwierają się drzwi. Jak wbiegł Antoni, młody glina marszczący brew. Potem wszystko się rozmasało, ogień rodem z piekła palił mi wnętrzności.

Lzy, piana i krew. Zamknąłem oczy i rozpląnąłem się w tym bólu.

Pojawił się mały kościółek, biały jak kreda. Gdzieś na greckiej wyspie. Dziewucha, której biała firana zasłaniała twarz. Tylko dwa świdrujące oczęta przebijały przez cieniutki materiał. Wiedziałem,

że ją kocham. Mocniej niż cała ludzkość razem wzięta. Jakby mnie sam Jezus nauczył. Staliśmy na zewnątrz w pełnym słońcu, tym samym, które świeciło Grekom, co dali nam Europę. Niepojęte szczęście. Łza pociekła mi na czarny garnitur. Dziewucha trzymała wianek świeżych kwiatów. Niebo było niebieskie. Ja tylko chciałem, by mnie ktoś pokochał. Po prostu. Ona patrzyła, jakbym był obietnicą składaną następnym pokoleniom. Widziałem, że nadzieją mogłaby wypełnić wszystkie bazyliki świata. Już miałem tę białą firankę zarzucić jej na włosy. Już miałem całować usta miękkie i soczyste. Rozpłynąć się na widok jej twarzy, dziwić się, czemu tyłu nie wierzy w Boga, oddając przypadkowi tworzenie takich arcydzieł. Kiedy ręką chwyciłem materiał, oczy zaślepiły mi reflektory.

Jeszcze nie teraz, Feliks.

Jeszcze nie teraz.

Nie teraz.

17. Antoni, Boży Stróżu mój

Wróciłem do żywych oślepiiony białym rażącym światłem, które smagało mnie po oczach. Nade mną dwie osoby w lekarskich kitlach. Powiedziałbym, że lekarze, ale nie znałem ich metod. Mogli równie dobrze być zakamuflowanymi konowalami w białych fartuszkach, jak ten welon, co go prawie ściągnąłem z twarzy tamtej dziewczyny. Uratowali mnie, to było najważniejsze.

– Proszę spokojnie leżeć i odpoczywać – powiedział starszy lekarz z wczorajszym zarostem.

Chciałem się odezwać, ale miałem jakieś ustrojstwo od klatki po czubek głowy. Wszędzie rurki, węże i kropiółki. Kable i konsole, ekrany i zasłony w oknach. Byłem jak dzikie zwierzę złapane w sidła, w skomplikowane sieci klatki, która dusiła mnie w swoich bambusowych kleszczach powiązanych roślinnymi linami. Twarz miałem tak zmasakrowaną, że nawet rodzina nie rozpoznałaby we mnie Feliksa Nero. To wysoka cena jak na anonimowość.

Dwóch lekarzy ciągle stało nade mną. Ten starszy chyba kończył nocny dyżur.

– W porę pana dowieźli – wyraził się o mnie jak o pizzy na wynos. – Pół godziny dłużej i nie oplacaloby się podłączać sprzętu. Na szczęście płukanie żołądka przebiegło bez żadnych skutków ubocznych i wybudził się pan.

– Dziękuję, panowie. Ile spałem?

Młodszy lekarz o oczach zielonych jak ściany wokół nas, jak u Antonowa – zerknął na zegarek.

– Regenerował się pan przez ostatnie dwadzieścia godzin. Wyspany?

– Jak niemowlę wciśnięte pomiędzy parę obfitych piersi...

– Cieszę się, że panu humor wraca. Ma pan bardzo mocny organizm. Trochę będzie pan dochodził do siebie, ale myślę, że jutro rano wypuścimy pana do domu. Czekamy tylko na wyniki i na to, czy przyjmie pan lekki posiłek bez większych problemów.

– Jeszcze raz dziękuję – próbowałem się uśmiechnąć, lecz twarz mi na to nie pozwalała. Ale oni się uśmiechnęli.

Wykonali kawał dobrej roboty. Anioły. Czapki z głów. Morowe chłopaki. Wyszli, zostawiając mnie samego. Wziąłem pilot i odsłoniłem zasłony. Za oknem księżyc nie miał ciemnej strony. Żółta kulka na

nieboskłonie wydawała się galką lodów zabajone. Prawie ułożyłem sobie wiersz w głowie, ale przerwał mi dźwięk otwieranych drzwi.

Antoni w odzieży ochronnej usiadł w fotelu w rogu sali. W tym jednorazowym czepku na głowie wyglądał, jakby odbywał praktyki w mięsnym. Chciałem wyrazić wdzięczność, ale chłopak uniósł dłoń i dał mi do zrozumienia, że ceregiele możemy zostawić na inną okazję.

– Jestem zobowiązany za to... – wskazałem na aparaturę i równe bicie serca. – Dlaczego mnie śledzilesz?

– Mogę użyć metafory?

– Jeśli musisz, Puszkina.

– W tym labiryncie biegniemy mniej więcej po to samo. Drogi policji, służb, mafii krzyżują się nieraz.

– Antoni, skończ to pierdolenie, bo znów mnie zemdle na dwadzieścia godzin. Włodek o to prosił?

– Dokładnie. Po rozpracowaniu Pirletiego wetknęliśmy kij w mrowisko i okazało się, że mamy z Włodkiem i agencją sporo wspólnego.

– Za wysokie progi na wasze giry, Antoni. Nie wiesz, z kim macie do czynienia – westchnąłem.

– Wojna za miedzą, jeśli na jaw wyjdą powiązania kontrwywiadu z Rosjanami... Musi dojść do czystki w Polsce.

– Mówisz o Brausenbergu Security? – dopytałem.

– O nich i o szarej eminencji, jak mu tam... Wasyl Antonow. – To nazwisko przeszło dreszczem po moich plecach. – Gdy zlokalizujemy komórkę Brausenberga i połączymy z tym Antonowa, nie będzie o czym gadać.

– Jeden Pirletti wiosny nie czyni, ale to dobry początek – nacisnąłem guzik i podniosłem oparcie.

W pozycji siedzącej lepiej widziałem Antoniego i jego dłonie na drewnianych oparciach. Lekka kurtka marszczyła mu się na piersi. Guziki koszuli miał zapięte prawie wszystkie. Wstał i podszedł do łóżka, wlepiając wzrok w ekraniki aparatury.

– Jesteś za młody, by wiedzieć, że kijem Wisły nie zawrócisz, rozumiem to – ciągnąłem – ale jeśli się stoi po dobrej stronie, to i umiera się w jakimś celu.

– Mówiłeś, że jesteś zobowiązany. Miałbym prośbę – przerwał moją gadaninę.

– Cokolwiek...

– Muszę namierzyć Antonowa i jakichś członków Brausenberga. Gdzie mogę zacząć?

– Antonow mnie tak urządził, więc nie może być daleko, ma układ z ABW, więc raz na jakiś czas wychyla się z podziemi. Co do Brausenberga Security, parę dni temu wyciągałem informacje od Michała Bąka, byłego komandosa, upozorowano jego śmierć w Afganistanie i wcielono do jednostek Antonowa.

– Gdzie go znajdę?

– Obawiam się, że tym razem śmierć była autentyczna.

– Co dalej? – oczy Antoniego zaczęły się tlić.

– Mają zarejestrowaną agencję ochrony. Mają też siedzibę firmy, gdzie może być ośrodek szkoleniowy. Werbują wśród komandosów, sfingowanych trupów i niewyżytych oficerów kontrwywiadu.

– Masz jakiegokolwiek informacje, gdzie to może być?

– Na pewno wschodnia ściana. Celowałbym w Obwód Kaliningradzki, dzika Warmia, te tereny. Znikomy przemysł, z dala od autostrad, prokomunistyczne władze, bieda. Sprzyjające warunki.

Nie był zadowolony, nic właściwie mu nie powiedziałem.

– Jest jeszcze coś. Coś, po co ja przyjechałem – ciągnąłem.

Ścisnęło mnie w klatce. Aparatura wydała kilka wyższych dźwięków. Po chwili ucisk ustąpił i pozwolił mi zebrać myśli do jednej stajni. Antoni dał mi chwilę. Wyłożyłem mu, czego nie powinienem mówić nawet własnej babce. Ten człowiek uratował mi życie i nie był nachalny w prośbach o rewanż. Doceniałem to, a także jego szczerość. I poczucie misji, jaka towarzyszy młodym, którym baronowie tego świata nie zdążyli wmówić, że po puszcze Pandory nie ma już co zbierać.

W imię tego, że jest o co się bić, a może i z naiwności lub traumy po płukance żołądka, rozwiązałem język, jakbym był na ploteczkach u paryskiego towarzystwa z ksiązek Balzaca.

– Przez ostatnie dni po Warszawie biega kilka wywiadów równocześnie. Chociaż robię dla Włochów, Włodek prosił o pomoc, to pomagałem. Biegają Grecy i Izraelczycy. Szukamy listy Pirlettiego, czyli spisu nazwisk i danych ludzi zamieszanych w fundusz inwestycyjny Pirlettiego. Podejrzewamy, że w skład tego grona wchodzi handlarze bronią, zamachowcy i ludzie mafii, których cudownie połączył Pirletti w jedno kółko wzajemnej adoracji.

– A co z ABW i Brausenberga?

– Brausenberga to rosyjskie służby, które przy infiltracji lub pomocy ABW skutecznie chroniły Pirlettiego na terenie Polski. Dopóki...

– ...nie wmieszaliśmy się my i nie zgarnęliśmy Pirlettiego – dokończył Antoni.

– Ktoś od połączonych sił Rosjan i ABW nie ogarnął w porę, że jakieś policyjne orły znalazły solidne haki na Pirlettiego i szykują ekstradycję w ekspresowym tempie.

– Nie wiedzieliśmy nic o żadnej liście.

– Skąd niby mielibyście wiedzieć? To już broszka na poziomie wywiadowczym. Pirletti zresztą bardzo dbał, by w razie wpadki zarzuty dotyczyły wyłącznie przestępstw podatkowych lub w najgorszym wypadku prania pieniędzy. Przy jego wpływach to nawet nie są poważne zarzuty.

– Sprytna bestia. Co zrobią z nim Włosi?

– Tego nie wiedzą nawet najstarsi Indianie. Wiem tylko, że chodzi o listę. Pirletti obracał kasą, nie ma możliwości powiązać go z zamachami i handlem bronią. Pierdolona lista dałaby nam odpowiedzi...

– Z naszej strony wszystko poszło zgodnie z planem. – Antoni usiadł na krześle tuż przy łóżku.

– Jest jeszcze coś...

Antoniemu mózg działał na najwyższych obrotach. Poznałem po czole, na którym pojawiło się kilka poziomych kresiek, i oczach utkwionych w poręczy łóżka. Nie odrywał wzroku przez dłuższą chwilę. Wyglądał jak słynna rzeźba Rodina. Zamyślony Antoni z zaciśniętą dłońią, której kostki podparły zmęczony podbródek. Procesował zestaw informacji z ust człowieka, który kiedyś zajmował się najbardziej zakłamanym fachem na planecie. Chyba mi ufał, uratował i pilnował, by nie pojawili się inni mundurowi. Zo opiekowany jak angielska królowa, nie przerywałem mu w tworzeniu nowych połączeń neuronowych.

– Słucham? – powrócił myślami do szpitalnej sali.

– Wiem, że szykuje się próba odbicia Pirlettiego podczas konwoju policyjnego na lotnisko.

– Można się tego było spodziewać. Kto chce go odbić?

– Izraelczycy. Nie tyle odbić, co sprzątnąć. Chcą też sprzątnąć ludzi greckiego wywiadu i poniekąd mnie, ale się zawahali. To skomplikowane. Nie idźmy w to.

– To już... – szybko obliczył – jutro. Co zamierzasz?

– Być w pierwszym szeregu i biec na bagnety. Myślisz, że po co ledwo uszedłem z życiem?

– Nie znamy się długo, ale zgaduję, że nie po to, by je szanować.

– Szanować szanuję, ale będzie tam bliska mi osoba. Za nią idę w ogień. Ty usuń waszych ludzi z widoku, niech nie zgrywają bohaterów.

Trup i tak ścielił się za gęsto. Gdziekolwiek się wybrałem, ktoś machał klamką i rozdawał ołów. Między nami, tajnymi służbami, to normalne, więc życie pocziwych glin cenilem wyżej niż tych, którzy brali się za szpiegostwo. Zapewne dlatego cenilem Antoniego. I choć szczeniak irytował mnie, bo był sprawniejszy i młodszy, to z całego serca życzyłem mu spokojnej starości. Wybrałem inną drogę, która nie dawała czystego sumienia pod koniec dnia przy rozpalonym kominku. Mogłem co najwyżej skończyć w kominku, prażony żywcem.

Spojrzałem na Antoniego, który zbierał się do wyjścia.

– Niech zgadnę, jeszcze raz mnie zobaczysz, trafię za kratki – udało mi się uśmiechnąć.

– Ufam Karmelowi, a on ma o tobie dobre zdanie. Mówi, że na swój sposób wykonujesz dobrą robotę.

– Co ty powiesz...

– Tylko jedno mnie zastanawia.

– ?

– Jak uszedłeś z życiem z rąk Kidonu? Znam tych ludzi z książek i miejskich legend. To zabójcy.

– Nie przebierają w zadawaniu ciosów, zgoda – przytaknąłem. – Są mściwi, ale i pamiętliwi. Pamiętają wyrządzone im zło, ale i dobro.

– Co dobrego mógł zrobić były agent wywiadu dla Izraela? – zakpił Antoni.

– Osobiście nic, ale mój dziadek zrobił sporo dobrego dla jednej żydowskiej rodziny... Stare dzieje...

Niby się zbierał, ale został, by posłuchać historii. Opowiedziałem mu o moim dziadku, który pomagał Żydom w czasie wojny.

– Dziadek Józef był ułanem z prawdziwego zdarzenia. Nie mam nawet ułamka jego finezji i fantazji. Młody Józef robił jakieś niejasne biznesy, handlując towarami z Argentyny. Nienawidził Rosjan i gdy stało się jasne, że szykuje się wojna, przeniósł aktywa do Włoch. Swoich najważniejszych aktywów, czyli serca i przyrodzenia, nie włożył w złoto czy akcje, ale w babcię, która pochodziła z Bolonii, tak jak Pasolini. Miała na imię Francesca i poza pełnymi biodrami posiadała głos, który nigdy nie skalał się szeptem. Trudna miłość, bo na wymuszoną odległość. Wojna uwięziła go na parę lat w Polsce, gdzie nie miał zamiaru próżnować. Pomagał partyzantom, ukrywał rodzinę żydowską, której nie udało się w porę uciec do Stanów, szmuglował rzeczy przez zieloną granicę. Kiedy Włochy wzięły rozwód z Hitlerem, pojawiła się szansa na wspólną pościel z babką Francescą. Najpierw załatwił ucieczkę tej żydowskiej rodzinie – przysyłał później kartki z Brooklynu, a potem zaciągnął się do wojska i walczył między innymi pod Monte Cassino. Tak w końcu dotarł do babci. Opowiadał, że z ich spotkania pamięta tylko, że miała w pokoju długi gwóźdź, na który nabijała jego miłosne listy. Pobrali się, jak tylko złapali głębszy oddech po miłosnej gimnastyce.

– Co to ma do Kidonu? – zapytał Antoni.

– Antonio! – zawołałem w włoskim akcentem. – Spokojnie. Spieszysz się gdzieś? Okazało się, że ci Żydzi, którym dziadek pomógł, nie byli zwykłymi zjadaczami wszystkiego, co koszerne. Byli to bliscy

krewni szlachetnego żydowskiego rodu, z którego wywodzi się rabin Jozue Gaunheim.

– Nic mi to nie mówi... Czekaj...

– Dlatego śpisz spokojnie i nie masz większych zmartwień w życiu – przerwałem mu. – Żydzi, jak przystało na naród wybrany, mają doskonałą pamięć i, jak mówiłem, nie zapominają wyrządzonego im zła, ale i dobra. Ich wdzięczność sięga kilku pokoleń do przodu, dlatego na terenie rabina nie spadnie mi włos z głowy, nawet jeśli miewamy sprzeczne interesy.

– Chwila, rabin Gaunheim... Mówisz o przelozonym synagogi przy Grzybowskiej?

– Zapytaj Google, nie wiem, czym on oficjalnie zarządza. Szanuję, ale pilnuję, by nam się drogi nie krzyżowały.

Antoniemu na nowo zapłonęła czaszka, ale nie pytał dalej. Widział, że każde kolejne zdanie męczy mój osłabiony organizm. Dochodziła siódma, a ja po około dwudziestogodzinnej drzemce nadal miałem ochotę na sen.

– Do następnego, Feliks.

– Nie będzie następnego, Antoni, jeszcze raz dziękuję – koniec zdania już wyszeptalem, zapadając w błogi sen.

Wyszedł, zamykając mleczne drzwi. Zanim zupełnie pograżyłem się w sennej otchłani, zerknąłem za okno. Sala była na parterze, więc z wyskoczeniem nie powinno być problemu. Rozsunąłem zasłony do końca, by obudziło mnie wschodzące słońce, i zasnąłem, cichutko popijając kroplówkę. Nawet w najśmielszych marzeniach nie spodziewałem się, że zielona noc w ojczyźnie będzie taka spokojna. Rozlałem się na łóżku i cieszyłem chwilą oddechu. Rano znowu ruszę w miasto.

18. Grunwald Pirlettego

Ze szpitala wyszedłem na własne żądanie, odłączając aparaturę i wyskakując przez okno. Nie udało mi się zostawić bombonierki dla lekarza, bo stawiam drinka temu, który znajdzie otwarte delikatesy o szóstej rano. Doczłapałem się do audi w kombi, które zaczęła zżerać rdza nad tylnymi kołami. Nie miałem żadnych problemów z odpaleniem, a silnik chodził równo jak na niemieckiego diesla przystało. Z tego powodu czuję sentyment do samochodów sprzed ery totalnej komputeryzacji, która zmusiła włamywaczy do kursów IT przed rozpoczęciem szaberku na pełny etat.

Warszawskie ulice kąpały się w słońcu, a wieżowce grały jego blaskiem w ping-ponga, odbijając światło od swoich szklanych brył. Jechałem, budząc się niczym z zimowego snu. Popijałem elektrolity z podwójną solą, przerywając tę przyjemność odruchami wymiotnymi. Bogu dzięki udało się nie zafajdać przedniej konsoli. Gdy za parę dni znajdą to auto, będzie w dobrym stanie. Podążyłem Rakowcem w stronę Okęcia.

Gdziekolwiek bym zaparkował, słońce biło po twarzy. Spojrzałem w lusterko, w którym zwykle się sprawdza, czy szminka równo kryje, ale mojej obitej twarzy nie pomogłyby nawet słynne szminki z Londynu. Ludzie Antonowa potrafili zmienić ludzką twarz w pęknięty kubek na zmieszane. Żywiłem nadzieję, że do wesela się zagoi. Teraz szukałem dobrego miejsca na obserwację wzdłuż trasy na lotnisko Chopina.

Przycupnąłem na Żwirki i Wigury, przy bocznej uliczce wjeżdżającej na osiedle. Przede mną ciągnęły się dwie dwupasmówki na lotnisko, przedzielone szerokim pasem zieleni, na którym w małych odstępach rosły drzewa. Lato w pełni rozłożyło gałęzie tych drzew, tworząc zieloną ścianę pomiędzy samochodami jadącymi w przeciwnych kierunkach. Spojrzałem na zegarek przy tarczy prędkości. Do przejazdu konwoju z Pirlettim zostało niecałe siedem minut.

Odsunąłem fotel maksymalnie do tyłu i opuściłem oparcie do pozycji półleżącej. Na tylnej kanapie wisiał pokrowiec na haczyku, a w nim garnitur jakiejś sieciówki i biała koszula z bawełny dobrej jakości. Założyłem koszulę. Była tak dopasowana, jakby mi ją krawiec kroił na zamówienie. Właściciel auta musiał być jakimś przedstawicielem handlowym z ciągotami do podnoszenia ciężarów. Podwinąłem rękawy, zerkając na zegarek. Zostało pięć minut.

Włączyłem radio, ale wytrzymałem tylko kilka sekund porannych wiadomości. Ktoś tam kogoś zabił, ktoś tam zachachmęcił forszę, ktoś tam się zderzył czołowo na trasie do Krakowa i poszedł do nieba. Włączyłem stację z muzyką klasyczną. W każdym kraju jest taka, która gra klasykę przez cały dzień i całą noc. Leciała *Piąta symfonia* Beethovena w wykonaniu Filharmoników Wiedeńskich. System audio wypełnił kabinę, pozwalając mi zanurzyć się w jednej z najbardziej rozpoznawalnych symfonii w historii. Mógłbym tak godzinami, ale przyciszyłem na widok wskazówek zegara. Do przejazdu zostały niecałe dwie minuty.

Czułem się jak na imieninach, na które przyszedłem z pustymi rękami. Żadnych gadżetów, rakiet czy choćby granatów. Nie miałem nawet beretty. W rękach trzymałem tylko drewniany wieszak po koszuli, który przypominał mi drewnianą pałkę, jaką lał nas po łapach nauczyciel od historii. Odłożyłem wieszak na tylną kanapę, bo konwój z Pirlettim powinien pojawić się za niecałą minutę.

Ulica była pusta jak prowincjonalne miasteczka w niedzielne popołudnia. Nikt nie jechał na lotnisko, nikt nie witał się z aleją Żwirki i Wigury. Słoneczko próbowało topić asfalt, ale nie miało już mocy z lipca czy czerwca. W ciszy poranka zacząłem obserwować konwój, który dostrzegłem w lusterku wstecznym. Nadjeżdżał Pirletti zapuszkowany jak groszek gotowy do zdjęcia z półki. Znałem kilku chętnych.

Minęło mnie pierwsze czarne audi, potem drugie, następnie radiowóz, a za nim opancerzony wóz. Za ciężarówką z Pirlettim ciągnęły się kolejne beemki i radiowozy. W sumie z siedem aut. Prezydent Stanów ma mniej liczebną świtę, kiedy bywa w Polsce. Jechali spokojnie, dostojnie i bez pośpiechu. Bez sygnałów dźwiękowych, z wolno obracającymi się kogutami na woskowanych dachach. Skąd mogli wiedzieć...

Gdy ostatnie auto konwoju minęło uliczkę, gdzie stałem, odpaliłem silnik. Wyjechałem z uliczki na trasę i trzymałem się w bezpiecznej odległości od konwoju. Sunęliśmy w ciszy, konwój i ja na ogonie, zupełnie jak na niewinnej niedzielnej przejażdżce przystało. Konwój dojechał do skrzyżowania i trafiał na zielone. Kiedy opancerzona ciężarówka była na środku sporego skrzyżowania, ja dojeżdżałem do przejścia dla pieszych. Zanim wjechałem na skrzyżowanie, żółte zmieniło się na czerwone. Wcisnąłem hamulec i spojrzałem na sygnalizację wysoko nad ziemią. W tle stał hotel, jeden z tych wielkich molochów dla pracowników na służbowych wyjazdach. Byle bryła, byle blisko do lotniska. W jednym z balkonów zamajaczyła postać w czarnej kominiarce.

Czas na fajerwerki.

Wszystko potoczyło się jak przedwczesny wytrysk. Nie ma czasu zorientować się, co się tak naprawdę stało. W milisekundach nastąpiło kilka rzeczy naraz.

Postać w kominiarce wyjęła coś w rodzaju podręcznej wyrzutni raketowej albo cokolwiek, co przygotowali im głęboko w Izraelu. Pocisk pofrunął w stronę pancernego wozu, uderzając w jego koła i wyrcając na bok. Szurnął po asfalcie jeszcze kilka metrów, zanim się zatrzymał. Z aut wysypali się ochroniarze i przypuścili ostrzał balkonu. Nie szli jednak po całości, w hotelu mogli być zwykli goście. Jedno audi ruszyło w stronę hotelu w poszukiwaniu człowieka bawiącego się w ISIS. Reszta była zajęta ogarnianiem skrzyżowania, którego nie było już widać.

W momencie gdy rakietę wyrzuciła ciężarówkę, na skrzyżowanie wjechały dwa auta z przeciwnych stron i poleciały z nich granaty – ogluszające, później dymne – zanim jeszcze gliny otworzyły ogień. Po kilku sekundach skrzyżowanie zamieniło się w biały obłok, którego nie przebijały nawet przeciwne reflektory aut.

Do tej pory czekałem, siedząc wygodnie jak w kinie. Brakowało tylko słodzonej wody gazowanej i tych łusek popcornu, co stają na podniebieniu. Efekty specjalne były na najwyższym poziomie. Z aut poszedł ogień, gęsty i taki, co nie przebiera w trupach. Do przyjazdu posiłków minęły może dwie, może trzy minuty. Z prawej wysiadła Helena w kamizelce kuloodpornej, ze sprzętem otwierającym pancerne zabezpieczenia. Ruszyła w stronę obłoków, gdzie musiała stać ciężarówka z Pirlettim. Z lewej strony rozległy się strzały. Zobaczyłem Izaaka, jak wybiega z auta prosto w obłok dymu. Morderca Kidonu biegł w stronę ciężarówki, której położenie zapamiętałem. Mogłem przewidzieć jego trajektorię. Biegł prosto do Heleny i Pirlettiego.

Nie czekałem.

Gdybym brał udział w bitwie takiej jak z Tolkiena, siedziałbym na białym koniu i trzymałbym oburącz miecz długości przeciętnego Indianina. Drąg byłby ze szczerzego srebra i ważyłby z osiem kilo. Niestety, siedziałem tylko w audi i nie miałem nawet sploty. Wdepnąłem gaz do dechy. Izaak był mój. Obiecałem to sobie.

Wjechałem w obłok, licząc na cud. Niezachwianej wierze pomogły na szybko robione obliczenia. Jeśli biegł w prawo ile sił w nogach, a ja przyspieszałem w pięć sekund do setki, musieliśmy się złapać gdzieś w okolicach ukrytej w gęstej mgle ciężarówki. Dym jak mleko zalał skrzyżowanie. Miałem tylko przypuszczenia i nadzieję. O pudle nie mogło być mowy.

Wparowałem w obłok sekundę przed uderzeniem, zobaczyłem zmieszaną twarz Izaaka, którą w ostatniej chwili zdążył obrócić w stronę pędzącego auta. Nie zdążył nawet obrócić sploty w moją stronę. Przez ułamek sekundy nasze spojrzenia skrzyżowały się, iskrząc jak przy uderzeniu dwóch kawałków krzemienia. Przytulił maskę mojego samochodu, odbił się od przedniej szyby i pofrunął w powietrze. Poleciał wyżej, niżbym się spodziewał. Przysięgam, przez sekundę zobaczyłem orła cień, który wzbił się niczym...

Wysiadłem, nie czekając, aż spadnie na ziemię. Możliwe, że jego bóg wojny od razu zabrał go do siebie. W mgle i zgiełku nie widziałem nic, jedynie skromną berettę na ziemi, o którą się potknąłem, a którą Izaak pozostawił po sobie przed wniebowzięciem. Podniosłem z ziemi to, co pozostało po izraelskim oprawcy.

Zacząłem wykrzykiwać imię Heleny i wołać, żeby nie strzelała, jak zobaczy postać wylaniającą się z obłoku. Dobięgam do ciężarówki i zastałem tam niespodziankę jak dwie kreski na teście, jak nazwisko na liście przyjętych na studia.

Zewsząd rozległy się strzały i usłyszałem, jak Antoni wydaje rozkazy. Gdzieś dalej, poza mgłą, stały radiowozy, zza których otworzyli ogień. Kule świszczały nad głową, gdy wskoczyłem do otwartej ciężar-

rówki, bo nie miała już drzwi, leżały wysadzone kilka metrów dalej. Dym się rozrzedzał, gdy szarpnąłem Helenę za rękę.

– To koniec, Helena, to koniec! Jebać listę! Chodź! – krzyczałem.

Obróciła się w moją stronę. Byłem zaskoczony jak jedną kreską na teście czy brakiem mojego nazwiska na liście przyjętych na studia. Trzymałem za rękę hitmankę Kidonu. Wstała znad dwóch ciał, z nożem, który ociekał krwią. Z tego, co dostrzegłem kątem oka, Pirletti miał otwarte gardło. Nadzieja gasła mi w oczach.

Chrzanić listę! Gdzie Helena?!, myślałem gorączkowo.

Nie było czasu. Szarpnięta ręka izraelskiej agentki pozwoliła jej się obrócić i wytrącić mi pistolet z ręki. Wyprowadziła cios jeszcze ciepłym nożem. Jego ostrze przecięło materiał na moim ramieniu, nie trafiając w biceps. Za każdy najmniejszy błąd się płaci, wiedziała to. Nie biję kobiet, słowo. Zamknąłem oczy, gdy...

Kupiłem sobie jakieś półtorej sekundy. Przeskoczyłem ciało Pirlettiego, szukając Heleny. Ze dwa metry dalej leżała na brzuchu, z głową ułożoną tak, jakby drzemała. Nie widziałem twarzy przez pierdoloną mgłę i kule, które grały na blachach aut. Nadzieja już nie gasła. Odplynęła daleko, tak daleko, że nie było jej już widać. Ścisnęło mnie w klatce piersiowej. Świat na sekundę się zatrzymał. Właściwie mógłby przestać istnieć.

Blondyna z Kidonu otrząsnęła się, wstała i skoczyła w moją stronę, próbując ponownie odebrać mi życie. Gdzieś wymacała pistolet. Wszystko jedno. Spojrzałem na Helenę leżącą na ziemi, a kiedy się obróciłem, beretta celowała we mnie. Nagle wypadła blondynie z ręki. Zamiast usłyszeć strzał, zobaczyłem, jak ją dopadają na ślepo wystrzeliwane kule policji – dwie dostała w nerki i jedną, decydującą, w okolicę mostka. Mgła zaczęła znikać w zastraszającym tempie. Zanim doczołgałem się do Heleny, podjechały dwa auta, z którego wysypało się kilku Greków. *Za późno, panowie*, pomyślałem. Odciągnęli mnie, nie pozwalając dotknąć jej ciała. Zobaczyć jej twarzy po raz ostatni. Powiedzieć jej, że chyba nigdy nie kochałem i zupełnie nie wiem, jak sobie z tym radzić.

Ostrzał nieco ucichł. W ruch poszły kolejne granaty. W oddali jęczały syreny. Słychać było greckie komendy.auta wyjeżdżały, każde w innym kierunku. Policja nie wiedziała, które ściagać. Jednostki specjalne były spóźnione. W tym wszystkim ja rzucający kłótniami pod niebiosa z tylnego siedzenia.

Miałeś, Feliks, wyciągnąć listę i się zawijać. Miałeś tak niewiele do zrobienia. Po prostu wykonać niewykonalne i nie angażować się. Nie zginąć z rąk ABW. Nie ufać pięknym Greczynkom. Milion rzeczy, Feliks. Co poszło nie tak?

Gdzieś za nami pędziły radiowozy. Z kolejnych ulic wyjeżdżały identyczne auta i rozjeżdżały się w przeciwnych kierunkach. Po kilku zakrętach plecy naszego auta były czyste. Wjechaliśmy do podziemnego parkingu jednego z biurowców i mieliśmy dobrych kilkanaście minut na ewakuację przed tym, jak sprawdzą monitoring miejski i kamery budynku, od których odwracali twarze greccy najemnicy. Nie wiedzieli nawet, że nie jestem z nimi. Mieli tylko ewakuować Helenę i kogokolwiek, kto jej pomagał, z miejsca przechwycenia Pirlettiego. Tymczasem ona leżała tam, na asfalcie, zbierana przez brudne łapy agentów kontrwywiadu.

Pożegnałem Greków, którzy w gnieniu oka rozplynęli się w powietrzu. Zatrzymałem taksówkę i pojechałem prosto do włoskiego krawca, głęboko na obrzeżach, gdzie mogłem bezpiecznie skontaktować się z Włochami. Nie miałem do przekazania dobrych wieści, ale tego zapewne Włosi dowiedzieli się już z telewizji. Jechałem jak na gilotynie, prosząc kierowcę o ściszenie radia. Pod powiekami wciąż

widziałem głowę Heleny, ukrytą w gąszczu kręconych włosów. „Nigdy nie angażuj się osobiście”, mówili wieki temu na wszystkich szkoleniach, nie rozumiejąc, że jak spotykasz dziewczynę spod białego greckiego kościółka, to po prostu wiesz. Wiesz, że wszystko, czym żyłeś dotychczas, było sennym złudzeniem kogoś, kto bez celu biega z klamką po świecie, bawiąc się w policjantów i złodziei. Mówili mi, że się nie nadaje. Nie pamiętam, co mówili dokładnie, nie słuchałem. Mogli mieć rację. Sam już nie wiedziałem. Kim zresztą byli ci wszyscy z mojej przeszłości? Kaci, ofiary i mentorzy, klienci, bracia i wrogowie. Ich sylwetek i tak bym nie dostrzegł, wpatrzony w dzikość między jej obojczykami. Straciłem z oczu większość nieistotnych rzeczy, jakbym podolał nastawić ostrość w manualnym obiektywie analogowego aparatu. Zbliżenie na jej policzek, na kosmyk włosów, który na nim tańczy i wpada do ust. Jak zostaje wyproszony przez wargi i ten oddech, którego nie zapomnę.

Gdzieś z lewej pojawiły się białe cumulusy na błękitnym niebie. Wędrowały po nieboskłonie.

– Niech pan jednak podgłośni, prosilibym.

Z radia poleciała południowa muzyka, żywa i zadziorna jak południowe dziewczyny. Znowu zamknąłem oczy i zobaczyłem Helenę, jak tańczy na białym tarasie z widokiem na pasmo górskie. W tle masyw Olimpu. Ona w przewiewnej sukience z kieliszkiem w ręku. Zrzuca sandały, by stawiać bosc stopy na kamiennej posadzce. Jej uśmiech jak miliard dolarów w obligacjach zabezpieczonych przed inflacją. Zaproszony do tańca, wstaje znad talerza jagnięciny i biorę ją w ramiona, stawiam kilka niezgrabnych kroków. Prowadzę pewnie, jakbym miał to we krwi, a przecież nie mam. Jestem jakąś dziwną hybrydą polskości z domieszką włoskiej krwi, która nie wyssała tańca z mlekiem, moich pierwszych kroków nie uczyła mnie żadna z odmian salsy, jak Meksykanina czy Kubańczyka. Taniec był mi obcy, ale musiałem nauczyć się nim posługiwać. A ta Greczynka, która jak każdy Grek gardziła zorzą, miała we krwi rytm ludowego tańca swojego regionu, swojego archipelagu Santorini. Antyczny platoński przykaz, że tańczyć i śpiewać trzeba po prostu umieć i koniec. I tak porwany jej rozkołysanym światem, parłem w głąb białego parkietu, odbijając się od parapetów falującymi końcówkami lnianych spodni. Z uśmiechem chłonałem jej zapach, jej uśmiech, język między białymi zębami i te włosy upięte z tyłu, trzymane na wodzy, poskromione jak jeden z żywiołów.

Otworzyłem oczy, kiedy taksówkarz zakomunikował przybycie na miejsce. Wysiadłem i powlokłem się w stronę zakładu usług krawieckich „Giovanni”, gdzie czekał telefon do wykonania.

19. Tak bez pożegnania?

Starszy włoski dziadzius zaprosił mnie na zaplecze. Raczej nie był z mafii. Po prostu z jakiegoś powodu ukochał Warszawę i prowadził tu swój krawiecki zakładzik. Miał białe włosy zaczesane do tyłu i okulary na sznurku. Był niziutki, ale z pełnym wigorem poruszał się wokół kawiarki.

– Café?

– Certo, pewnie. – Jego uprzejmość mnie uspokoiła.

Nastawił kawiarkę i pokazał telefon.

– Tutaj może pan zadzwonić. Zaraz wracam.

Posłałem mu na pół wymuszony uśmiech. Czuję się jak ojciec przed wywiadówką. *Lasciate ogni speranza*¹², jak to mówił Dante. Wykręciłem numer awaryjny na średniowiecznym telefonie i po sześciu

sygnałach usłyszałem głos Robertiniego, który próbował coś powiedzieć, jednocześnie kończąc zapewne pistacjowego *cornetto*¹². Tak przynajmniej to brzmiało.

– *Salve*¹⁴, Feliks z tej strony, dzwonię z Warszawy.

– Przecież wiem...

– Włodek Karmel przeszedł na współpracę z kontrwywiadem. Tymczasowo. Szykują się porządki w polskich służbach, ale nie mam zamiaru brać w tym udziału.

– Zatem wszystkie warszawskie zabezpieczenia są spalone. Mamy dwie minuty na linii, potem opuść zakład.

– Jest gorzej, o wiele gorzej – zerknąłem na zegarek, by odliczyć półtorej minuty.

– O czym ty mówisz? Za trzy godziny będziemy mieli Pirlettiego na talerzu, brawo.

– Nie miałem nic wspólnego z ujęciem Pirlettiiego, gorzej, zostałem powiązany z nim i teraz poluje na mnie polski kontrwywiad.

– Ewakuuj się – poradził Robertini, jakby to było takie proste.

– Jest jeszcze coś... – zawahałem się – przed chwilą odbijali konwój z Pirlettim.

Odpowiedziała mi cisza. Mógł dostać zawału, mógł się przekręcić, miał swoje lata. Kontynuowałem mimo to.

– Na Pirlettiiego polował Mossad, a na listę czaili się wszyscy, w tym Grecy. Listę ma Mossad, a Pirlletti... Pirlletti nie żyje...

Czułem, jak mu żyła pęka na czole. Jak zaciska zęby, wyłącza mikrofon i rzuca filiżanką w ścianę. Po chwili włączył mikrofon i kontynuował spokojnym głosem, jakbyśmy tak sobie zwyczajnie narzekali na wysokie podatki.

– Najlepiej jakbyśmy dostali Pirlettiiego, wyciągnęli informacje. W tym wypadku zostaje prześledzenie źródeł, które mogą nas doprowadzić do listy, bo na Mossad liczyć nie możemy...

– Za gęsto się zrobiło w Warszawie, niech ludzie w Beneluksie wezmą się do roboty.

– A co z tą Greczynką, Strapolous? Ona może nas doprowadzić do listy...

– Kidon ją dopadł... – głos mi ugrzązł w gardle.

– Wykonam kilka telefonów i zobaczymy, co da się zrobić. Zawijaj z powrotem do Italii, zanim cię dopadną ci wariaci z Kidonu.

Rozłączyłem się i zerknąłem na zegarek. Miałem trzydzieści sekund. Wykręciłem kolejny numer.

– Halo?

– Blue City, będę czekać.

– Dopiero zaczęliśmy sprzątać, ale dobrze, że dzwonisz, bo też mam sprawę, może mógłbyś pomóc...

– Nie ociągaj się, w nocy wyjeżdżam z Polski... – Rozłączyłem się na widok wskazówki, która przekroczyła dwunastkę.

Kawa zabulgotała w kawiarence, przywołując dziadka na zaplecze. Rozlał kawę do małych filiżaneczek. Wychyliłem na raz, popiłem wodą. Dziadek jeszcze posłodził i poszedł za moim przykładem. Spojrzałem w jego bystre pomimo wieku oczy.

– Miałbym prośbę – zacząłem.

– Kazali dać, co tylko będziesz chciał – powiedział, wycierając usta.

– Jakiegoś fiacika pan ma na wydanie?

Podał mi kluczyki i otworzył tylne drzwi zakładu. Wypuszczając mnie, pokazał palcem, gdzie zaparkował.

– Jak tu przyjadą panowie w garniturach i będą węszyć, niech pan udaje idiotę – poradziłem.

Pozdrowiłem go i czułem jego oczy na plecach, odprowadzał mnie wzrokiem. Jednak można dożyć spokojnej starości, nie było jeszcze tak źle w tym całym labiryncie. Wsiadłem w golfa, dziękując Bogu, że nigdy nikt nie zwróci na mnie uwagi w tym aucie. Zostało mi tylko pożegnać Helenę i ewakuować się z kraju moich przodków.

Na Antoniego czekałem kilka dobrych godzin. Na dachu jednak ruch był minimalny. Co jakiś czas jakaś rodzinka targająca zakupy do jednego z modnych miejskich SUV-ów. Podjechał nawet jakiś diler, który handlował syfem trzymanym w gaciach. Wyszedł do niego dzieciak, ściskając jeszcze ciepłą torbę w dłoni. Dla rekreacji, wiadomo. Wcześniej to bym pogonił dziada, ale dopadała mnie rozpacz i nie w głowie mi było strofowanie narkotykowych przedsiębiorców. Musiałem się z tego otrząsnąć, z myśli, że jestem winny śmierci Heleny, choć rozsądek mówił, że każdy grał tu w swoją grę. Każdy ryzykował swoją skórę.

Zamknąłem oczy i próbowałem się zdrzemnąć. Pamiętam, jak mi powtarzała babka, że sen to lek na większość naszych chorób. Pamiętam też, jak umierała w gościnnym pokoju, a wieczny odpoczynek uwolnił ją od wszelkich dolegliwości.

Obudziło mnie pukanie w szybę. Po chwili dotarł do mnie stłumiony głos Antoniego. Odblokowałem drzwi. Wyglądał na potwornie zmęczonego.

– Co tam się właściwie odjechało? – zapytał podenerwowany.

– Bitwa na Żwirki i Wigury, inaczej nie potrafię tego nazwać. Myślałem, że się nie przetniemy... – westchnąłem.

– Mam problem z identyfikacją ciał, pomożesz? – rzucił, wsiadając na przednie siedzenie golfa.

– Masz zdjęcia?

– Zobacz.

Wyjął aparat z futerału i przeleciał przez świeże zdjęcia. Pokazywał mi jedno po drugim jak w quizie na wiedzę ze znajomości personelu służb wywiadowczych. Serce biło mi coraz szybciej, wiedząc, że kolejne zdjęcia ukazują ciało Heleny.

– To jest agent Mossadu, który posługiwał się imieniem Izaak.

Pokazałem zwłoki, a Antoni zapisał to w notatkach.

– To też była agentka Mossadu, ta blondyna.

– Jakies imię czy nazwisko?

– Nie mam pojęcia – powiedziałem, wyczekując zdjęć Heleny.

– A ten tu? – pokazał mi ekran aparatu ukazujący umięśnionego blondyna w średnim wieku.

– Czekał, czekał. Tego tu... chwila... Ten mi wygląda na komandosa z Brausenberga Security.

– Jesteś pewien?

– Mogłem go już widzieć, ale teraz nie mogę sobie przypomnieć. Często ludzie należący do danej organizacji mają jakieś oznaczenia, coś jak więzienne tatuaże albo pierścienie jak z filmów o Jamesie Bondzie. Poszukajcie w tę stronę.

– Jeśli miał przeszłość wojskową, byłby to pewniak.

– Ile tego jeszcze masz? – dopytywałem.

– Już prawie kończymy.

Antoni klikał strzałkę w prawo, pokazując mi kilka ostatnich ciał. Nie potrafiłem jednak ich rozpoznać. Niektóre były na tyle zdeformowane, że identyfikacja nie wchodziła w grę. Dodatkowo utrudniało ją to, że przeważnie byli to podstawieni najemnicy lub agenci posługujący się kilkoma paszportami.

– To wszystko? – spytałem, widząc, jak wyłącza aparat.

– Ta, to wszyscy. Teraz ty, co potrzeba?

– Czekaj, czekaj. To wszystkie ciała, jakie znaleźliście, czy tylko te, których nie zidentyfikowaliście?

– Tylko te, których...

– Daj mi ten aparat – wyrwałem mu canona z ręki.

– Czego szukasz?

– Daj mi chwilę – zmarszczyłem czoło, próbując wrócić do początku galerii zdjęć.

Nie udawałem spokoju i niemal drżącymi rękami przesuwałem zdjęcia od samego początku. Jedno po drugim. Z milisekundowymi zawałami serca w momentach zmiany z jednego ciała na kolejne. Bez śladu Heleny.

Zgłupiałem.

– Helena Strapolous, ciemne kręcone włosy, śniada cera, Greczynka. Widziałeś czy nie?

– W tamtym piekielnym kotle? Kurwa...

– Ranni? Karetki? Muszę cokolwiek ustalić, Antoni, skup się.

– Naszych kilku oberwało, więc było kilka karetek. Reszta trupy, sam widzisz...

– Nie rozumiem... – ręce opadły mi na kolana.

– Dwóch ludzi fotografowało, może ten drugi ma resztę zdjęć, nie wiem. Mnie interesował ten blondyn i ci z Kidonu, jak powiedziałaś...

Oddałem aparat Antoniemu i zawiesiłem się. Przecież widziałem ją na własne oczy. Widziałem, jak leżała gdzieś za Pirlettim. Jak przyjechali Grecy, też ją widziałem i od tamtego momentu nie mogłem pozbyć się tego obrazu z mojej głowy. Zdjęcia Heleny musiały być na drugim aparacie. Chciałem się upewnić, a wyszło odwrotnie. Czuję, jak mi zasycha w gardle. Nie ma czasu na sprawdzenie drugiego aparatu. Ukryłem twarz w dłoniach i przez dłuższą chwilę zastanawiałem się nad kolejnym krokiem.

Przeżądały mnie momenty, gdy człowieka oszukuje własny mózg. Kiedy jestem przekonany, że coś powiedziałem, a inni są zgodni, że słyszeli co innego. Nienawidziłem chwil, gdy choćby bliska przeszłość miesza rzeczywistość z fantazją. Nie wiedziałem, na co zrzucić odpowiedzialność. Czy na leki, których nie brałem, czy na chroniczne zmęczenie, czy na głód drażący odwiarty w żołądku. Jeszcze minutę temu dałbym się zabić, że to były jej zwłoki. Teraz ten pieprzony drugi aparat, jakby życie nie mogło być proste i przejrzyste, choćby w tych trudnych, rozrywających serce momentach. Na tym etapie nabierałem przekonania, że drugi aparat może nie rozwiązać tego zagadnienia. Jeśli mi się przywidziało, jeśli nie Helena tam leżała, to kto? Jeśli nie ona, to ktoś ładząco do niej podobny. Jeśli nie było jej przy zamachu na Pirlettino, Izraelczycy musieli zabić ją wcześniej. Musieli dopaść ją wcześniej, mogła być już przerażająco zimna. Grecy najemnicy nie wspominali o Helenie. Zero kontaktu z jej strony. Jebany fotograf, jebany drugi aparat jak gwóźdź do jej trumny, którego brakowało przy oględzinach.

Piekłem nie nazywam masakr, w jakich brałem udział, ani nawet tego, że czasem źli ludzie zabierają dobrych, że w walce herosi upadają. Piekłem nie była dla mnie przewaga zła, piekłem była ta pier-

dolona niepewność i rzeczywistość w niekompletnych puzzlach, które nigdy nie dawały pełnego obrazka, zawsze zostawały z kilkoma kluczowymi szczegółami, a te burzyły pozory historii, jaką tkaliśmy z tych fragmentów. Piekło niepewności. Piekło niedokończonych spraw i braku, co pchało mnie na powrót w rozdziawioną gębę czerni. Czerni, której nie rozjaśnił najszczersze intencje tego młodego gliny.

– Muszę się zbierać. Radzę zawijać się już teraz, obserwujemy każdy zakątek Warszawy i jeśli cię złapią, nie popuszczą – przerwał milczenie Antoni.

– Załatwię jeszcze jedną sprawę.

– Za duże ryzyko... Zresztą...

Antoni wysiadł z auta. Tym razem widziałem go już po raz ostatni i byłbym uronił łzę, ale za bardzo się spieszyłem. Wręczyłem mu kopertę, którą odebrałem od staruszka w zakładzie krawieckim. Pochylił się, opierając ramiona na drzwiach volkswagena.

– Miło się współpracowało, polecam się na przyszłość – Antoni się uśmiechnął.

– Trzymaj się z dala od wywiadu i od teraz nie odbieraj od nas telefonów. Szkoda porządnego obywatela.

– Gdybym cię nie śledził, byłbyś już martwy. Lepiej mieć was na oku, wierz mi.

Odezwiał się glina Sokrates, mistrz dialektyki. Pożegnałem go uśmiechem na pół serdecznym, ale pełnym wdzięczności. Wrzuciłem jedynekę i ruszyłem przed siebie.

Musiałem jechać tam, gdzie za wszelką cenę nie chciałem trafić. Od przyjazdu do Polski omijałem to jedno miejsce w szczególności. Ale stanąłem przed ścianą i nie miałem wyboru. To była ściana płaczu i teraz przyszedł czas na wciśnięcie swojej intencji w szparę pomiędzy kamieniami. Miałem nadzieję, że na sporadycznych kontaktach z Izraelczykami się zakończy. Nie, nie, nie. Nie tym razem.

Ruszyłem bocznymi uliczkami w stronę Grzybowskiej, by zasięgnąć rady rabina. Nie miałem nic do stracenia i liczyłem na choćby strzępki informacji o losie Heleny. Pojawienie się w okolicach synagogi było czystym szaleństwem. Wchodziłem w ogień, wiedząc, że nie robię dobrze. Chciałem się upewnić, że Mossad dopadł Helenę wcześniej, że ona nie żyje. Wtedy mógłbym pogрузić się głęboko w swoim smutku.

Z Karolkowej skręciłem w Grzybowską i po dwóch skrzyżowaniach przekroczyłem granice Woli i Śródmieścia. Wjechałem na parking za wieżowcem Q22 przy greckiej knajpie. Zaparkowałem na tyłach bloku i w cieniu komunistycznej wielkiej płyty ruszyłem w stronę synagogi. Minąłem przedszkole i wszedłem do małego parku za biurkami. Był to skrawek parku z rzadko rosnącymi drzewami, które próbowały żyć wciśnięte pomiędzy wysokie budynki. Było mnóstwo cienia, ciszy i intymności. Tyle potrzebowałem.

Synagogi Nożyków ochrania całodobowy patrol policji przez okrągły rok. Przy wizytacjach ważnych osobistości ochrona jest pomnożona o kolejnych ochroniarzy i detektywów. Na każdym rogu kamery jak sokoły rejestrujące każdy krok nielicznych przechodniów. Sama synagoga to budynek z odnowioną elewacją, schowany w cieniu najdroższego apartamentowca na Śródmieściu, fallicznie wyglądającego Cosmopolitana, którego wąskie prącie przebija chmury. Minimalny ruch i te gliny spacerujące wokół budynku. Wsparcie w radiowozie zaparkowanym tuż przed tylnym wejściem do miejsca modlitwy. Wszystko jak w szwajcarskim zegarku, tyle że nawet rolexy czasami miewają usterki.

Synagoga była otwarta dla zwiedzających. Nie było szabatu, więc stłoczeni Azjaci mogli za małą opłatą zwiedzić synagogę w drodze do Polinu. Czekali spokojnie przed wejściem, obracając się we wszystkie strony. Nie wiem, gdzie był ich przewodnik, ale nie mogłem na to dłużej patrzeć. Przyjeżdżają do małej, starej Europy, chcą dowiedzieć się, kim byli Żydzi i czego doświadczyli, a tu zastój w planie, luka w kalendarzu i marnotrawstwo czasu w mieście miliona pomników do sfotografowania. Nie mogłem zawieść chińskiego narodu. Godnie więc zastąpiłem przewodnika.

Podbiegłem i przywitałem ich z uśmiechem. Baczny patrol chyba przywykł, bo po chwili policjanci odwrócili wzrok. Głośno i wyraźnie wytłumaczyłem po angielsku, że jestem jednym z przewodników synagogi i żeby się biedaczki o nic nie martwiły. Tylko te siniaki po Antonowie trochę psuły mi wizerunek. Wszystkich przeprosiłem za swój wygląd i spóźnienie i wparowałem do synagogi wprost przed oblicze człowieka, który zagroził mi przejście.

– Słucham – powiedział, schładzając temperaturę pomieszczenia do zera.

– Mam tu grupę turystów, chcielibyśmy zwiedzić synagogę.

Chwilę patrzył mi w oczy, coś tam analizując. Udałem głupka i nie przestając się uśmiechać, upewniłem się, że byliśmy sami. W przedśionku nie było nawet przeciągu. Głosy Azjatów w tle były ciche i stłumione grubymi murami. Mógł to być zwykły goryl, ale po co ukrywałby kłamkę pod marynarką? Jego garnitur i buty sugerowały co innego.

Gdy się obrócił plecami, wyczułem odpowiedni moment. Co gorsza, on też czekał na chwilę dekoncentracji. Gdy się obracał, jego ręka sięgnęła w głąb lewej kłapy szarego garnituru. Zza jego szerokich pleców nie było widać, po co sięgnął, ale podejrzewałem, że po to, co dzieci lubią najbardziej, czyli kłamkę niespodziankę.

Wyprowadził łokieć, myśląc, że wbije mi go w mostek, ale byłem już z prawej strony, polując na jego prawą dłoń. W niej trzymał pistolet i potrzebował jedynie przestrzeni, by się obrócić i wycelować. Za wszelką cenę nie chciałem, by się obrócił za szybko i na pewno nie z palcem na spuście. Gdy odepchnął mnie na odpowiednią odległość, zdałem sobie sprawę, że z tym zawodnikiem nie potańczę. Miał siłę, jak na Samsona przystało. Nie udało mi się wytrącić mu kurczowo trzymanego pistoletu i moje oprowadzanie Azjatów stanęło pod znakiem zapytania.

– Ja do rabina, bez cyrków. Pogadać.

Nikomu nie było na rękę, by padły strzały w synagodze, i to przy polskiej policji.

– Nie ma takiej możliwości.

Oparł łufę na moich nerkach, nieco ją wbijając.

– Do rabina nie ma dostępu.

– Powiedz tym, którzy ten dostęp mają, że Feliks Nero zajmie mu od trzech do sześciu minut w porywach.

Nie znał mnie. Był jednym z setek świecących pacholków na autostradzie do rabina, ale mógł przekazać wiadomość dalej, mógł znać odpowiedni zjazd.

– Czekam na parkingu przed grecką restauracją – kontynuowałem. – Szary golf siódmej generacji.

Upewniłem się, że usłyszał. Jeden z Azjatów wetknął głowę przez szparę drzwi, zaglądając do środka. Tym razem był to prawdziwy przewodnik. Odwróciłem się, zasłaniając ochroniarza, a ten schował pistolet. Wyszedłem bez słowa, mijając grupkę przebiegających nogami Azjatów. Niech goryl wykona ten telefon, bo chciałem mieć to już za sobą.

Wszystko zależało od dobrego humoru rabina. Wiedziałem, że jakichkolwiek informacji udzieli, będą pewne niczym brak rozejmu na Bliskim Wschodzie. Pomaszerowałem między drzewami z powrotem do golfa krawca.

20. Milczenie rabina

Bezdomny zapukał w szybę. Rzadki widok na tych kilku ulicach Śródmieścia, które skupiały obywateli o wyższych zarobkach. Jak na bogatą ulicę przystało, miał zniszczony czarny płaszcz od Calvina Kleina i dżinsy w kolorze, który wyszedł z mody już w latach dziewięćdziesiątych. Nie przyglądałem mu się uważnie, mógłby równie dobrze być po prostu zamożnym człowiekiem z rodzaju tych, co ostentacyjnie nie dbają o wygląd. Zareagowałem, gdy zapukał po raz trzeci, i przygotowałem jakieś drobniaki.

– Apartamenty Grzybowska, mieszkanie numer... – zawiesił głos.

– Numer?

Cwaniak. Przemilczałem ten proceder i wręczyłem mu banknot dedykowany Kazimierzowi Wielkiemu. Niby dużo, ale i tych w kryzysie bezdomności dotyka inflacja.

– Sto piętnaście.

Podziękowałem i poczekałem, aż zniknie między wieżowcami. Wsiadłem i ruszyłem prosto pod wskazany adres, mając synagogę po prawej stronie, a Apartamenty Grzybowska po lewej. Na pasach grzecznie zatrzymały się samochody i po dwóch minutach byłem już pod apartamentowcem.

Budynek miał kształt podkowy z wysokimi wieżami na dwóch końcach. Dwie wieże spoglądały z góry na Emilię Plater z jednej strony i na Muranów z drugiej. Wskazany numer był prawdopodobnie apartamentem na najwyższym piętrze w jednej z wież. Lokum miało kilka przeszklonych ścian, które spoglądały na całe warszawskie śródzieście. Poczulem się jak hobbit wspinający się na górę przeznaczenia.

W recepcji okazało się, że moje przewidywania były trafne. Uroczą recepcjonistką o smukłej twarzy i wątych ramionach wskazała windę i poinformowała, że apartament mieści się na najwyższym piętrze. Po chwili znowu wbiła wzrok w serial na tablicie. Wcisnąłem odpowiedni guzik i windowałem w blaszanej klatce na samą górę.

Stałem przed drzwiami, których nie strzegł żaden człowiek. Drzwi nie były z marmuru, a z futryny nie kapąło złoto. Niby bogactw się nie spodziewałem, ale i tak byłem zaskoczony. Wyobrażałem sobie rabina na szczytowanym tronie, trzymającego moją laskę u bram raj. Gdzieś w głębi głowy widziałem, jak rozdaje huragany, strzela piorunami i strąca królów tej ziemi. Wróciłem z otchłani głupich wyobrażeń, by trafić palcem w jeszcze głębszy przycisk, który był pospolity jak ból głowy. Ordynarny przycisk dzwonka rozbrzmiał klasycznym dźwiękiem i wysokim tonem rozniósł się po drugiej stronie. Raz i drugi. Drzwi się otworzyły. Wszedłem do przestronnego wnętrza komnaty tajemnic.

Mężczyzna w średnim wieku poprowadził mnie w głąb korytarza, a potem do pokoju wyglądającego na bibliotekę. Poprosił, bym usiadł na skórzanej krześle pod oknem i chwilę zaczekał. Kiwnąłem głową i rozejrzałem się po pokoju.

Dwie ściany tego wielkiego pomieszczenia były zabudowane drewnianymi półkami pełnymi książek. Wolumeny w czerwonej skórze błyszczały pod sufitem, tam też zaparkowana była przenośna drabinka. Ściana książek stanowiła tło dla wprost gigantycznego biurka rozmiaru ołtarza w katolickich bazylikach. Na blacie piętrzyły się papiery, kolejne wolumeny, ekran komputera i przyrządy, których nie byłem w stanie nazwać. Mnóstwo tego. Coś skrzypnęło. Coś za tą górką papierów drgnęło i usłyszałem, jak metalowe oprawki okularów łądują na klawiaturze.

Zza pozostałości Biblioteki Aleksandryjskiej wyjechał fotel z drobnym staruszkim z pomarszczoną twarzą. Jego postać umieściłbym gdzieś między mistrzem Yodą i Papą Smerfem. Siwa broda opadała na chudą klatkę piersiową. Rabin Jozue Gaunheim zdjął jarmułkę z lysej głowy, co oznaczało rozstanie z Torą na krótką chwilę. W głowie układałem sobie, co powiem, nie chcąc marnować jego cennego czasu. Studiowanie Tory było dla rabina tlenem, azotem, argonem, dwutlenkiem węgla, neonem, helem, metanem. Kryptonem, wodorem i ksenonem. Musiałem mieć ważny powód. Nie otworzyłem ust, bo gdy nasze spojrzenia się spotkały, rabin rzucił na mnie urok.

Spojrzał na mnie spokojnymi oczami pełnymi cierpliwości. Wstał z fotela i pokuśtykał w moją stronę. Usiadł przy mnie, roztaczając wokół siebie woń kosztownych przypraw. Odniosłem wrażenie, że swoją wizytą sprawiłem mu radość. Sporo nas łączyło, choć właściwie się nie znaliśmy. Tym razem staruszek z bliskiej odległości spojrzał mi prosto w oczy. Następnie wyjął mniejsze okulary z bocznej kieszeni i włożył je na nos. Przyjrzał mi się uważnie, nie przerywając przedłużającej się ciszy. Próbowiałem się uśmiechnąć, ale nie potrafiłem. Rabin przeczytał mnie, jakbym był kiepsko napisaną ulotką. Zacząłem podejrzewać, że jest niemy, ale chrząknął i zaczął wypuszczać słowa, jedno po drugim, jak samochody na przejściu granicznym.

– Chłopcze, jakbym z Józefem siedział, jakbym patrzył w oczy twojego dziadka.

– Wspominał rabina kilka razy z czułością.

– Miał tę rzadką cechę, że nie rozpoznawał kolorów skóry, narodowości, religii. Widział tylko bijące serce... Niech odpoczywa w pokoju.

– Amen. Wie rabin, po co przychodzę... Nie chcę zabierać czasu, ale chcę się przynajmniej z nią pożegnać. – Nabierałem pewności, że Helena jest martwa.

Nie przyszedłem na wspominki, choć serce mi drgnęło na wspomnienie dziadka. Rabin był jedną z nielicznych osób znających osobiście tego złotego człowieka. Przyszedłem dowiedzieć się, gdzie jest Helena, lub raczej jej ciało. I podczas gdy rabin miał przed sobą wieczność, u mnie każda zmarnowana sekunda potęgowała frustrację.

– Gdzie dziewczyna? Pewnie słyszał już rabin o odbiciu włoskiego biznesmena, wasi brali w tym udział.

– Nie interesuje mnie to. Latacie po Europie jak łobuzy. Każdy z wywiadów jest jak gangi chłopców na podwórku. Szkoda, że nie poszedłeś w zarabianie, jak Józef. Miałbyś teraz dom w Toskanii i gromadkę gałganów w ogródku.

– Kidon dopadł Helenę?

– Kogo?

– Helena Strapolous, grecka agentka.

– Zaczekaj, moment – powiedział rabin, po czym podreptał w stronę korytarza.

Wyszedł z przestronnej biblioteki, zostawiając mnie z kilkoma setkami wolumenów. Spojrzałem na gigantyczny zegar na ścianie, na którą padało południowe słońce. Wskazywał wpół do pierwszej. Od odbicia minęło kilka godzin i wieści musiały rozbiec się po mieście jak konie z niedomkniętej stajni. Zerknąłem na ulicę Grzybowską, gdzie wzmagał się ruch w porze lunchu. Przyjechało kilka radiowozów, straż pożarna i karetka. Niby codzienny widok w centrum, ale nie dla mnie. Łapałem lekką paranoję albo na skutek głodu powoli zaczął oszukiwać mnie mój organizm. Rabin wrócił do biblioteki i zajął miejsce za biurkiem. Wstałem i podszedłem do blatu, patrząc rabinowi w oczy.

– Niech rabin powie, gdzie ją przetrzymują, to mi wystarczy.

– Feliks, pomimo całej wdzięczności dla twojego dziadka, nie mogę ingerować w sprawy wywiadu. One mnie niespecjalnie interesują – nałożył oprawki na nos. – Musisz już iść, Feliks. Miło było cię widzieć.

Czułem, jak zaciskają mi się zęby. Głupio, gdybym sprzątnął człowieka, którego ratował mój dziadek, narażając swoje życie. Nie wiem, czy rabin nie wiedział, czy nie chciał mi podać tej informacji. Ale musiał wiedzieć, że wysłałem dwóch agentów Mossadu na drugi brzeg i chyba nie chciał ryzykować życia kolejnych. Wstając, zobaczyłem w oknie kilka aut wjeżdżających na podziemny parking. Na wszelki wypadek zawiązałem nóż do otwierania listów i włożyłem w tylną kieszeń dzinsów.

Pomyślałem, że wyjdę przez parking, skoro rabin nie dzielił się żadnymi informacjami. Kto wie, może tych kilku nowo przybyłych przyniesie jakieś wieści. Rabin na powrót zatopiony w książce nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Audiencja się skończyła, kiedy tylko zadałem niewygodne pytanie. Gdybym zapytał, jak dobrze przyrządzić karpia, rabinowi nie zamknęłyby się usta przez następną godzinę. Zostawiłem staruszka między zakurzonymi zwojami i wyszedłem na korytarz.

Chłop w średnim wieku, który wcześniej wpuścił mnie do środka, wyłonił się znikąd. Otworzył ze trzy zamki i drzwi się rozwarły. W milczeniu wyszedłem z apartamentu numer sto piętnaście. Wsiadłem do windy i zamiast parteru wybrałem minus jeden. Przyszedł czas na zwiedzanie parkingu.

Zazwyczaj problemem jest ilość. W nierównej walce łatwo przegrać, wystarczy, że jeden z napastników zagra sprytnego liska, który ze spokojem wyceluje w ofiarę niczym Brutus w Cezara. Jedyne, co mogło pomóc w nierównej liczebnie walce, było zaskoczenie. Ten moment, gdy przyjmuje się strzał, który jest jak uderzenie pioruna, jak miłość, która ścina z nóg w pełnym zaskoczeniu. Nikt nigdy nie uchronił się przed atakiem z zaskoczenia. Czasami można się spodziewać ataku z którejś ze stron, ale i tak jest się zaskoczonym.

Winda wyhamowała i elektryczne cymbalki poprzedziły rozsunięcie się drzwi. Błogosławione niech będzie zaskoczenie i losowy bieg wydarzeń, który przyznał izraelskich pomagierów pod moją windę.

Ding. Żadnych reflektorów nie było w windzie, więc skromny nóż do otwierania listów nie miał jak zabłysnąć w oczach zdumionych waźniaków czekających na progu. Potrzebowałem milisekundy, by ocenić, kto tam wydawał rozkazy. Skoro szefował, to i musiał się liczyć, że mu kiedyś przystawią nóż do otwierania listów pod grdykę. Było ich trzech i mało mnie obchodziło, skąd są i w jakiej sprawie przychodzą. Upewniłem się, że zobaczyli czyste szaleństwo w moich oczach, kiedy zasloniłem się ciałem pierwszego waźniaka i prosto w jego ucho wyszeptalem słowa istotne z punktu widzenia jego krtani.

– Teraz ostrożnie, jedno pytanie.

Pozostała dwójka sięgnęła do bocznych kieszeni. Doskonale, byli szemrani. Przystawiłem nóż tak blisko, że naruszył naskórek i pocięła krew.

– Broń na parkiet albo Adam zgubi swoje jabłko.

Rzucili broń i unieśli ręce do góry.

– Helena Strapolous. Brunetka, brązowe oczy i kręcone włosy. Gdzie ją znaleźć?

– Sprzątamy po nieudanym odbiciu Pirlettiego, nie mamy listy.

Przycisnąłem nóż jeszcze mocniej, ryzykując otworzenie gardła.

– Nie zmuszaj mnie.

– Nie brała udziału w odbiciu konwoju. Ktoś zlikwidował ją wcześniej – wydusił z siebie ten, którego trzymałem.

– Zaraz stracisz przytomność. – Dłonie miałem zalane jego krwią. – Konkretnie, gdzie jest?

– Prosektorium Kasprzaka, od kilkunastu godzin zwłoki są w Szpitalu Wolskim.

Wyjąłem pistolet z jego kabury i kazałem mu przytknąć coś do szyi. Mdał mi na oczach. Miałem ochotę na to samo. Trzymałem pistolet wycelowany w jego głowę, stawiając kroki do tyłu. Widzieli, że mają do czynienia z zawodowcem, i chociaż szukali też mnie, przeczuwali, że pogon nie ma sensu. Wycofałem się na ich oczach, dając do zrozumienia, że każdy najmniejszy ruch spowoduje wystrzał.

Wydostałem się z parkingu i przemknąłem pod jednym z wysokich bloków osiedla za Żelazną Bramą. Wrzuciłem pistolet do śmietnika i wsiadłem do volkswagena. Zanim odpaliłem silnik, poczułem, że lzy ciekną mi po policzkach i spływają w kąciuki ust. Czułem ich słony smak. Rękawem wytarłem usta. Sygnalizacja świetlna, szarpanie się z kierownicą jedną ręką, ktoś wpadający na pasy, mrużenie oczu i to manualne wrzucanie biegów, jakbym był na wyścigu. Roztrzęsiony, próbowałem utrzymać się w fotelu niemieckiego auta. Kolejne skrzyżowanie, czerwone. Są tu jakieś chusteczki? Nieważne. Po chwili miałem mokre plamy na białych rękawach. Izraelczycy, Polacy, Włosi, Rosjanie, już mnie nic nie obchodziło. Nic nie ruszało. Z opóźnieniem dochodziło do mnie, co się stało, co usłyszałem przed windą. Potwierdzenie, którego nie chciałem usłyszeć. Do końca miałem resztki nadziei, że usłyszę coś innego, że to znów będzie jak w filmie, że wszystko skończy się happy endem.

Nie przyjmowałem do wiadomości, że jej już nie ma. Było jasne, że przed Kidonem nie ma ucieczki, że polskie służby są u siebie i mają kolosalną przewagę. Helena została zabita po tym, jak pojechałem do Silvestra. Ale ja skutecznie to wypierałem, jakby rzeczywistość była z plasteliny. Tylko złudzenie trzymało mnie przy życiu. Sen, z którego nie chciałem się za wszelką cenę obudzić.

Teraz miałem prosty wybór.

Mogłem natychmiast wyjechać z Warszawy i ocalić swoje życie lub zanurkować w szambie, ale przynajmniej pożegnać Helenę. Każda kolejna minuta w stolicy była nie tyle brakiem profesjonalizmu, co zwykłym samobójstwem. Nawet taki ułan jak ja nie mógł w nieskończoność umykać służbom i policji.

Wzięłem głęboki oddech przed kolejnym nurkowaniem i nacisnąłem pedał gazu do dechy. Wyjeżdżając ze Śródmieścia, skręciłem w stronę Szpitala Wolskiego, w ostatnią podróż po bagnach stolicy.

21. Archipelag Santorini

Wąska alejka biegła między budynkami Szpitala Wolskiego i parkiem Alojzego Pawelka. Prosektorium mieściło się w obskurnym budynku od strony parku, ze ścianami pokrytymi miejską sztuką niespełnionego Matejki, horror vacui, mnóstwo wszystkiego bez ładu i składu. Na skraju parku stał na baczność rząd lip i jesionów. Zaslaniały gałęziami ławeczki z obściskującymi się nastolatkami i wolskich mieszkańców spacerujących z psami. Wszyscy zwróceni w lewo, starając się omijać wzrokiem prosektorium po prawej. Tylko ja siedziałem oparty o gruby pień i wpatrywałem się w budynek kostnicy. Czekałem na odpowiedni moment.

Zachodzące słońce zalewało okolicę złotym kolorem. Raz na jakiś czas ciszę przerywały sygnały karetki, co kilkanaście minut przejeżdżał miejski autobus. Zasłonięty gałęziami i drzewkami posadzonymi na skraju parku, liczyłem samochody, personel i funkcjonariuszy policji. Przy wejściu na dziedziniec budynku stał radiowóz, w którym panowie żywo o czymś dyskutowali. Jeden nawet machał ręką w geście niezgody. Czekałem, spoglądając na prosektorium jak alkoholik na batoniki Pawelek. Wiedziałem, że nie powinienem, że igram z ogniem.

Dwóch gliniarzy najwyraźniej zaczęły boleć tyłki od siedzenia, bo wysiedli z auta i rozprostowywali nogi. Jeden wszedł do prosektorium. Po kilku minutach wrócił z kawą. Oparli się o maskę niebieskiej škody i siorbali, delektując się słonecznym popołudniem. Tęższy odgarnął szerokiego wąsa i zerknął na zegarek wiszący na srebrnym łańcuchu. Byli za daleko, bym cokolwiek usłyszał z ich rozmowy, ale z ust potrafiłem co nieco wyczytać. Obaj ruszyli odnieść kubki z kawą. Ruszyłem i ja, nie wahając się ani sekundy dłużej.

Przebiegłem ulicę i przywarłem do białego busa stojącego kilka aut od radiowozu. Z takiej odległości mogłem już łapać pojedyncze wyrazy z ich rozmów. Wyszli z budynku i stanęli przed radiowozem. Rozmawiali o remoncie mieszkania, szefie i o tym, że czas się związać, bo ich zmiennicy byli już w drodze. Wsiadli do škody i powoli ruszyli na widok kolejnego radiowozu, który pojawił się z drugiej strony parku i miał zaledwie jedno skrzyżowanie do budynku kostnicy. Gdy wąsaty wdepnął gaz, wynurzyłem się zza busa i wszedłem na dziedziniec wewnętrzny. Byłem już za drzwiami wejściowymi, kiedy podjechali nowi gliniarze.

W sekretariacie siedziała para pracowników w młodym wieku, zbyt młodym na pracę w prosektorium, jak na moje oko. Nie od razu oderwali się od ekranów komputerów. Dopiero po chwili chłopak siedzący bliżej wejścia zapytał, w czym może pomóc.

– Jestem z policji – pokazałem na okno, z którego widać było radiowóz. – Muszę jeszcze raz rzucić okiem na ciało, które macie tu od kilkunastu godzin.

– Jakie nazwisko zmarłego?

– Zmarłej, Helena Strapolous.

– Proszę sekundę poczekać, pracownik zabierze pana do chłodni.

Stałem tak chwilę, zanim ktoś po mnie przyszedł. Włożyłem ochronną odzież i pomaszerowaliśmy w głąb kostnicy. Wszystko było sterylne i czyste. Ściany pokryte jakimś lakierem, a cały sprzęt wykonany ze stali nierdzewnej. Metal na każdym kroku i unoszący się zapach płynów dezynfekujących. Dźwięk lamp bakteriobójczych i jarzeniowe światło w białym kolorze. W moim fachu nie braliśmy udziału w tej części łańcucha dostaw. Jak likwidowałem łobuzów, nie dbałem o to, kto będzie im zakładał ostatnie garnitury. Kto będzie identyfikował ich zdeformowane twarze. Kto będzie po nich płakał, bo nawet najwięksi wykołajeńcy mieli matki, ojców i rodziny. Doszliśmy do chłodni i pracownik przyci-

snął guzik, wysuwając odpowiednią szufladę. Serce zaczęło mi bić jak rażone prądem. Na rolce wyjechało ciało, a pracownik odsłonił twarz zmarłej.

Spojrzałem na spuchniętą twarz z licznymi siniakami wśród falujących czarnych loków. To musiały być Helena, chociaż miała martwy i zmieniony wyraz twarzy. Nie wierzyłem, nadal nie dochodziło to do mnie i stałem jak arktyczne lodowce, gotowy się roztopić. Nogi ugięły się pode mną i oparłem się o drzwi chłodni, próbując złapać powietrze w płuca. Nie wierzyłem, nawet jeśli widziałem na własne oczy. To była jedna z czarniejszych chwil w moim bezsensownym, zabieranym życiu. Coś sobie uroiłem, ale przegrałem z rzeczywistością. Pracownika prosektorium zdjęła litość, bo chwycił mnie za ramię, wyczuwając sytuację. Ludzki gest w nieludzkim mieście. Zasłonił twarz Heleny, kiedy zacząłem mamrotać coś pod nosem. Usłyszałem swój głos i zdałem sobie sprawę, że mówię po włosku. Przeszedłem na polski i poprosiłem o odsłonięcie całego ciała.

Pracownik wysuwał szufladę z ciałem, podczas gdy ja nadal stałem oparty o chłodnię. Szuflada wyjechała do samego końca i zamiast przy obrzękniętej twarzy stałem przy białych łydkach i niewielkich stopach Heleny.

Wiele osób ma znak szczególny, który odróżnia je od innych. Może to być cokolwiek – znamię, bliźna, pieprzyk w konkretnym miejscu czy bielactwo. Nie spędziłem z Heleną mnóstwa czasu, ale wystarczająco, by znać kilka zakamarków jej ciała. Jej stopy znałem doskonale i wiedziałem, że na nich jest znak szczególny, nie mogło go zabraknąć.

Wychyliłem się, by obejrzeć mały tatuaż nad prawą kostką, który był w kształcie miniaturowego archipelagu Santorini. Składał się z jednej podłużnej wyspy i dwóch mniejszych. Trzecia wysepka stanowiła dosłownie kropkę tuszu obok dwóch mniejszych. Helena pochodziła z jednego z najpiękniejszych miejsc na świecie i niosła swoją wulkaniczną energię, gdziekolwiek ją los rzucił. Poczułem, jak zaczynają mi na nowo łzawić oczy. Wszystko się zgadzało. Jakaś część mnie wierzyła, że nie zobaczę tatuażu, że to nie Helena leżała przede mną.

– Nie zdążył się jeszcze zagoić – odezwał się pracownik kostnicy. – Proszę spojrzeć.

Włożył gumową rękawiczkę i delikatnie nacisnął na tatuaż. Pokazał palcem lekko zaczerwieniony obwód.

– Zgon nastąpił kilkanaście godzin temu i komórki skóry jeszcze nie obumarły całkowicie. Okolice tatuażu jest nieco wypukła i zaczerwieniona.

– Według pana, kiedy ten tatuaż został zrobiony?

– Każdy tatuaż przypomina świeżą ranę. Jest to jakaś ingerencja na ciele. Jak zmarła tutaj trafiła, to jeszcze sączyło się osocze...

– Kilka dni czy raczej tygodni? – przerwałem.

– Raczej kilka dni, choć brak dopływu tlenu zatrzymał regenerację i naskórek nie przechodzi już zmian jak w żywym organizmie.

Do tamtego momentu nie zwróciłem uwagi na delikatne zmiany naskórka wokół tatuażu. Po uwagach pracownika zobaczyłem wyraźnie, że tatuaż nie zbladł, jak reszta skóry nad kostką. Różnice były minimalne, ale były. Kaszlnąłem, tłumiąc dźwięk, który wydobył się ze mnie bez mojej woli. Popłynęły kolejne łzy, jakby ktoś potrącił zardzewiały hydrant, który wszyscy uważali za nieczynny. Otarłem twarz rękawem. Ogarnęły mnie mieszane emocje, chciałem płakać i śmiać się jednocześnie. Czulem, że zrzucam ciężką zbroję z klatki piersiowej i niemal unoszę się nad zimnymi kafelkami, pozbawiony przymusu grawitacji.

To nie była Helena.

Wziąłem głęboki oddech, nigdy jeszcze nie nabrałem tyle tlenu w płuca. W klatce wybuchł mi wulkan, uwalniając nagromadzone od kilku dni ciśnienie. Jakbym na nowo się narodził i wyszedł z ciemnej jaskini.

Kimkolwiek była ta kobieta, doszło do profesjonalnej podmianki. Gdziekolwiek teraz była Helena, z pewnością nie było to prosekorium Kasprzaka. Pracownik zmieszał się, widząc moją dwubiegunową reakcję, i zapytał, czy może zamknąć szufladę. Kiwnąłem głową tak ochoczo, że prawie spadła mi z karku. Podziękowałem i ruszyliśmy zdezynfekować dłonie.

Do szeregów izraelskich tajnych służb wkraść się błęd. Zależało im na likwidacji Pirlettiego i Heleny, ale z Greczynką coś poszło nie tak. Zastanawiałem się, czy wykończyli kobietę, bo miała identyczny tatuaż, czy został on zrobiony w celu sfabrykowania zwłok. Trudno było ustalić na szybko szalony bieg wydarzeń. Jakkolwiek to przebiegło, Helena żyła. Może nie tylko żyła, ale i mogła mieć listę. Ostatni raz widziałem ją w kościele Świętego Andrzeja przed jej wizytą u prawnika Pirlettiego. Wydawało mi się, że było to wieki temu.

Miarowym krokiem doszliśmy do recepcji, gdzie zastałem wpatrzoną we mnie parę w sekretariacie. Patrzyli zamrozeni z grozą w oczach. Dziewczyna nie mogła się wysłowić, a jej kolega bąknął coś, jak słabo rozwinięty czterolatek. Ktoś цаił się za rogiem i miał broń, która zawsze wywoływała przerażenie u cywilów. Rzuciłem okiem na uliczkę pod prosekorium, gdzie wcześniej stał radiowóz. Nie było przy nim gliniarzy.

Grali odważnych, czając się za rogiem. Naoglądali się amerykańskich filmów i nie wylapali, że zwykle gliny padają jak muchy, a na serię z karabinu maszynowego napastnik odpowiada jednym strzałem z pistoletu na wodę i pokonuje cały oddział marynarki wojennej. Potem biegnie, wyprzedzając radiowozy na sygnale, i tańczy na skrzydłach samolotu F16. Zobaczyłem ramię w niebieskiej koszuli i spluwę wylaniającą się z za rogu jak niechciany komornik.

– Stój, bo strze...

Cywilie rzucili się na posadzkę w słusznym odruchu ratowania własnej skóry. Pistolet odpalili, robiąc dziurę w ścianie i ogłuszając obecnych w małym pomieszczeniu. Głina, któremu zdarzył się przedczesny wystrzał, był otumaniony. W sam raz na strzał ode mnie. Prosto w ten punkt, po którym człowiek traci przytomność na dłuższą chwilę. Jego towarzysz czekał na zewnątrz z pistoletem drgającym w jego prawej dłoni. Te gliny stanowiły zagrożenie dla samych siebie. Nie raczyłem się z nim przywitać.

– Które drzwi w stronę szpitala? – zapytałem chłopaka za biurkiem.

– Na-na le-le-lewo...

– Poproszę identyfikator i przepraszam za zamieszanie. Pan władza niebawem się obudzi, podajcie mu wodę, jak otworzy oczy.

Wszedłem w długi korytarz łączący prosekorium ze szpitalem, a później zniknąłem w gąszczu szpitalnego zgiełku. Gdzieś za oknami piały koguty, darły się karetki, a pacjenci jęczeli na łóżkach poupychanych w dusznych salach. Białe lekarskie kitle krzątały się po korytarzu. Ktoś zwrócił na mnie uwagę, zapytał, co tu robię, kogo odwiedzam. Ignorowałem cały ten zgiełk, jak się ignoruje wiadomości w stacji informacyjnej, które bucą białym szumem gdzieś w tle. Słowa, krzyki, komendy były dla mnie tłem, nie dochodziły do mnie. Nie mogły dojść. Myślałem tylko o jednym. Przez mój umysł biegło teraz pasmo myśli grubych jak kable pod Atlantykiem, w ciasnym torze jednego tematu, splecione wokół jed-

nej osoby, w układzie jednej relacji, w kosmosie jednego przyciągania. Bóg znowu się do mnie uśmiechnął, cicho dał mi znać. Przez szpary w żaluzjach wpadały czerwone promienie słońca i kogutów policji. Oni zawsze nie w porę, zawsze od frontu, zostawiając wyjścia ewakuacyjne jak na filmach o głupich glinach. Choćby tu przysłali całe zastępy, otoczyli całą stolicę ciasnym kręgiem, to przecież znajdę szparę w kolczudze, znajdę jej słaby punkt, zerwane złączenie, dziurę w płócie, martwego piksela w ich zasięgach.

Wymknąłem się z kompleksu oddziałów Szpitala Wolskiego, zabierając cały mandżur, jaki miałem w chwili wejścia do tej celi – swoje szczęście i ułańską fantazję. Do tego doszły mieszane uczucia zakochania i podziwu do Heleny, która ponownie zniknęła z mojego życia. Tym razem to ona wyszła bez pożegnania. Wiedziałem, co czuła, gdy zgarnęli mnie na Krecie, na samym początku. Wiedziałem, że to nie koniec. Wiedziałem, że się spotkamy. Było to dla mnie jasne, chociaż zapytany o dowody mojej pewności, musiałbym zamilknąć. Czułem, jak czuje się delikatny oddech Boga, jak czuje się jego lekki dotyk milimetr za opuszkami palców. Jego uśmiech w trupie, który nie był Heleną. Czułem cud, że żyje i że ją spotkam. A jak to zrobię, pomyślę, kiedy się wyśpię.

Jeszcze tego samego wieczora wyjechałem z Warszawy i ruszyłem... z ziemi włoskiej do polskiej, tylko na odwrót, i nie śpiewałem mazurka w towarzystwie polskich wojaków. Tym razem nie dałem się zabić, chociaż wiem, co zaśpiewają, kiedy mnie w końcu dopadną. *Prawdziwych ułanów już nie ma, to mogliby zaśpiewać*, pomyślałem, włączając radio na odpowiednią częstotliwość. Frank Sinatra śpiewał, że zrobił to po swojemu. *My way*. Ja też. I zrobiłem to bez bicia kobiet, panie Frank. Tupnąłem w podłogę, przyciskając gaz do dechy. Wiedziałem, że wreszcie mogę chwilę odetchnąć. Wśród płytkich, szybkich oddechów ostatnich dni było mi dane wziąć jeden głębszy. Wrzuciłem piąty bieg. Pędziłem na południe w niespodziewanym dla mnie kierunku, w kierunku wysokiego cholesterolu i zawału serca Robertiniego, któremu – jak panu Sinatrze – serce odmówiło posłuszeństwa w jednej z jego kamienic w Reggio Emilia.

Kolejny raz przekonałem się, że za zwycięstwem idzie cios. Za porażką czai się podnosząca na duchu nadzieja, która tylko przytrzymuje człowieka do następnego starcia. Tutaj podobnie. Kiedy Helena wróciła do żywych, świat umarłych połknął człowieka, który był mi kotwicą w tej warszawskiej rozgrywce. Czym jest bowiem żołnierz bez dowódcy? Snajper bez celu? Jak szeregowy ma się zachować, gdy do okopu nie dochodzą rozkazy natarcia? O tym miałem się dopiero przekonać.

Pędząc, nieświadomy złych wieści, w alfie romeo, czułem się jak w drodze na słoneczny urlop. Za piętnaście godzin będę miał włoskie słońce na twarzy, ale godziny, które wybije ratuszowa wieża w Reggio, nic nie będą dla mnie znaczyć. Nie wyznaczą kolejnego zadania. Nie dadzą pracy człowiekowi czynu. Tymczasem mijałem słupki graniczne wzdłuż autostrady, żegnając się z Polską, która była jak pierwsza żona, do której się nie tęskni, ale ma się sentyment do końca życia.

22. Angielskie wyjście

Nie zdążyłem go pożegnać. Kiedy umierał, użerałem się z funkcjonariuszem włoskiej drogówki gdzieś na autostradzie w stronę Bolonii. Wieść zastała mnie już w Reggio, gdy pokonałem ciąg korytarzy

i schodów w dół i w górę. Jego sekretarka miała rozmazany makijaż i świeży botoks na górnej wardze. Podala mi karteczkę z detalami.

Pogrzeb miał się odbyć tam, gdzie Marcello wziął pierwszy oddech. W Syrakuzach na Sycylii. Westchnąłem. Biegając po tych korytarzach, żałowałem, że nie zamontowali zjeżdżalni i pojemnika z kulkami na samym dole. Nic by mnie nie podniosło wtedy na duchu, ale przynajmniej przez kilka chwil nie myślałbym o swoim położeniu, które było kłopotliwe. Trzasnąłem drzwiami i ruszyłem w stronę Autostrady Słońca, która prowadziła na dzikie południe Włoch.

Na ceremonię nie mogłem się udać, obecność na mszy wykluczyłem na starcie. Za dużo tajnych służb i rekinów, które łowią, rozdają wizytówki, chcąc zagarnąć żołnierzy z pułku, który właśnie osierocił doskonały dowódca. Jeden z takich jegomości stanął przede mną, gdy dzień później pojawiłem się przy świeżym nagrobku trochę szefa, trochę ojca.

– Większość naszych siedzi w Berlinie, byłbyś odpowiedzialny za Beneluks. Korporacyjne sprawy, broni byś już nie dotknął. Nowa tożsamość, załatwimy wszystko – wypowiedział słodkim głosem diabła.

– Pan mnie z kimś pomylił – wyjąłem butelkę wody i wylałem sobie na głowę. Woda pociekła przez czoło, twarz i kark, by popłynąć w dół pleców tam, gdzie miałem wszystkie propozycje, jakie wyjął z ust tego człowieka. Poza tym na Sycylii upał zabija i warto się schładzać. – Ilu już zwerbowaliście?

– Większość. Wiemy, że to wy odcieliście Pirlettiego. Nasza organizacja oferuje bezpieczeństwo przed ludźmi, którzy stracili sporo na funduszu Pirlettiego.

Spojrzałem mu w oczy. Kłamał. Mało kto przyjmował te propozycje, to było zwykle zastraszanie. Ale jeśli nie przyjąłbym jego propozycji, wyjmie nóż i popłami nagrobek Robertiniego. Kurtuazja złych ludzi to tylko ich onanizm przed wbiciem sztyletu. Odsunąłem się, jakby mnie zagadywał trędowaty. Zrozumiał, że nie rozmawia z kurewką. Szarpnął się na tłumik, który dotąd czekał pod pachą. Wyprowadziłem cios, który go zgiął w pół, a jego głowa musnęła nagrobek, co nie uszło mojej uwadze. Niech wyjdzie na jego z tym płamieniem nagrobka krwią. Chwyciłem jego głowę i trzasnąłem nią o krawędź nagrobka, a ona pękła jak owoc granatu. Wziąłem jego pistolet i ruszyłem do bramy cmentarza, gdzie czekali na niego koledzy.

Nie zauważyli mnie, zajęci jakąś słowną przepychanką. Ich dialekty nie były stąd, ich twarze nie były brązowe. Ich życia nie należały do nich przez kilka następnych chwil. Trzymałem je w garści, ale to mnie nie podniecało, nie budziło emocji. Miałem prosty komunikat, którego nie sposób źle zinterpretować.

– Przekażcie chujkowi, który was opłaca – syknąłem – że nie ma opcji na współpracę, i tyle, ile słupków wyśle za mną, tyle będzie musiał uzupełniać.

Kierowca przelknął ślinę i skinął, że niby zrozumiał.

Trzasnąłem pistoletem w bagażnik, dając sygnał, by się zawijali. Niech ta wiadomość dotrze do tych, którzy nie rozumieją, że wraz z Robertinim odszedłem i ja.

Odchodzę.

Jak to w ogóle brzmi.

Odchodzę.

Po raz pierwszy powiedziałem to do siebie w myślach, potem szepnąłem jak dziwak sam do siebie pod nosem, a gdy to usłyszałem w swoich ustach, zabrzmiało tak obco, jakbym to nie ja rzucił to słowo.

Słowo jak zakłęcie, jak mały krok nowej drogi, jak obietnica nowego życia, w które nie wierzyłem.

Odchodzę... Słyszę już dzwon greckiego kościółka, szum fal i słońce, to samo, które świeciło Odyseuszowi. To samo, które pozwalało trwać w oczekiwaniu Penelopy.

Pojechali. Co do mojej Penelopy nie miałem większych nadziei. Chciałem złapać samolot i polecieć na jakąś małą grecką wysepkę, by przeczekać zamęt po odejściu Marcella.

22. Objawienie przed Patmos

Poleciałem do Aten i tam wsiadłem na pokład statku płynącego aż do Patmos, gdzie Święty Jan przedawkował LSD. Miałem plan opuścić pokład gdzieś po drodze. A tymczasem siedziałem z białym winem z kostkami lodu, patrząc, jak słońce chowa się za horyzont, jak je polykają dwa wzgórza wulkanicznej wysepki, którą mijaliśmy przed paroma minutami.

Kilku turystów piło na umór, obsługa otwierała bar na zewnątrz restauracji, a kelnerzy zabierali krzesła i stoliki, tworząc mały parkiet. Z głośników popłynęła muzyka i statek wchodził w kluczowy punkt rejsu, w potańcówkę na spokojnych wodach. Obróciłem się, szukając oczu jednej z kelnerek po tym, jak opróżniłem kolejny kieliszek i nie mogłem znieść pustki między kostkami. Przyszła i dołała mi do połowy kieliszka.

Spojrzałem w niebo, które kołysało już pierwsze gwiazdy, kiedy ktoś trącił moje ramię. Na stoliku wylądowała kartka papieru z listą nazwisk, podpisaną jako „Fundusz Pirlettiego – inwestorzy”. Nie odwróciłem się od razu, kiedy zza moich pleców usłyszałem: – Jak już wygrzebiez się z żaloby po Marcellu, zapraszam do współpracy.

Odstawiłem kieliszek, wskazałem puste krzesło w geście zaproszenia i, nie podnosząc listy ze stołu, spojrzałem na niespodziewanego towarzysza, dziwiąc się, że halucynacje dopadły mnie na długo przed Patmos.

Przypisy

- 1** (wł.) *cornetto* – rogalik.
- 2** (wł.) *centro storico* – stare miasto.
- 3** (wł.) *padrino* – ojciec chrzestny.
- 4** (wł.) *pranzo* – obiad.
- 5** (wł.) carbonara – rodzaj spaghetti, jedna z najbardziej popularnych potraw kuchni włoskiej.
- 6** (wł.) caprese – sałatka w kolorze włoskiej flagi.
- 7** (wł.) *un momento* – moment.
- 8** (wł.) *caro* – drogi.
- 9** (wł.) *tutto* – wszystko.
- 10** (wł.) *amico* – przyjaciel.
- 11** (hebr.) *mazel tov* – powodzenia.
- 12** (wł.) *Lasciate ogni speranza* – Porzuć wszelką nadzieję.
- 13** (wł.) *cornetto* – rogalik.
- 14** (wł.) *salve* – pozdrowienia.